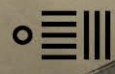


Kamil Bałuk
WSZYSTKIE DZIECI LOUISA

SERIA REPORTERSKA



Kamil Bałuk

WSZYSTKIE DZIECI LOUISA

Spis treści

Motto

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

Zamiast posłowania

Podziękowania

Źródła

Przypisy

*Alle vogels zijn nesten begonnen, behalve ik en jij.
Waar wachten wij nu op?*

(Wszystkie ptaki zakładają już gniazda, poza mną i tobą. Na co jeszcze czekamy?)

(dwa najstarsze odnalezione zdania zapisane w języku niderlandzkim, ok. 1100 roku)

Kogo brakuje na zdjęciu

Królowa Lodu ma sześć lat i siedzi w dużym brązowym fotelu. To zdjęcie pierwsze. Przyszedł luty, karnawał, niedługo bal, ale mama królowej jest na zasiłku i nie ma pieniędzy na kostium. Dziewczynka ma na sobie stare prześcieradło zszyte przez mamę. Na stroju widać kilka plam namalowanych farbą, które miały być gwiazdkami, ale się rozmazały. Przebranie posłuży jej na zabawie także rok później. W ręce trzyma różdżkę, na nią akurat starczyło pieniędzy – a może była pożyczona? Mama wymalowała jej twarz niebieską szminką. Mała królowa lekko się uśmiecha. Dwadzieścia lat później powie, że to jedno z ostatnich zdjęć, na których jest szczupła, niedługo potem z osiemnastu kilogramów przytyje w rok do trzydziestu ośmiu, pamięta te liczby dobrze, bo to było ze stresu.

Na razie siedzi w fotelu i czeka na bal.

Druga fotografia: dziewczynka i chłopiec stoją w dziecięcym łóżeczku, trzymają się mocno białych szczebelków. To ważny moment, dzieci dopiero nauczyły się stawać. „Pięknie się rozwijacie”, podpisze zdjęcie ich mama i doda, że wkrótce po sfotografowaniu chłopiec nauczył się mówić „tata”.

Co za nieprzydatne słowo.

Łóżeczko jest duże, w szczeble ma wbudowane liczydło, jakby ktoś chciał przekonać roczne dzieci do matematyki. Jeśli tak było, to nic z tego nie wyszło, bliźnięta ze zdjęcia zajmą się czymś zupełnie innym. Jedno znajdzie pracę w telewizji, drugie będzie grać w teatrze. Dziewczynka wcześniej od brata znajdzie stałą pracę i kupi mieszkanie. Chłopiec będzie z tym zwlekał, wybierze życie z dnia na dzień, bo jak powie: gdy się starzejesz, świat niepotrzebnie się zmniejsza. „Pogódź się z tym, Maaik”, powtórzy niejeden raz siostrze.

Teraz jeszcze nie wypowiadają żadnych słów. Nawet „tata”.

Na trzeciej fotografii inna dziewczynka właśnie wstała z ławki. Loczki, zdziwiona twarz, błękitna koszulka z misiem. Patrzy w obiektyw, ssie dwa palce, ten nawyk zostanie jej na wiele lat. Zaraz pójdzie bawić się do ogródka. Może przyjdą dzieci sąsiadów, usiądą z nią na ławce, a jeśli nie, pobawi się sama, już się przyzwyczaiła. Nie ma przecież siostry ani brata. Jej mama (chyba ona robi to zdjęcie) chciałaby nawet urodzić kolejne dziecko, ale nigdy jej się to nie uda. Tego mama i córka jeszcze nie wiedzą.

Na razie nic nie wskazuje też na to, że dziewczynka w koszulce z misiem będzie kiedyś w wolnym czasie śpiewać, a w chwilach zdenerwowania palić papierosy. Ma dwa latka, właśnie wstała z czerwonej ławki przed swoim domem w Rotterdamie.

Na czwartym zdjęciu chłopiec siedzi na kolanach babci i głaszcze psa

o imieniu Bowie. Jak ten czas szybko leci, stwierdzi mama chłopca, gdy zobaczy tę scenkę dwadzieścia lat później.

Na piątym widzimy lekcję baletu, dziewczynka w tiulowej sukience próbuje zrobić piruet. Czy się udało? Dziś już nie pamięta.

Dzieci ze zdjęć jeszcze się nie znają.

Fotografii jest więcej, rozkładam je jedną przy drugiej. Są sprzed dwudziestu, może dwudziestu pięciu lat. Każda jest z innego roku, z innego miasta, zrobiona innym aparatem, przy innym świetle, niektóre zimą, inne wiosną. Uchwycone na nich dzieci mają od kilku miesięcy do kilku lat. Podobieństw jest niewiele. Może to, że wszystkie mieszkają w Holandii. Może kolor oczu, u większości brązowy.

Trudno byłoby zgadnąć, dlaczego mam przed sobą te zdjęcia i położyłem je jedno obok drugiego. Nie widać skojarzenia ani linii, która wiodłaby od dziewczynki z różdżką, przez czerwoną ławkę, tiul sukienki baletowej, aż do psa Bowiego i szczelbeków łóżka.

Dziesiątki małych elementów, nic wspólnego.

Może jedno, choć wygląda to na zbieg okoliczności, pewnie tak chciał przypadek, tak się pewnie złożyło: na żadnym ze zdjęć nie ma ojca.

II

Naprawdę dobrze mieć marzenie

To od niego się zacznie.

Pierwsze, drugie, dziesiąte, spełni się w Utrechcie, w Rotterdamie, w Bredzie, w Amersfoort. Wywoła je zobaczony na ulicy wózek, rodzinny album, scena w serialu, błaha rozmowa. Może zjawi się tak wcześnie, że wydaje się, jakby było od zawsze.

Jak wygląda marzenie? Czasem ma niebieskie oczy, jasne włoski, uśmiech aniołka z katedry w Den Bosch, delikatną skórę, różowe policzki. Może loki, a może piegi. Będzie najpierw małe, tłące się jak płomyczek, potem większe, poważniejsze. Może zniknie na jakiś czas, zwykle jednak wraca za moment, miesiąc, rok, pęcznieje, rośnie, powiększa się tak, że już nie da się go ignorować.

Co robi marzenie? Tup, tup, tak robi rano. Chrap, chrap, tak robi wieczorem. Czasem sprawnie pełza po podłodze, czasem słodko leży w łóżeczku. Marzenie chce cię mieć blisko, patrzeć ci w oczy, przytulać się do ciebie.

Możesz śpiewać mu na spacerze piosenki o łódce, która wypłynęła w daleki rejs, „nie ma jej tu, nie ma jej tam, jest w Ameryce, hopsa sa!”, albo o dwóch niedźwiedziach, co „kanapki smarowały nożami i był to cud nad cudami”.

Marzenie nie ma wad. Nie zabiera uwagi partnera, nie wpływa na hormony, nie sprawia, że przybierasz na wadze. Nie kopiuje twoich zachowań, nie musisz się więc pilnować. Nie brudzi ulubionej bluzki, nie płacze w sklepie z zabawkami. Nie choruje, nie zabiera zbyt wiele czasu, nie kosztuje dużo. Nie musisz go wychowywać.

Naprawdę dobrze jest mieć marzenie.

Dlatego kiedy coś staje między nim a tobą, szukasz rozwiązania. Kogoś, kto pomoże, przyjmie, wysłucha, spojrzy w oczy, upewni się, że dobrze się zrozumieliście. Zapyta jeszcze raz, dla pewności:

– Jakie masz marzenie?

Skóra Amandy ciemnieje z miesiąca na miesiąc

– Bardzo chciałabym mieć dziecko – powiedziała Sonja, zadbana blondynka, gdy tylko weszła do pokoiku doktora Jana Karbaata i usiadła przy biurku. Wciąż pamięta ten pokój: mały, schludny, urządzone ze smakiem, za fotelem lekarza stały półki z książkami, niektóre wyglądały na świeżo wydane, czyli w 1986 roku. Wtedy właśnie wypowiedziała tamto zdanie. Na biurku stał telefon, storczyki w doniczce i zdjęcia dzieci.

Ale zdanie brzmiało chyba inaczej:

– Bardzo chcielibyśmy mieć dziecko. – To raczej powiedziała kobieta, bo

przyszła z mężem, Berim. Poznali się trzy lata wcześniej, był krewnym sąsiadów, których często odwiedzała. W skrócie: uśmiechnęła się, on odwzajemnił uśmiech, cóż za mądry, przystojny mężczyzna, pomyślała, potem zaproponował rejs łódką i tak się zaczęło.

Na zdjęciu ślubnym – biel. Sonja stoi w białej sukience przed białym samochodem, ma na głowie diadem, w ręku parasolkę, też białą. Obok Beri, w garniturze. Przed nimi dwie małe dziewczynki trzymają małe białe parasolki. Może ich córeczki będą podobne?

Tak daleko nie wybiegają myślami. Druga kreska na teście ciążowym wciąż się nie pojawia.

To dlatego tu przyjechali, po to siedzą przy tym biurku.

Beri poszedł na badania, po których usłyszał, że plemników ma mało i nic z tym nie da się zrobić.

– Adoptujemy? – zastanawiali się, ale lekarz rodzinny podpowiedział coś innego: zapłodnienie nasieniem dawcy.

Wcześniej o tym nie słyszeli. Adoptować to jednak nie to samo, co urodzić. Może warto? Pod jednym warunkiem – Beri zaznaczył to wyraźnie – dawca musi być anonimowy.

Gdzie mamy jechać?

Do Barendrechtu, polecił lekarz, do najlepszej kliniki w kraju.

Przyjechali. Schodzą w dół grobli, za czarną bramą w podwórku gdczą kury. Klinika wygląda jak dom, a z dachu na przyszłych ojców, matki i dawców spogląda duży plastikowy bocian.

Na korytarzu widzą kilkanaście innych par. Nie jesteśmy jedyni, cieszy się Sonja, choć dziwi ją, że wszyscy siedzą w ciszy. Jakby pary z poczekalni nie chciały zdradzić pozostałym tajemnicy.

A każdy z nich ma dokładnie taką samą.

Po chwili mogą już położyć ręce na stylowym brązowym biurku, za którym siedzi Jan Karbaat.

– Panie doktorze – mówi Beri – chcielibyśmy dawcy, który będzie bliźniaczo do mnie podobny, żeby nikt się nie dowiedział. Nie chcemy nic mówić dzieciom. Zachowamy to dla siebie.

Lekarza zapamiętali jako miłego, kulturalnego, pełnego zrozumienia dla sytuacji. Formalności było raczej niewiele: pytanie o przebytą różyczkę, o szczepienia, wiek, kobieta powinna mieć mniej niż trzydzieści osiem lat. U niej badania na płodność nie będą konieczne, jeśli bezpłodność wykryto u mężczyzny, mówił doktor. Byłyby to niepotrzebne koszty.

W ulotce Sonja i Beri mogli wyczytać, że lekarze badają skrupulatnie dawcę, jego krew, nasienie, zadają pytanie: czemu się pan do nas zgłosił? Upewniają się, że w jego rodzinie do trzech pokoleń wstecz nie było chorób dziedzicznych. Na

koniec sporządzają charakterystykę – cechy fizyczne i psychiczne. W ten sposób powstaje zbiór informacji, czyli paszport dawcy.

Lekarz wręcza paszport parze. Mówi, że dobrał takiego, który wygląda jak Beri, i że przeciętnie pacjentka w jego klinice zachodzi w ciążę po kilku miesiącach.

Wspaniały człowiek, myśli Sonja i ściska dokument.

MATERIAŁ NR 1. PASZPORT DAWCY¹

Numer dawcy: 903.

Wzrost: 1,75.

Waga: 72 kg.

Rok urodzenia: 1956 (30 lat).

Rasa: biała.

Włosy: czarne, lekko falowane.

Oczy: ciemnobrązowe.

Wykształcenie: wyższe.

Praca: w banku, stanowisko kierownicze.

Zainteresowania: szachy, jazda na rowerze, gry strategiczne.

Wywiad rodzinny: rodzice i dzieci zdrowe.

Dawca jest żonaty, ma dwojkę dzieci. Swoją inteligencję ocenia wysoko.

W dzieciństwie spędzonym w Limburgii był świetnym uczniem.

Dodatkowe informacje:

„Jestem człowiekiem wysportowanym”.

„Lubię spędzać czas w gronie znajomych”.

„Nie znoszę niesprawiedliwości”.

„Nie popieram niczego, co jest wbrew naturze”.

Sonja często odwiedza klinikę. Mija pół roku, rok. Są miesiące, w których przychodzi sześć razy. „Jeśli czegoś bardzo chcesz, łatwiej o wytrwałość” – powie po latach. Po półtora roku zachodzi w ciążę. Mija dziewięć miesięcy.

Dziewczynka, Amanda.

– Dziękuję, nigdy więcej – mówi kobieta, zmęczona po cesarskim cięciu.

Do szpitala w odwiedzinach przychodzi ojciec Beriego, świeżo upieczony dziadek. Nie wie, że jego syn jest bezpłodny. Patrzy na dziecko.

– Od razu widać, że to nasza dziewczyna – cieszy się.

Ulga.

Przynajmniej na kilka lat i przynajmniej w wypadku Sonji.

Inna kobieta po odwiedzinach w klinice rodzi dziewczynkę o brązowych oczach, ciemnych włosach, niepodobną do starszej siostry. Skóra dziecka jest ciemniejsza. Po porodzie kobieta widzi plamkę w dolnej części pleców córki. Zna to znamię, widziała je dziesiątki razy w pracy, w takim kraju jak Holandia wiele dzieci ma podobne znamiona. Skóra dziewczynki ciemnieje z miesiąca na miesiąc.

Siostra jest blondynką o jasnej karnacji, a przecież miały być z tego samego dawcy.

Coś jest nie tak, pojawia się myśl, ale szybko znika, zepchnięta gdzieś w tył głowy, jakby jej nigdy nie było, bo i czemu jakaś myśl miałaby podważyć obietnicę, którą dał jej lekarz.

Lekarze wiedzą, co robią, myśli kobieta. Ufa im, sama jest pielęgniarką.

Sonja o dziewczynce z plamką nie usłyszy. Nie rozmawia w Barendrechcie z nikim, mimo że jeździ tam regularnie – stara się o drugie dziecko.

Prawda, drugiego miało nie być.

Ale Beri ma własną dyskotekę, zarabia tyle, że ona nie musi pracować. Amanda ma trzy lata, za chwilę idzie do szkoły. „Pomyślałam, że smutno będzie mi samej w domu” – powie.

W klinice prosi o tego samego anonimowego dawcę co przy Amandzie.

Jeszcze nie wie, że na drugą ciążę będzie czekać aż cztery lata, wyda tysiące guldenów na zabiegi.

Nie wie, że urodzi się chłopczyk, dadzą mu na imię Boy.

Jeszcze nie wie, że jego siostra Amanda wcześniej niż koleżanki wejdzie w okres dojrzewania, a jej skóra też zacznie nieoczekiwanie ciemnieć.

Kiedy dziewczynka pójdzie leczyć zęby, dentysta powie jej:

„Masz nietypowy zgryz”.

„Co to znaczy nietypowy?”.

„Afrykański, Europejczycy takiego nie mają”.

– Czemu nie jestem podobna do tatusia? – zapyta Sonję pewnego dnia. Znajomi będą zastanawiać się, czy kobieta nie miała kochanka.

O tym wszystkim Sonja, wchodząc po raz kolejny do kliniki z bocianem na dachu, jeszcze nie wie.

Kiedyś zapyta męża jeszcze raz, dla pewności.

– Nie mówimy im?

– Nie mówimy – odpowie Beri. – To moje dzieci, koniec kropka.

I doda coś jeszcze, choć po dwudziestu latach trudno pamiętać dokładne słowa: „Umówmy się, że nigdy nas w tej klinice nie było”.

Matka-bomba rodzi Henrika

– „Patrz, damy ci kapelusz, włożysz takie wdzianko i możesz w gondoli zarobić pięć dych za kurs po kanale”. Tak właśnie mówili do mnie koledzy, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę do Wenecji. Żarcik.

W Izraelu ludzie na ulicy myśleli, że jestem stamtąd. A w Driebergen, gdzie mieszkałem, od dziecka pytali, skąd pochodzę: z Włoch, z Turcji, z Maroka?

„Bo na Holendra to mi nie wyglądasz”.

Rasistowskie uwagi? Nigdy, w Holandii to już dzisiaj rzadkość, w każdej klasie są dzieci o różnych kolorach skóry, to normalne.

No dobra, trochę się ludzi klasyfikuje po akcencie.

Kiedyś pracowałem w sklepie i śniady mężczyzna podszedł do mnie, zapytał: „Marokan, marokan?”, jakby szukał kolegów. Już po pierwszym zdaniu usłyszał, że mam inny akcent, i sobie poszedł.

Nie przeszkadzało mi nigdy, że mnie tak zaczepiali. Nauczyłem się nawet naśladować marokański slang i sposób mówienia. Tak dla jaj, znajomych to bawiło.

Trochę trudniej było z brakiem ojca.

Przez pierwsze lata tego nie zauważałem. Potem, kiedy dzieci w szkole pytały, gdzie jest mój tata, unikałem odpowiedzi. Kiedy ktoś pytał drugi raz, tłumaczyłem:

„Mama i tata to dla ciebie standardowa sytuacja, a dla mnie brak taty to standardowa sytuacja”.

Odwiedzałem kolegów ze szkoły, spotykałem ich ojców. Zastanawiałem się: co ten pan w ich rodzinie właściwie robi? Jaką ma rolę, do czego jest potrzebny?

Wiedziałem, że to „tata”, ale nie rozumiałem do końca, co to znaczy.

Mama zdecydowała, że to słowo nie będzie miało w moim życiu żadnego znaczenia.

Matka Henrika była młodą wdową dobiegającą czterdziestki, kiedy podjęła decyzję o zostaniu bombą.

Matki-bomby wymyśliła feministka Cécile Jansen w 1977 roku, zanim ostygła w Holandii rewolucja seksualna. Jansen opublikowała na łamach ogólnokrajowej gazety apel: „Szukam kobiet, które, jak ja, celowo chcą być matkami bez wchodzenia w związek z mężczyzną. Wspierajmy się, wymieńmy doświadczenia”. W mediach zawrzało, Holandia zaczęła dyskutować o prawach kobiet do samotnego macierzyństwa. Do Jansen pisały kolejne matki. Na pierwszym spotkaniu grupa kobiet postanowiła, że potrzebują nazwy. Spojrzały na założycielski list, na użyte w nim słowa.

B jak *bewust*, czyli celowo.

O jak *ongehuwde*, czyli niezamężna.

M jak *moeder*, czyli matka.

Trzy literki układają się w wyraz BOM, czyli bomba.

Skrót podchwytyją już w latach osiemdziesiątych holenderskie gazety. Jedna z nich pisze, że o tym, jaki wpływ ma taka decyzja na życie człowieka, dowiemy się dopiero, kiedy pierwsze dzieci matek BOM dorosną. Nazwy tej używają też w opisie swojej oferty ośrodki leczenia niepłodności, choć wiele klinik odmawia matkom-bombom pomocy.

Nieoficjalnie – chodzi o dylematy etyczne i moralne dotyczące przyszłości takich dzieci.

Oficjalnie – lekarze mają formalne uzasadnienie. Tłumaczą, że zapłodnienie

nasieniem dawcy to tak naprawdę leczenie niepłodności mężczyzny. Jeśli przychodzi więc do nich kobieta i nie ma problemów z płodnością, nie można uznać jej za pacjentkę. Jest zdrowa, więc słyszy: „Nie możemy pani pomóc”.

Ale nie wszędzie drzwi są zamknięte.

Ginekolodzy z wielu miast polecają klinikę w Barendrechcie, która chętnie przyjmuje kobiety w potrzebie. Niektóre z nich przemierzają całą Holandię, żeby spotkać się z doktorem Karbaatem. W ulotce klinika podkreśla, że traktuje jednakowo wszystkie kobiety: zamężne i panny, homo i hetero, z partnerem lub bez niego.

Matka Henrika idzie do kliniki, wchodzi tym samym wejściem co Sonja, matka Amandy i Boya. Rozmawia z tym samym miłym doktorem.

Rok później w akcie urodzenia pojawia się imię Henrik, a w kolejnej rubryce: ojciec nieznany.

Kobieta próbuje raz jeszcze, chciałaby dziewczynkę. Wraca, zachodzi w ciążę. Być może mijają się w korytarzu z inną kobietą, która miesiącami zbiera rachunki z kliniki, na każdym jest wypisana długopisem suma: siedemdziesiąt guldenów. Na ostatnim rachunku, tym z siedemnastego października, jest jeszcze coś – dopisane wielkimi literami „JUPI!”.

Wychodzi z kliniki, może się uśmiecha. Idzie przez groblę. Na razie nic jej nie niepokoi, na razie jeszcze nic nie wybucha.

Ale bomba już tyka.

Dlaczego tata nie daje dotknąć ręki?

Bum!

Tak trzaskają drzwi domu mężczyzny, który już za parę minut przestanie być ojcem Maaïke i Matthijisa. Na dworze mróz, jest parę dni przed Bożym Narodzeniem. Dzieci mają sześć lat, przed chwilą siedziały w środku, teraz stoją przed domem, pod który właśnie podjeżdża samochodem ich matka.

– Tatusz wyrzucił nas za drzwi. Powiedział, że nie chce nas więcej widzieć. Mamo, dlaczego on to zrobił? – pytają w samochodzie.

– Bo to nie jest wasz tatuś – odpowiada krótko, rzeczowo. Dodaje jeszcze, że od tego momentu ów człowiek bezpowrotnie zniknie z ich życia. I wyjaśnia: – Żeby zająć w ciążę, poszłam do takiego banku, gdzie mieli dużo nasienia. Dali mi go trochę, żeby mogły z niego powstać dzieci. Te dzieci to wy.

Maaïke słucha z uwagą, choć wciąż trochę płacze. Matthijs z kolei głośno się śmieje, bo wyobraził sobie bankomat wypełniony nasieniem. Ciekawe, czyby przeciekał.

– Rozumiecie, co do was mówię? – pyta mama.

Rozumieją. Bo nagle wszystko składa się w całość.

To, że kiedy Maaïke chciała dotknąć jego dużych, owłosionych dłoni,

chował ręce. To, że nigdy się z nimi nie bawił. To, że odszedł od nich, kiedy mieli roczek, a od jakiegoś czasu, gdy jechali do niego na weekend, byli smutni. Kiedy wchodzili do jego domu, szybko zamykał drzwi, żeby się nie rozplakali, dopóki mama jest z nimi. Te ciągłe pytania Maaïke skierowane do mamy: Czy na pewno jestem twoim dzieckiem? Jakby coś czuła.

I wreszcie to, że kiedy Matthijs godzinę wcześniej spytał, czy może pobawić się na zewnątrz, usłyszał: „Tak, ale weź swoją siostrę, wszystkie wasze rzeczy i spieprzajcie stąd wreszcie”.

Spotkają go później jeszcze tylko raz.

Maaïke: – Po rozstaniu stał się mocno wierzący. Chciał nawet unieważnić ślub kościelny, żeby móc zostać kapłanem. Mama zgodziła się, ale decyzja była odmowna – byli przecież dziesięć lat małżeństwem, mieli dzieci.

Matthijs: – Próbował jeszcze trzy czy cztery razy, zawsze odrzucali jego podania.

Maaïke: – Ale dopiął swego, został pomocnikiem kapłana, uczestniczył w prowadzeniu nabożeństw.

I było kiedyś takie nabożeństwo, komunia święta w naszej rodzinie, sześć lat po tym, jak wyrzucił nas za drzwi.

Matthijs: – Weszliśmy do kościoła, mama i ciotka wzięły mnie na bok. Spytałem: jak to jest, do cholery, możliwe, że to on stoi tam na środku i wygłasza kazanie.

Maaïke: – Mówił, że najważniejsza jest lojalność wobec współmałżonka, troskliwa opieka nad dziećmi...

Matthijs: – ...i żeby być dobrym dla swojej rodziny. Babcia mruknęła coś nieprzyjemnego pod nosem, Maaïke wybiegła z płaczem. Ja też wyszedłem. Do tamtego momentu strasznie lubiłem kościół, tłum ludzi, śpiewanie pieśni. Ale nigdy więcej już tam nie wróciłem.

Jakiś czas później mama bliźniąt zmieni im w urzędzie nazwisko.

Matthijs od teraz będzie nazywał się Janssen, na liście obecności w szkolnym dzienniku podskoczy kilka pozycji do góry. Upieką z mamą ciasteczka w kształcie litery „J”, Matthijs przyniesie je do szkoły. Od teraz nawet nazwisko nie będzie go łączyć z człowiekiem, który jeszcze niedawno był jego ojcem.

„Powitajcie nowego kolegę” – zażartuje nauczyciel.

Naprawdę smaczne te ciasteczka, pomyśli Matthijs.

Kiedy bliźnięta mają dziesięć lat, dostają w szkole zadanie domowe – przygotować referat o czymś, co ich interesuje.

Matthijs opowiada o niedźwiadkach: brunatnym, polarnym, grizzly, koali, pandzie.

Maaïke odczytuje swój temat: sztuczne zapłodnienie i dawcy nasienia.

– Co to jest nasienie? – pytają dzieci.

– Już tłumaczę – mówi.

Po latach wspomina:

– Przygotowałam się na podstawie dokumentów ze szpitala, które pokazała mi mama, poszukałam trochę w innych źródłach. Nigdy nie wstydziłam się o tym mówić, dużo czytałam o dawstwie. Kiedy ktokolwiek pytał Matthijisa, kto jest naszym tatą, przychodził z tą osobą do mnie i mówił: „Maaike, ty to lepiej wyjaśnisz”.

Prezentacja się udaje.

– „To jest sperma, tyle może być z niej dzieci, trzeba mieć takie dokumenty, tak się zapładnia, tyle to kosztuje”. Naprawdę, nic wielkiego. Fakt, inne koleżanki mówiły raczej o misiach i kucykach My Little Pony. Ale cel osiągnęłam, bo nauczyciel powiedział, że referat był ciekawy.

Tego, co mówią mężczyźni, Maaike słucha jakby uważniej niż tego, co mówią kobiety. Bardziej więc wsłuchuje się w słowa nauczycieli niż nauczycielek.

Kiedy dobrze jej się rozmawia z jakimś mężczyzną, zaczyna go bacznie obserwować. Szczególnie takiego, który choć trochę przypomina jej brata.

Wraca do domu, czasem nie może spać, patrzy w ścianę, patrzy w sufit, zastanawia się.

A jeśli to był on?

Układa wiersz, wpisuje go do pamiętnika:

Cześć, Tatusiu, jak się czujesz?

Chciałabym cię poznać, strasznie mi cię brakuje

Nie widziałeś moich urodzin, pierwszych uśmiechów, zabawy

Czy tego, kim jestem, nie jesteś ciekawy?

Czy przyszła ci kiedyś do głowy myśl niepokojąca

Że trudno jest być sobą, gdy się nie zna ojca? (...)

Kiedy w domu Maaike pojawia się internet, dziewczynka rozpoczyna poszukiwania. Najpierw czyta na jednej ze stron o prawach dziecka.

Praw jest czterdzieści, dotyczą wolności wypowiedzi, sierot, rozwodu rodziców, zakazu pracy, jest nawet coś o adopcji. O dzieciach z dawców nie ma nic. Jedynie dziewiąty i dziesiąty podpunkt mówi, że dziecko ma prawo mieszkać z obojgiem rodziców i tworzyć z nimi rodzinę.

Maaike pisze do prawnika ze stowarzyszenia, które prowadzi stronę.

Pyta w nim, dlaczego dzieci, które rodzą się dzięki zapłodnieniu nasieniem dawcy, nie mogą go poznać. *Uważam, że to nieuczciwe. Dziecko ma prawo wiedzieć, kim jest jego ojciec.*

Prawnik odpisuje. Tłumaczy Maaike, że dawcy wprawdzie podają swoje dane klinikom, ale jeśli zastrzegą, że chcą być anonimowi, musi tak pozostać. Dodaje też, że w parlamencie trwają prace nad ustawą, która podzieli dawców na anonimowych i nieanonimowych.

Może kogoś pozwę do sądu, zastanawia się dziewczynka, ale rezygnuje z tego pomysłu. Nie wie nawet, kogo miałyby pozwać – państwo holenderskie czy mamę?

Od tej pory liczy już tylko na *Cud*.

MATERIAŁ NR 2. FRAGMENT PROGRAMU TELEWIZYJNEGO *CUD*, 2003

Prowadząca: – Witajcie wszyscy, cieszę się, że nas oglądacie, bo *Cud* jest właśnie dla was! Dziś są z nami Maaïke i Matthijs.

Maaïke: – Cześć, nazywam się Maaïke, mam trzynaście lat i chciałabym poznać inne dzieci, które tak jak ja są z nasienia dawcy. Nie wiem, kim jest mój ojciec biologiczny. Rodzice się rozwiedli, więc nie mam żadnego taty. Szukam kogoś, kto jest w tej samej sytuacji.

Prowadząca: – Matthijs, powiedz nam, co to w ogóle jest to oddawanie nasienia.

Matthijs: – To jest trochę dziwne. Zwykle jest tak, że rodzice współżyją i kobieta zachodzi w ciążę. Były mąż mojej mamy miał chorobę mięśni i nie chciał, żeby jego dzieci to odziedziczyły, więc znaleźli z mamą sposób – nazywa się to inseminacja. Nasionko dawcy umieszcza się w kobiecej waginie i wychodzi z tego dziecko. W zasadzie to działa prawie jak normalnie, ale bez użycia penisa.

Maaïke: – Wydaje mi się, że można wybrać próbówkę z cechami: czarne włosy, brązowe oczy. Lekarz dochowuje tajemnicy, bo mężczyzna nie chce, aby ktoś wiedział, że on nie może mieć dzieci. Dawca też nie jest przygotowany na to, że kilkanaścioro dzieci kiedyś do niego przyjdzie i powie: „Hej, tatusiu, to ja”. Dawca oddał nasienie, żeby obca kobieta mogła mieć dziecko, to według mnie dobry uczynek. Ale nie jest dobre, że nie chce poznać swoich dzieci.

Maaïke opowiada mi, że *Cud* to był talk-show prawie taki jak ten prowadzony przez Oprah Winfrey. Prawie, bo występowały tam dzieci, nie było Oprah, a program emitowała stacja chrześcijańska.

Matthijs pamięta, że przed programem i po nim ekipa się za nich modliła. Wręczyli im ładnie wydaną Biblię dla dzieci.

Formuła każdego z odcinków była podobna: dzieci siedziały przy stole, rozmawiały na trudne tematy: jak to jest być niewidomym, jak przeżyć rozwód rodziców. W studiu eksperci odpowiadali na pytania. Maaïke napisała do redakcji list, Matthijs początkowo nie chciał iść, ale go przekonała.

Na nagranie zawiozła ich mama. Jeszcze w samochodzie zadzwoniła ostatni raz do doktora Karbaata, żeby potwierdzić, że klinika nie ma żadnych informacji o dawcy.

Odpowiedział, że nic już nie ma. Dane niszczy się po dwunastu latach od zabiegu.

– To niesprawiedliwe – powiedziała wtedy Maaïke. – Przecież

dwunastoletnie dzieci nie zastanawiają się jeszcze, kto jest ich ojcem.

MATERIAŁ NR 3. CIĄG DALSZY PROGRAMU

Prowadząca: – Maaike, powtórz to jeszcze raz do kamery, nie wstydz się!

Maaike: – Moja mama korzystała z kliniki w Barendrechcie w 1988 i 1989 roku, cechy mojego ojca to ekstrawertyczna osobowość, ciemne włosy i metr osiemdziesiąt siedem wzrostu. Jeśli oglądasz nas teraz i widzisz, że jesteśmy do ciebie podobni, proszę, napisz.

Matthijs czyta na antenie mejl od widza: – „Cześć, też jestem z nasienia dawcy, mam szesnaście lat i właśnie poznałem biologicznego ojca. Mój ojciec dawca jest dużo mniej miłą osobą niż drugi ojciec. Ale i tak dobrze było się dowiedzieć”. Matthijs śmieje się, kiedy czyta wiadomość. I dodaje: „O tym wcześniej nie myślałem. Taki ojciec biologiczny może okazać się sympatyczny, ale równie dobrze może być zwykłym dupkiem”.

Po nagraniu jeden z producentów podchodzi do Maaike i Matthijisa: „Nie martwcie się, nie musicie szukać ojca. Najważniejszego już znaleźliście – tego w niebie”.

Prowadzący przed końcem programu śpiewa dla gości i telewidzów skomponowaną przez siebie piosenkę:

W każdym mężczyźnie, który ciut mnie przypomina

Dostrzegam od razu swego ojca

Widzę go, jakby siedział wszędzie wokół

W parku, w autobusie i w pociągu

I gdy ktoś na mnie spojrzy

Myślę: czy to nie mógłby być on?

(...)

Ale ja, ja chcę go poznać

Chcę rozmawiać z nim aż do nocy

O dniu, w którym oddał swe nasienie

O tym życiu, które przyniósł na Ziemię

Refren:

Mam ojca, ale nie mam go wcale

Choć to brzmi jak dziwne wynurzenia

Bo mój ojciec był zawarty jedynie

W tej maleńkiej kropelce nasienia

Mam ojca, ale nie mam go wcale

Nie mogę wytrzymać ze złości

Nie chcę być tylko jego nasieniem

Chcę mieć mego ojca w całości.

Maaike piosenka bardzo się podoba. Mówi prowadzącemu, że zawarł w niej wszystko to, o czym ona myśli każdego dnia.

Po tym jak Maaike pokazała mi nagranie, wysyłam mejl do prowadzącego tamten program przed piętnastu laty. Dziś już nie pracuje w telewizji, nagrywa piosenki gospel, prowadzi spotkania religijne. Pytam, czy pamięta swój utwór, zadaję jeszcze kilka pytań. Odpowiedź:

Kamilu,

dziękuję za przypomnienie mi piosenki, którą skomponowałem. Pamiętam uczucie, które mi wtedy towarzyszyło – wielki smutek z powodu tego, że są dzieci, które nie znają swego ojca.

Odpowiadając na twoje pytania: nie widzę niczego dziwnego w tym, że chrześcijańska telewizja wyemitowała taki odcinek. W programie zajmowaliśmy się przecież wszystkim, co trapiło dzieci – bez względu na temat.

PS

A czy Ty jesteś chrześcijaninem?

Matthijs dobrze wspomina program: pierwszy raz w telewizji, telefony i mejle od widzów, bycie w centrum uwagi.

Gorzej znosi to Maaike. Po emisji dostaje wiadomość od pewnego mężczyzny. Píše, że ma na imię Bart, że wyglądają tak samo, więc na pewno jest jej ojcem.

Maaike z radości chce przytulić ekran komputera.

Ale okazuje się, że jakaś dziewczynka zrobiła sobie żart i żaden Bart nie istnieje. Maaike przez kilka dni przychodzi do szkoły z czerwonymi od płaczu oczami.

Dzieci śmieją się, dokuczają.

Ucieka z domu, przez dwa miesiące opuszcza lekcje.

Zmienia szkołę. Znow czerwone oczy, znow docinki.

Mniej więcej w tym samym czasie w innych oczach również pojawiają się łzy.

„Muszę ci o czymś powiedzieć”, słyszy Amanda od swojej matki Sonji.

Amanda rozpoczyna poszukiwania

„Czy te dzieci są adoptowane? A może pani mąż jest cudzoziemcem?”
– słyszą na ulicy.

Pytania się nie kończą, a odpowiedź Sonji jest wiecznie ta sama: nie.

– Wiedziałałam, że nie będziemy okłamywać dzieci przez całe życie i kiedyś się od nas dowiedzą. Nie mogłam udawać, że nie widzę ich coraz ciemniejszej skóry, Amanda i Boy też to widzieli. Ale kiedy jest ten właściwy moment, żeby im powiedzieć: jesteś z dawcy?

Oprócz ciemniejszej skóry Amanda ma inne włosy niż rodzice: brązowe, ciemne loki. Ma dwanaście lat, zauważa włoski na ramionach, stają dęba, kiedy jest jej zimno. Rodzice takich nie mają. Gdy próbuje się od nich dowiedzieć, czemu tak jest, nie umieją odpowiedzieć.

Raz Amanda słyszy od kogoś, że ma „niezły surinamski tyłek”. Innym razem idzie do sklepu razem z koleżanką, blondynką o typowej holenderskiej urodzie; Amandzie jest przykro, bo jedynie ją obserwują ochroniarze, sprawdzają, czy czegoś nie ukradła.

W szkole średniej dołącza do nowej klasy. Nikt jej jeszcze nie zna, a już każdy pyta, czy pochodzi z Hiszpanii, Turcji, Maroka.

– Jestem z Holandii – odpowiada cierpliwie.

– Sama nigdy bym się nad tym nie zastanawiała – dopowiada – ale kiedy wszyscy zwracają na to uwagę, zaczynasz myśleć, że coś jest nie tak. Patrzyłam na ojca, porównywałam nas. Czułam, że robię coś niewłaściwego, że nie powinnam kwestionować takiej rzeczy, że go w jakiś sposób zdradzam.

Ale ta myśl powracała.

– Gdyby ich dawca był Duńczykiem czy Szwedem, nikt by się nie dowiedział, łącznie z nimi samymi. Ale ja coraz częściej myślałam tak – mówi Sonja: „Mam w domu jednego Holendra i dwójkę obcokrajowców nieznanego pochodzenia”.

Po paru latach jest już z tą dwójką sama.

Sonja i Beri biorą rozwód, dzieci zostają z matką.

Babcia Amandy i Boya, matka Sonji, proponuje nawet Beriemu, żeby odwiedzał dzieci u niej, w ten sposób nie będzie widywał byłej żony. Ale on zupełnie zrywa kontakt.

Amanda ma szesnaście lat, Boy osiem. Sonji wydaje się, że przyszedł właściwy moment.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Beri nie jest twoim biologicznym ojcem – mówi Amandzie.

– To kto nim jest?

– Tego niestety nie wiem.

Przychodzi jej do głowy myśl, że trzeba było to zrobić wcześniej, a nie wtedy, kiedy córka jest zbuntowaną nastolatką.

– Mamo, od dawna to wiedziałam. Takie rzeczy się czuje – mówi nieoczekiwanie Amanda.

Postanawia odnaleźć swojego biologicznego ojca. Piszą z Sonją do kliniki w Barendrechcie. Jest rok 2003.

Odpowiedź: *Zgodnie z holenderskim prawem dane dawców są przechowywane jedynie dziesięć lat...* i tak dalej. Sonji coś nie pasuje: Boy nie ma przecież jeszcze dziesięciu lat.

Klinika podkreśla w liście, że dawca Amandy i Boya wybrał anonimowość i trzeba to uszanować.

Amanda znajduje adres stowarzyszenia Stichting Donorkind, zrzeszającego dzieci, które tak jak ona szukają biologicznych korzeni. Przekazuje stowarzyszeniu

dokumenty, które jej matka otrzymała w klinice. Jest wśród nich paszport dawcy, ten ze zdaniem „Nie znoszę niesprawiedliwości”.

Czekają.

Kiedy po osiemnastych urodzinach Amanda wyprowadzi się z domu do własnego mieszkania, dzwoni do niej Beri, pierwszy raz od dwóch lat.

Przy stoliku w McDonalddie przechodzi do rzeczy już od pierwszego zdania:

– Mama powiedziała ci, że nie jestem twoim ojcem?

– Tak.

– Nie chcę o tym słyszeć. Jesteś moją córką, tak ma zostać, więcej o tym nie rozmawiajmy. Koniec kropka.

„Koniec kropka” – powtarza Amanda, niby refren.

Dwa lata później telefon ze Stichting Donorkind:

– Pani Amando, znaleźliśmy mężczyznę, który dostał z kliniki ten sam paszport dawcy co pani. To oznacza, że możecie mieć wspólnego biologicznego ojca. Dla pewności zrobimy testy DNA.

Mężczyzna ma na imię Henrik.

Henrik dociera do martwego punktu

O tym, że jest z dawcy, wie od dzieciństwa.

Matka nie robi z tego tajemnicy, przecież wychowuje jego i młodszą siostrę samotnie. Tłumaczy im, że jej mąż zmarł, zanim zdążyli zdecydować się na dziecko. Wtedy postanowiła, że dzieciom wystarczy jeden rodzic.

Henrik: – Zawsze zastanawiałem się, czy gdyby miała jakiegoś partnera, nie byłoby nam i jej łatwiej. Pyskowaliśmy jej i nic nie potrafiła z tym zrobić. Nawet jak dała nam karę, od razu ją odwoływała. Nie nazwałbym tego wychowaniem. Mama łatwo wpadała w furię, miewała depresje. Drugi rodzic mógłby spojrzeć na problem z boku, powiedzieć: uspokój się, a od nas wyegzekwować zrobienie zadania do szkoły czy czegoś w domu.

Ojca brakowało mi tak bardzo, że kiedy miałem dwanaście lat, zacząłem go szukać. Mama spytała doktora Karbaata, czy mógłby udostępnić dane dawcy. Założyła, że lekarz musiał znać go osobiście.

Spytała syna: „Chciałbyś go spotkać? Jeśli się znają z doktorem, nie powinno być kłopotu”.

„Pewnie, czemu nie”, powiedziałem. Bo w tamtym momencie myślałem o tym dokładnie tak: „pewnie, czemu nie”.

Trzy lata później zamieniło się to w wielkie: „Boże, kim, do cholery, jest mój ojciec?!”.

W 1997 roku matka Henrika dostała list od doktora Jana Karbaata.

Szanowna Pani,

Kilka dni temu udało mi się porozmawiać z dawcą Pani dzieci. Jest obecnie

niezwykle szczęśliwy ze swoją nową żoną, wobec czego odmawia jakiegokolwiek kontaktu z konsekwencjami swego uprzedniego dawstwa. Przykro mi, ale nie mogę nic więcej dla Pani zrobić.

*Z serdecznym pozdrowieniem,
dr J. Karbaat*

Henrik: – Kiedy czytasz taki list jako dziecko, myślisz tylko: OK, tak czasem bywa. Potem dorastasz, stajesz się mężczyzną i czujesz, że ojciec jednak by się czasem przydał. Pojawia się żal, bo on dostał sygnał, że istniejesz, miał szansę cię zobaczyć, poznać. I zdecydował się tego nie robić.

Kiedyś kolega mówi Henrikowi, że mu zazdrości. Jego ojciec przez cały dzień albo siedzi przed telewizorem, albo czyta gazetę, wiecznie ma go gdzieś. „Nie masz co narzekać. Wolałbym nie mieć ojca w ogóle, przynajmniej by nie zrzędził”. Henrika to nie przekonuje.

Mija kilka lat. Znów zagląda do korespondencji, znów czyta zdanie, w którym został nazwany „konsekwencją uprzedniego dawstwa”. Patrzy na zamaszty podpis lekarza, przegląda paszport dawcy – jedyny dowód na jego istnienie. Dostali go od Karbaata, kiedy po latach odwiedzili klinikę, choć, jak zaznaczył lekarz, dokument w zasadzie powinien być już dawno zniszczony. Czyta:

„Dwójka dzieci, praca w banku, stanowisko kierownicze”.

„Nie popieram niczego, co jest wbrew naturze”.

Następnie pisze list do kliniki z prośbą o więcej szczegółów.

Odpowiedź: *Dziękujemy za kontakt. Doktor Karbaat przekazuje, że nie poda żadnych dodatkowych informacji o dawcy. Bardzo mi przykro, że nie możemy dla Pana nic więcej zrobić.*

Tak łatwo się nie poddam, myśli chłopak. Kolejny list adresuje do popularnego programu *Bez śladu*, w którym przed kamerami telewizyjnymi godzą się skłóceniu przez lata bracia, a adoptowane dzieci szukają prawdziwych rodziców.

Henrik: – To taki show, gdzie najpierw wysłuchują płacziwej historii o tym, jak bardzo kochałeś tego brata, a potem pytają, czy chciałbyś go zobaczyć ponownie. Na to gość mówi: „Tak, marzę o tym!”, a prowadząca odpowiada: „To świetnie się składa, bo on jest dzisiaj z nami!”. Albo dziecko spotyka matkę, która przed laty oddała je do adopcji. Jest wielki krzyk: „Mój Boże, nie wierzę w to!”, łzy, happy end.

Pomyślałem, że to coś w sam raz dla mnie.

I napisałem do nich list:

Droga Redakcjo Bez śladu,

Nazywam się Henrik, mam dwadzieścia dwa lata, studiuje historię na Uniwersytecie w Utrechcie. Moja własna historia jest podobna do tych, które opisujecie: zostałem poczęty poprzez sztuczne zapłodnienie. Moja mama miała

trzydzieści siedem lat, kiedy postanowiła starać się samotnie o dziecko. Jej partner zmarł na raka, a ona poddała się leczeniu w Centrum Medycznym Bijdorp w Barendrechcie. W 1984 roku w Goudzie urodziłem się ja, cztery lata później moja siostra. (...)

W 1997 roku matka spytała mnie, czy chciałbym poznać ojca. Powiedziałem, że tak, choć nie zdawałem sobie sprawy, ile ta kwestia będzie dla mnie znaczyć w przyszłości. Moją mamą zajmował się doktor Jan Karbaat, znał dawcę prywatnie. Paszport z danymi powinien być w zasadzie już zniszczony, ale doktor dał nam szansę na kontakt. Niestety, mój biologiczny ojciec odmówił spotkania. Szukam pomocy w ustaleniu danych tego człowieka, docelowo chciałbym się z nim zobaczyć. Rozumiem, że dostajecie wiele podobnych listów, ale próbuję mimo to.

W ostatnich latach zdałem sobie sprawę, że chcę wiedzieć, skąd pochodzę. Oprócz psychologicznych konsekwencji dorastania bez ojca (nie chciałbym dramatyzować, ale jednak są one widoczne, przynajmniej u mnie) czuję niepewność związaną z brakiem korzeni. Dzwoniłem w zeszłym roku do kliniki, odmówili pomocy. Nie chcieli również podać namiarów na doktora Karbaata, dodając, że poczciwy doktor nie może mi nic więcej powiedzieć.

Dotarłem do martwego punktu, ale nie poddaję się. Moja dziewczyna przekonała mnie, żebym napisał do Bez śladu. Czy możecie nam pomóc w poszukiwaniach?

Załączam dokumenty i fotografię. Z całego serca dziękuję za przeczytanie tego listu i mam nadzieję, że otrzymam od Państwa wkrótce jakąś informację.

Z pozdrowieniami

Henrik

PS Podaję adres: nieustraszony@(...)

– Producenci odpisali, że mają wiele podobnych listów i moja historia nie została wybrana. Powoli godziłem się z tym, że już nigdy go nie znajdę – opowiada mi Henrik, kiedy rozmawiamy w jego domu pod Utrechtem.

Na kanapie obok śpi kilkumiesięczna córeczka, Henrik siedzi w fotelu, za jego plecami widzę przez okno pojawiające się nagle i znikające z pola widzenia dziecięce buciki. Góra, dół, góra. To jego dwie starsze córki skaczą na trampolinie.

– Ciekawe, że cała trójka ma skórę białą jak mleko. Żartowałem ostatnio z żoną, że wygląda mi to na robotę przystojnego mleczarza z okolicy. Ale to przecież loteria, sam jestem tylko trochę śniady.

Kiedy Henrik pokazuje mi dokumenty, z teczki wypada kilka małych karteczek. Na każdej jest nazwisko Jana Karbaata i różne adresy pocztowe.

– Takie małe śledztwo. Chciałem porzucić poszukiwania, ale żona przekonała mnie, żebym się nie poddawał. Pod żadnym adresem nie mieszka właściwy Karbaat. Znaleźliśmy za to organizację, która pomagała dzieciom z dawców, dopiero co powstała.

Zrobili mi test DNA, pobrali patyczkiem próbkę nabłonka z wnętrza policzka. Dostałem mejl, że mój materiał genetyczny jest zgodny z dwiema osobami w bazie. Żadna z nich nie była moim ojcem.

Okazało się, że mam rodzeństwo: Amandę i Boya.

– Jakie to było uczucie?

– Dziwne. Szukałem taty, a nie siostry i brata. Oczywiście, pamiętałem to, co Karbaat powiedział mojej mamie podczas wstępnej wizyty, że na jednego dawcę przypada nawet sześćcioro dzieci. Wyobrażałem więc sobie, że gdzieś w Holandii musi żyć jeszcze piątka takich osób jak ja. – Henrik uśmiecha się szeroko. – No i cóż, miałem bardzo słabą wyobraźnię.

Ktoś zapamiętuje adres Maaike i Matthijsa

„Nigdy nie poznam ojca i to jest okej. Bo jeśli o czymś nie wiesz, to jak może ci to sprawiać przykrość?”.

Mniej więcej tak do sprawy podchodził Matthijs, kiedy był nastolatkiem.

Na pytanie, skąd jest, odpowiada: z dawstwa.

Kim jest twój ojciec? Nie mam pojęcia.

Nie chcesz się dowiedzieć? Chciałbym, ale pogodziłem się z tym, że już się nie dowiem. Świat jest olbrzymi, on może być wszędzie. Nie wiedziałbym nawet, gdzie zacząć szukać.

Według Maaike to nie do końca prawda, że jej brat nigdy się nie przejmował. Myślał o tym dużo, po prostu nie dawał po sobie poznać.

Ale fakt, ona myślała częściej.

Opowiada mi o tym kilka lat później, kiedy siedzimy w jej mieszkaniu w Utrechcie. Maaike wysyła CV na różne stanowiska, jej chłopak siedzący obok nas przy stole kończy pracę magisterską, mieszkają ze sobą od kilku miesięcy.

Dorosłe życie.

Ale na półkach wciąż stoją płyty DVD z animowanymi filmami, skrupulatnie ponumerowane. Wśród nich jej ulubiony *Aladyn* Disneya.

Jest w nim ta jedna piosenka, którą główny bohater śpiewa w duecie ze swoją ukochaną, Jasminą:

Ty dom miałaś, gdzie uczono cię, jak masz rozumieć świat,

A ja wiecznie sam,

Ojcowskiej rady więc nie miał mi kto dać,

Wszak takim jak ja nie każdy chciałby się stać.

Gdzie jest sens najmłodszych lat?

Niedługo poznasz go.

Maaike: – Matka Aladyna umiera, ojca nigdy nie poznał. Zanim weźmie ślub, chce go odnaleźć. Wtedy wchodzi ten utwór. W końcu odnajduje ojca, ale on okazuje się złodziejem.

Wymarzone miejsce na ślub to dla Maaike disneyowski zamek. Matthijs wspomni, że jego siostra często uciekała z rzeczywistości w świat zmyśleń, nawet gdy była już nastolatką.

Maaike fantazjuje nie o ojcu, tylko o supermanie. Wyobraża sobie, że będzie bogaty, spokrewniony z jakąś gwiazdą, na przykład z Michaeliem Jacksonem. Że odnajdzie ich troje, weźmie z ich mamą ślub i będą mieszkać w jego wielkiej posiadłości. Maaike popołudniami wciąż słucha na piętrze kaset z bajkami, kiedy Matthijs na parterze ogląda z mamą telewizję.

Właśnie, telewizja.

Maaike obiecała sobie jedno: nigdy więcej nie pójdzie do żadnego programu. Nie dość, że po *Cudzie* miała problemy w szkole, to jeszcze nie dostała tego, po co tam poszła. Wciąż nie wie, po kim ma niektóre rysy twarzy i ciemniejszą karnację.

O tym, że ją ma, przypomina jej każdy wakacyjny wyjazd. Szybko się opala, skóra łatwo ciemnieje. Inne dzieci pytają, skąd pochodzi.

Znowu przeszukuje internet, rozgląda się po ulicach. Może to ten?

W końcu postanawia, że skoro nie może odnaleźć ojca, to chociaż siebie wymyśli na nowo.

Maaike: – Za każdym razem, kiedy już przestawałam się przejmować, w nowej klasie, szkole czy nawet na imprezie ludzie zadawali mi te same pytania. Czy na pewno jesteś Holenderką? Wyglądasz egzotycznie.

Nauczyłam się to doceniać: jest ekstra, że budzę takie zainteresowanie, wyróżniam się urodą. Kiedy odwiedzałam znajomych, których rodzice byli imigrantami, i słyszałam, jak mówią w swoich językach, myślałam: „Ach, gdybym ja też tak mogła”.

Ma czternaście lat, ciągnie ją do wielokulturowego towarzystwa. W Bredzie jest wiele dzieci, których rodzice i dziadkowie przyjechali tu przed laty z Aruby, Bonaire, Curaçao, Surinamu.

Ona wymyśla, że pochodzi z Antyli Holenderskich. Przyjaźni się z chłopakiem, Antylijszym, chodzi na imprezy z innymi dziewczynami o ciemniejszym kolorze skóry. Lubi, jak tańczą, podoba jej się ich muzyka.

A kiedy tańczy sama Maaike, jedna z dziewczyn chwali ją: „Od razu widać, że masz jakieś obce korzenie. Holenderki nie potrafią się tak ruszać”.

Maaike: – Na jednej z imprez jakiś chłopak podrywał te moje koleżanki, mówił: „Cześć, afrykańskie piękności. Obojętne mi, czy jesteście z Egiptu, czy z Antyli, byle nie z Holandii”.

Powiedziałam mu, że może też jestem z Antyli.

Przecież dopóki nie znam swojego ojca, mogę być skądkolwiek.

Jemy lunch, potem Maaike pokazuje mi swoje archiwum: dokumenty z kliniki, album fotograficzny, na którym widzę ją i Matthijsa stojących w łóżeczku z liczydłem.

Śmieję się, kiedy Maaike potwierdza, że jej mama dostała w szpitalu po porodzie na talerzu sucharek z granulkami anyżu. To przekąska dla młodych matek, która według holenderskiej tradycji ma wspomagać laktację. Nawet na pamiątkowym zdjęciu z 1983 roku, zrobionym po narodzinach pierwszego w Holandii dziecka z in vitro, lekarze zjadają się tymi sucharkami.

Oglądam ozdobną kartkę, którą rodzice Maaike i Matthijsa wysyłali tuż po porodzie znajomym: informacja, że urodziły się bliźnięta, adres, zaproszenie do odwiedzin.

Jeszcze motto: „Urodzić dziecko to jak przekazać komuś pochodnię, by nie przestawała płonąć”.

Taką pocztówkę otrzymał od nich także doktor Jan Karbaat. W odpowiedzi złożył gratulacje, życzył, żeby dzieci zdrowo się rozwijały. Napisał, że chętnie odpowie na wszelkie pytania, zachęcał do ponownego odwiedzenia kliniki. Dodał jeszcze: *Mam nadzieję, że Państwa dni będą upływać w spokoju zarówno teraz, jak i w przyszłości. Bardzo ucieszę się, jeśli zechcą Państwo wysłać mi fotografię Państwa dzieci, za którą z góry dziękuję.*

Po co prosił o zdjęcie? Nie wiadomo. Może z ciekawości?

Właśnie ciekawość sprawiła, że przesyłkę od matki Maaike i Matthijsa zobaczył ktoś jeszcze.

W 1989 roku do pokoju Karbaata wchodzi mężczyzna. To musi być wtorek, czwartek albo sobota rano, przychodzi tylko w parzyste dni tygodnia. Niedawno dowiedział się w klinice, że ma bardzo dobre wyniki.

– Gratulacje, przekazuje pan materiał genetyczny najwyższej jakości – słyszy od lekarza.

Kładzie kubeczek w wyznaczonym miejscu.

Spogląda na stół, leży na nim sterta papierów – to karty pacjentów. W rogu tej na wierzchu odręcznie zapisane są informacje o dawcy. Bez nazwiska, tylko charakterystyka: ciemne włosy, brązowe oczy, grupa krwi A+. Mężczyzna pamięta z wcześniejszych rozmów, że w klinice nie ma wielu dawców o brązowych oczach. I jeszcze grupa krwi – za dużo na zbieg okoliczności. To on.

Do jednej z kart przypięta jest ozdobna pocztówka i adres: „Maaike, Matthijs, nazwisko, adres, kod pocztowy”.

Niczego nie zapisuje, wie, że nie powinien zaglądać do dokumentów. Koncentruje się, patrzy: to na litery, to na drzwi do pokoju, nikt nie idzie, znowu na litery.

Dziwne, niewytłumaczalne uczucie, że te dwa imiona musi za wszelką cenę zachować w pamięci.

III

Nowa metoda powstawania człowieka

„Marleen i Pieter trzy lata starali się o dziecko. Bez skutku. Okazało się, że Pieter jest bezpłodny, a już rok później parze urodził się synek, Jaap. Ta opowieść brzmi może jak zmyślona historia z prasy kobiecej, ale podobne rzeczy już dzieją się w naszym kraju – donosi w 1973 roku holenderski dziennik. – Opowiedzieliby wam o tym ginekolodzy, gdyby nie to, że sztuczne zapłodnienie nasieniem dawcy odbywa się w całkowitej tajemnicy”.

Rok wcześniej, w grudniu 1972 roku, na specjalnym wykładzie w Utrechcie znany lekarz Jan Kremer podsumowuje ówczesny stan wiedzy na temat płodności.

Omawia nowe badania, takie jak te, że o niepłodności często decydują czynniki psychologiczne. Bywa, że para nie chce się z tym pogodzić i żąda od lekarza jasnej odpowiedzi: w ilu procentach jest płodna? czemu nie może zająć w ciąży? czy lekarz coś przed nimi ukrywa?

W Holandii lekarze przeprowadzają w tamtym czasie dwieście do trzystu inseminacji nasieniem anonimowego dawcy. To niedużo, chętnych par jest trzy razy tyle. Dzięki tej metodzie rodzi się około setki dzieci rocznie.

Lekarzy specjalistów, takich jak Kremer, jest również niewielu. Niektórzy zajmują się tym zagadnieniem już od lat pięćdziesiątych.

W pierwszym okresie Kościół w Holandii uważa, że zabiegi inseminacji nasieniem mężczyzny innego niż mąż „naruszają gwarantowaną ślubem jedność małżeńską”. Jeden z lekarzy w pracy doktorskiej z 1957 roku zastanawia się, jak można uzyskać nasienie do tego typu zabiegów, by nie było to grzechem.

Zdrada małżeńska w Holandii jeszcze w latach sześćdziesiątych jest teoretycznie czynem karalnym oraz głównym powodem rozwodów, inseminacje budzą więc wątpliwości prawników. Rozwiewa je w 1965 roku Sąd Najwyższy w Hadze. Stwierdza: zabiegów tych w żadnym wypadku nie można uznać za zdradę.

Mimo to w przeprowadzonej wtedy anonimowej ankiecie zaledwie kilka procent holenderskich lekarzy popiera tę metodę starania się o dziecko. Jeden z nich pisze z przekonaniem, że Holenderki myślą zbyt trzeźwo, by naiwnie poddawać się takim wątpliwym prawnie i moralnie zabiegom. „Dlatego właśnie nie przewiduję wzrostu popularności inseminacji w naszym kraju” – dodaje.

Myli się.

Rewolucja seksualna zbiera żniwo: dziesięć lat później lekarzy popierających zabiegi jest już więcej niż ich przeciwników. Jeden z nich, pracujący w Rotterdamie J.H. Aafjes, twierdzi: „Tysiące mężczyzn nie wiedzą, że nie są ojcami dzieci, które uważają za własne. Moim zdaniem zapłodnienie nie jest

niczym świętym. Nic się nie stanie, jeśli czasem dojdzie do niego poza stałym związkiem małżeńskim. Zdrowe pary rozwiązują to na różne sposoby bez udziału lekarza. A my zajmujemy się tym ułamkiem kobiet, które nie znalazły takiego sposobu”.

Dawstwo nasienia zyskuje na znaczeniu również dlatego, że coraz trudniej jest adoptować dziecko. Holendrzy chętnie przysposabiają w ten sposób dzieci z kraju i zagranicy, ale w latach siedemdziesiątych jest już ich tak mało, że szanse ma zaledwie dziesięć procent chętnych par.

Co jakiś czas można natknąć się na ogłoszenia w prasie: „Klinika szuka dawców nasienia. Anonimowość gwarantowana”.

Lekarze rekrutują studentów medycyny i członków organizacji humanitarnych, choćby Czerwonego Krzyża. Ich najłatwiej przekonać – na co dzień służą innym ludziom. Doktor Aafjes przekonuje na uniwersytecie w Rotterdamie przyszłych lekarzy: „Oddawanie nasienia to jeden z najlepszych sposobów spędzania wolnego czasu!”.

Rosną kolejki do lekarzy. Listy oczekujących na zabieg liczą w niektórych miejscach setki par. *Dziecko z dawcy daje rodzicom szczęście* – głosi tytuł w ogólnokrajowej gazecie miesiąc przed wykładem Jana Kremera. Zabiegi odbywają się już nawet w Szpitalu Opatrzności Bożej w Sittard. Sam Kremer uczestniczy w pracach komisji, która dla Holenderskiego Kościoła Reformowanego wydaje tuż przed synodem generalnym opinię na temat jego zastrzeżeń wobec zapłodnienia nasieniem dawcy.

Członkowie komisji przekonują władze Kościoła, że dawstwo nie zaburza jedności małżeńskiej, jeśli małżonkowie gorąco pragną mieć dziecko. Sprzeciwiają się też dotychczasowemu uznawaniu bezdzietności za krzyż, który para powinna nieść w milczeniu. Podkreślają, że biblijny krzyż „nie powinien wieść do pasywnego fatalizmu, tylko do inspirowanej Ewangelią aktywnej postawy”, choćby takiej, jak odwiedzenie lekarza.

Czy grzechem jest, jeśli rodzice nie mówią dzieciom prawdy o ich pochodzeniu z dawcy nasienia? – zastanawia się synod. Czy dopuszczalne jest wykorzystywanie nasienia chrześcijanina do zapładniania ateistów? – pada pytanie z sali.

Kremer wspomina, że choć przeciwnicy zabiegów wciąż powołują się na wiarę, on sam zna księży i pastorów, którzy udzielili błogosławieństwa parze decydującej się na nasienie anonimowego dawcy. „Według Biblii zdrada wiąże się z pożądaniem. W tym wypadku ani o pożądaniu, ani o stosunku seksualnym nie ma mowy” – mówi.

Podczas wspomnianego wykładu w Utrechcie twierdzi, że Holendrzy przeceniają więzy krwi: „Rodzicielstwo nie ma nic wspólnego z pokrewieństwem biologicznym. To dwie różne sprawy i musimy to wreszcie zrozumieć” – podkreśla

lekarz, który w przyszłości będzie dyrektorem jednego z największych banków spermy w kraju.

Słuchaczom zgromadzonym w uniwersyteckiej sali powtarza, że minie jeszcze wiele lat, zanim Holendrzy zrozumieją, że wychowywanie dzieci przez inne osoby niż biologiczni rodzice jest równie wartościowe.

Dopóki to się nie zmieni, rozwiązanie jest jedno: o tym, że para korzysta z nasienia dawcy, nie może dowiedzieć się nikt z ich otoczenia. Podkreślają to w latach siedemdziesiątych wszyscy specjaliści.

L.I. Swaab, pionier inseminacji nasieniem dawcy w Holandii, mówi, że w tajemnicy dobiera dawcę do oficjalnego ojca tak, by byli jak najbardziej podobni. Zwiększa w ten sposób szansę, że rodzina jednak dostrzeże podobieństwo między dzieckiem a bezpłodnym mężczyzną.

Opowiada dziennikarzom, że po latach odbywa rozmowy zarówno z dziećmi z dawców, jak i z ich rodzicami. Ponoć u każdej z par, do których wrócił, zauważył wzrost szczęśliwości i satysfakcji życiowej.

O rozmowach z dziećmi oraz ich satysfakcji życiowej nie wspomina słowem.

Przytacza za to statystykę, pochodzącą podobno z amerykańskich badań, według której wśród małżeństw decydujących się na dziecko z dawcy odsetek rozwodów jest aż dwadzieścia razy mniejszy niż przeciętny.

Amsterdamski lekarz H.J. Versteeg powtarza na łamach gazety zalecenia, by mieszać nasienie dawcy z nasieniem bezpłodnego mężczyzny. Daje to mężczyźnie choćby złudną nadzieję, że jednak on jest biologicznym ojcem dziecka.

Versteeg wspomina też podział zadań, z którym się spotkał: inseminuje jeden lekarz, a ciążę prowadzi inny, który nie wie, w jaki sposób kobieta w nią zaszła. Dzięki temu zwiększa się poufność zabiegów i pewność, że po porodzie lekarz bez wahania wpisze w rubryce „Ojciec” nazwisko bezpłodnego męża kobiety. To ważne, bo w tamtym czasie kwestia dawstwa jest wciąż nieuregulowana prawnie – taki wpis mógłby być uznany za poświadczenie nieprawdy i karalny.

„Można odnieść wrażenie, że ustawodawca, jak długo się da, przymyka oko na tę nową metodę powstawania człowieka i czeka, w jaką stronę się ona rozwinie” – pisze lekarz.

Jego kolega L.H. Levi podkreśla: zgłaszający się do lekarza mężczyzna nie powinien o swoim problemie mówić nikomu, nawet rodzicom. Jak twierdzi Levi, zwiększyłoby to ryzyko, że syn lub córka dowiedzą się kiedyś prawdy i źle to zniosą.

Wtórzuje mu Kremer: „Jeśli wiedzą dziadkowie, rozpowiedzą ciociom, wujkom i kuzynom. Im więcej osób wie, tym trudniej dochować tajemnicy. A trzeba ją za wszelką cenę utrzymać. Szczególnie jeśli problem leży po stronie mężczyzny”.

Levi dzieli się z dziennikarzem swoim sposobem na sprawdzenie, czy na

pewno nikt nie dowiedział się o przypadłości pacjenta.

Podczas wstępnej wizyty zadaje każdemu mężczyźnie podchwytliwe pytanie: „Czy pana rodzice równie mocno jak pan przeżywają to, że nie może pan mieć dzieci?”. „Oni o niczym nie wiedzą” – brzmi jedyna właściwa odpowiedź. Jedyna, bo jeśli padnie inna, lekarz odmawia zabiegu.

Versteeg pisze w jednym z artykułów, że anonimowość ma za zadanie „chronić dziecko przed wieloma psychicznymi i społecznymi komplikacjami”. Jakimi? Tego nie precyzuje.

Dziennikarz pyta Kremera po wykładzie: – Czy nie uważa pan, że dziecko ma prawo do poznania swojej biologicznej tożsamości?

Kremer: – Małżeństwa, które są tego zdania, nie powinny decydować się na inseminację. Jedyną osobą, która zna biologicznego ojca dziecka, jest lekarz. Ma on obowiązek ukrywać tożsamość dawcy przed wszystkimi. Dlatego też żadne z dzieci, które urodzą się w ten sposób, nigdy nie dowie się, kto jest jego biologicznym ojcem.

Lekarze decydują o wielu pozamedycznych kwestiach. Levi potwierdza, że przy pierwszym wywiadzie medycznym ocenia, czy pojawienie się dziecka podniesie radość życia danej rodziny.

On i jego koledzy po fachu ustalają podczas rozmowy z przychodzącą do nich parą, czy nie próbuje staraniem się o potomka rozwiązać problemów w związku i czy potrzeby dziecka będą w tej rodzinie zaspokojone.

A co, jeśli nie? To od opinii lekarza zależy, czy zabieg się odbędzie.

Kremer: – Oceniamy, czy nie zakłóci to harmonii w związku, czy partnerzy są świadomi swojej decyzji i podejmują ją bez nacisków z zewnątrz. Po raz kolejny sprawdzamy, czy o bezpłodności mężczyzny nikt się nie dowiedział. Wreszcie zastanawiamy się, czy relacja dwojga ludzi daje nadzieje na to, że wychowają dziecko w sposób odpowiedzialny.

Konsultacji psychologa Kremer nie uważa za konieczną. Wystarczy mu opinia lekarza rodzinnego, on najlepiej zna daną parę.

Nie wiadomo, czy na sali wykładowej Uniwersytetu w Utrechcie w 1972 roku siedzi Jan Karbaat. Ale to możliwe: słowa padają przecież na specjalistycznej konferencji, Kremer to autorytet w dziedzinie leczenia niepłodności, a Karbaat od dłuższego czasu zajmuje się tą tematyką. Pracuje wtedy w szpitalu w Rotterdamie, powoli rozwija działalność prywatnej kliniki w Barendrechcie.

Leczenie niepłodności to w tamtych czasach domena ledwie kilku osób w kraju, każdy zna każdego.

Jeśli tam jest, prawdopodobnie słucha podsumowania Kremera.

Może myśli już o założeniu kliniki z bocianem, do której po latach przyjdą matki Amandy, Maaike i Henrika?

„Na naszych oczach zarysowuje się powoli nowa specjalizacja medycyny:

nauka o ludzkiej płodności” – kończy wykład Kremer, który pięć lat później jako pierwszy w kraju zostanie profesorem w tej dziedzinie.

W ostatnich zdaniach mówi, że widzi na horyzoncie kilka przełomów.

Pierwszy to będące w fazie badań zamrażanie nasienia, które pozwoli przechowywać materiał genetyczny przez wiele miesięcy i lat. On sam prowadzi nad tą metodą wstępne testy (uda się to pod koniec lat siedemdziesiątych).

Drugi przełom to in vitro, o którym w świecie medycznym mówi się coraz głośniej. Pierwsze w Holandii dziecko z probówki urodzi się dziesięć lat później, w 1983 roku. Na razie lekarze korzystają głównie z wziernika, strzykawki i plastikowej słomki wypełnionej nasieniem.

Ostatnią składową częścią, której zdaniem Kremera brakuje jeszcze do optymalnej opieki medycznej w tym zakresie, są doświadczeni, wyspecjalizowani lekarze. Prawdziwi fachowcy w leczeniu niepłodności.

Dziennikarz pyta Kremera, czy lekarze nie mają jednak zbyt dużej władzy. Podaje przykład: urzędnik stanu cywilnego nie może odmówić pełnoletniej parze zawarcia małżeństwa, jeśli uzna, że ich związek nie rokuje.

Kremer odpowiada, że choć w demokratycznym holenderskim społeczeństwie lat siedemdziesiątych każda para ma prawo do posiadania tylu dzieci, ile chce, nie nakłada to na lekarzy obowiązku realizacji każdego takiego życzenia. Mogą oni działać w zgodzie z sumieniem.

I kończy: – Poza tym mam zobowiązanie wobec dawców. Z doświadczenia wiem, że chcą, by ich sperma była wykorzystywana odpowiedzialnie.

Nawet nie wiem, ile mam dzieci

Holenderskim mediom dawcy mówili tak:

– To takie dzieci na odległość. Czuję, że są w pewnym sensie moje, ale nie mam z nimi kontaktu. Wiem tylko, że istnieją. Moja rola to zapłodnienie, reszta należy do rodziców. Ale jeśli będą chciały mnie kiedyś odnaleźć, droga wolna.

– Zaczęło się od oddawania krwi, a skoro to nie przychodziło mi z jakimś wielkim trudem, pomyślałem, że oddawanie nasienia też nie będzie problemem.

– To była raczej tajemnica, nikt nie biegał po znajomych z kubeczkim, mówiąc: „Dzisiaj oddam spermę”.

– Ktoś z mojej rodziny dziesięć lat starał się o dziecko. Pomyślałem, że mógłbym takim parom pomóc. Najpierw zarejestrowałem się jako dawca w klinice, ale zrezygnowałem, bo wydawało mi się to bezosobowe.

Teraz umawiam się z parami hetero- i homoseksualnymi oraz matkami BOM. Muszę mieć pewność, że dziecko przyjdzie na świat w szczęśliwej rodzinie. Mam szacunek dla samotnych matek – to odważna decyzja, ale ją rozumiem. Nie każda kobieta chce czekać z macierzyństwem, aż spotka księcia na białym koniu. Szczególnie jeśli poznała w życiu mężczyzn, którzy ją zawiedli.

Sam mam trzydzieści pięć lat i wciąż szukam tej jedynej, z którą będę miał dzieci. Ale cóż, kiedy ostatni raz sprawdzałem, Claudia Schiffer wciąż była zajęta.

– Robiłem to, bo znałem pary, dla których brak dziecka był ciosem. Mam sześćdziesiąt pięć lat, jestem ojcem i dziadkiem, ale moja rodzina nie ma pojęcia, że byłem dawcą. Z tego, co wiem, z mojego nasienia urodziła się ósemka dzieci. Mimo że nie było to wtedy wymagane prawem, zostawiłem za pośrednictwem kliniki dane u notariusza, żeby mogły mnie odnaleźć, póki żyję.

– Mają siedemnaście lat lub mniej, jest ich maksymalnie dwadzieścioro pięcioro. Tyle wiem. W 1983 roku badałem się pod kątem chorób przenoszonych drogą płciową, asystentka spytała, czy nie chciałbym być dawcą. Pomyślałem, że jeśli komuś pomogę takim małym nakładem sił, czemu nie. W 1997 przeczytałem list pewnego dziecka z dawcy, chłopak szukał ojca.

Pomyślałem: shit, to może dotyczyć też dzieci, które pojawiły się na świecie dzięki mnie.

Mam wrażenie, że powołałem żywych ludzi na świat w sposób, który dziś uważam za nie do końca właściwy. Wiem, wiele dzieci nie ma ojców, ale gdy ojciec odchodzi, umiera, to jednak co innego. Moje biologiczne dzieci ktoś z pełną świadomością powołał na świat bez ojca, ukrył jego nazwisko. Co, jeśli będą się zastanawiać: skąd pochodzę, jaki charakter ma ten mężczyzna? Pomyślałem, że powinny mieć prawo mnie poznać.

Napisałem do kliniki, w której byłem dawcą, żeby udostępniła dane dzieciom poczętym z mojego nasienia. Odpisali, że całą dokumentację zniszczyli. Nie powinni tego robić, nie rozumiem, kto dał im prawo mieszania się w cudze życie.

– Dawcą byłem dawno temu, miałem dwadzieścia trzy lata, to były dzikie czasy. Szczerze mówiąc, poszedłem z kumplem i mieliśmy cichą nadzieję, że przy oddawaniu nasienia będą w jakiś sposób zaangażowane pielęgniarki. Okazało się, że wcale nie. Ale można było zrobić dobry uczynek, więc i tak się zdecydowałem. Teraz, czterdzieści lat później, nie wiem nawet, ile mam dzieci.

– Nazwałbym to czynem społecznym. To była pomoc ludziom, dostawaliśmy za to jedynie zwrot kosztów podróży.

– Robię to już dziesięć lat, od kiedy poznałem niezależnie od siebie dwie pary, które nie mogły mieć dzieci. Nie dostaję pieniędzy, a poświęcam kilkadziesiąt godzin swojego czasu rocznie. Altruizm to duże słowo, ale chyba w tym wypadku właściwe.

Kiedy zacząłem, byłem po rozwodzie. Kolejnej partnerce powiedziałem od razu, zareagowała neutralnie, a gdy dowiedziała się, że to anonimowo, zupełnie się uspokoiła.

Moje dzieci z pierwszego małżeństwa wiedzą. Córka uważa, że to dziwne. Rozumiem ją, nie chce wyobrażać sobie swojego ojca masturbującego się do

plastikowego kubeczka. Ale syn był nawet ciekaw kliniki, do której chodzę. Wziąłem go ze sobą, oglądaliśmy pod mikroskopem, jak lekarze zamrażają plemniki. Powiedział: wow, one wszystkie płyną w tę samą stronę.

Dzieci, które chciałyby mnie odnaleźć? Nic mi do tego. Nie muszę konfrontować się z kimś tylko dlatego, że łączy mnie z nim te parę genów. Anonimowość była zagwarantowana, to dla mnie rodzaj umowy z kliniką i rodzicami. Rozumiem prawo dziecka do poznania swoich korzeni, ale nie wiem, czemu miałyby to łamać moje prawo do spokoju ducha.

To nie tak, że jestem bez serca i nie umiem wyobrazić sobie, przez co przechodzi dziecko poszukujące dawcy. Rozumiem to, ale nie mogę przejmować się każdym takim przypadkiem.

Kiedy oddaję krew, nie mam wpływu na to, że uratuje ona życie jakiemuś mordercy. Taka sytuacja to wyjątek, który potwierdza regułę.

Nigdy nie gryzło mnie sumienie, staram się nad tym nie zastanawiać. Kiedy widzę ambulans na sygnale, nie myślę: „o, wiozą moją krew”, tylko: „tak, wiem, że postępuję właściwie”. Gdy widzę rodziców z małym dzieckiem, nie myślę: „o, to mogłoby być moje”, tylko „ale ładny widok”.

Dla mnie to tylko parę mililitrów nasienia, które po sobie pozostawiam.

To przecież zupełnie co innego niż dziecko.

Spór: mówić czy nie mówić

Pojawiają się nowe dylematy.

Czy matki BOM mają prawo korzystać z inseminacji anonimowym nasieniem? Co z mężczyznami, którzy chcieliby samotnie wychowywać dziecko? Jakimi kryteriami powinni kierować się lekarze przy doborze dawców?

W 1981 roku jeden z holenderskich lekarzy ogłasza na łamach „Nieuwsblad van het Noorden”, że w jego klinice nie będą przyjmowani homoseksualni dawcy, z uwagi na możliwe dziedziczenie preferencji seksualnych. Przyznaje też, że skreślił niektórych kandydatów z takich powodów, jak ponadprzeciętny wzrost, astma czy reumatyzm. Z uwagi na dobro dzieci odmawia matkom BOM inseminacji.

Holendrzy protestują zarówno na ulicach Utrechtu, jak i w listach do redakcji gazety:

Przekracza pan swoje kompetencje, decydując, w jakich rodzinach i jakie dokładnie dzieci pojawią się na świecie.

Skoro nawet wzrost może być problemem, następni w kolejce będą rudzi i leworęczni. A potem?

Nie zgadzam się z odmową pomocy samotnym kobietom, które pragną macierzyństwa. Wychowuję samotnie dzieci, znam takie kobiety i mam z nimi jak najlepsze doświadczenia. (...) Przy okazji chciałabym się dowiedzieć, jak

wspomniany doktor ustala, czy ktoś jest homoseksualistą, czy nie.

Twierdzenia tego pana na temat homoseksualizmu wzbudzają we mnie gniew. Wydawało mi się, że mamy rok 1981 i na takie poglądy dawno nie ma już miejsca.

Co z heteroseksualnymi pedofilami i gwałcicielami, czy będą wykrywani? Może pan doktor w celu zmniejszenia ryzyka będzie używać jedynie własnej spermy?

W obronie lekarza występuje chrześcijański etyk. Mówi, że wprawdzie nie wiadomo jeszcze, czy dzieci wychowywane przez samotne matki są nieszczęśliwe i czy homoseksualność jest dziedziczna, ale właśnie dlatego należy zachować w tych kwestiach ostrożność.

Czytelnikom odpowiada sam lekarz: akceptował w przeszłości homoseksualnych dawców, ale wiele par było przeciw. Homoseksualiści są według niego grupą ryzyka, jeśli chodzi o choroby weneryczne, i wyklucza ich nie ze względu na preferencje seksualne, ale właśnie z powodu ryzyka trudno wykrywalnych (w tamtym czasie) chorób.

Podkreśla, że na specjalne, dobrze umotywowane życzenie danego małżeństwa zgodziłby się zarówno na dawcę homoseksualnego, jak i o innym kolorze skóry.

W kwestii matek BOM jest nieugięty – jego zdaniem odgórne pozbawianie dziecka ojca nie wchodzi w grę.

Szanuję opinię każdego człowieka, ale nie chcę uczestniczyć w działaniach, z którymi się nie zgadzam. Czuję się odpowiedzialny za swoje czyny, nie jestem bezmyślną maszynką do inseminacji. Chcę mieć prawo do głosu i współdecydowania zarówno o tym, co robię, jak i o tym, jakie to będzie miało konsekwencje w przyszłości – pisze.

Jedną z konsekwencji jest to, że w Holandii dzieci urodzone dzięki dawstwu wciąż nie mają prawa poznać biologicznego ojca.

Dużo mówi się o tym w holenderskich mediach, kiedy w 1985 roku anonimowości dawców zakazuje Szwecja.

Lekarz pracujący w Lejdie: – Moi dawcy zrezygnowaliby od razu. Szwedzki eksperyment to prosta droga do zupełnego zlikwidowania dawstwa nasienia, dzięki któremu rodzi się u nas już pięćset dzieci rocznie.

Lekarz z Lejdy rozumie, że niektóre dzieci mogą w przyszłości wyrazić chęć poznania tożsamości biologicznego ojca, ale w momencie wywiadu dla gazety przeprowadza inseminacje dopiero od kilku lat.

Jan Kremer, wtedy już wieloletni autorytet w tej dziedzinie, powtarza to samo co przez poprzednie kilkanaście lat: anonimowość jest konieczna, a on chce być lojalny wobec dawców. Dodaje, że na jego lojalność liczą również rodzice, którzy nie życzą sobie zniesienia anonimowości.

Nie dodaje, że sam ich do tego zniechęca, kiedy odwiedzają go w klinice i pytają o radę w tej intymnej sprawie.

Tłumaczy, że wiedza o tym, kim jest biologiczny ojciec danej osoby, nie przysłuży się niczemu dobremu.

Nie tłumaczy niestety, dlaczego.

W artykule w znanym czasopiśmie naukowym wyjaśnia to tak: *W wypadku dziewięćdziesięciu pięciu procent dzieci z dawców nie jest konieczne informowanie ich o sposobie, w jaki przyszły na świat, ponieważ nie ma potrzeby, by dowiadywały się, że narodziły się wskutek inseminacji nasieniem dawcy.*

Na poparcie swoich tez przywołuje badania własne i ankietę przeprowadzoną przez doktora L.H. Leviego dwadzieścia lat wcześniej.

– Wiem, że niektórzy prawnicy i genetycy są za tym rozwiązaniem – mówi pewnemu dziennikarzowi. – Nie spodziewam się jednak, by rząd holenderski kiedykolwiek podjął tak protekcyjną decyzję.

Czy każdy człowiek ma prawo do posiadania dziecka? Czy każde dziecko ma prawo do wiedzy o swoich biologicznych korzeniach? Czy dawca nasienia ma prawo do anonimowości?

W połowie lat osiemdziesiątych coraz więcej osób widzi, że odpowiedzi na te pytania wzajemnie się wykluczają.

Pojawiają się głosy przeciwne lekarzom.

„Spotkania dawców z dziećmi nie są konieczne, ale każdy człowiek ma prawo wiedzieć, po kim odziedziczył geny” – mówi w 1985 roku profesor René Hoksbergen, gdy na Uniwersytecie w Utrechcie otwiera pierwszą w historii katedrę nauk o adopcji. Dawstwo to dla niego właśnie „adopcja, tyle że w ukryciu”. Hoksbergen to jedna z niewielu osób, które w tamtym czasie pozytywnie komentują zmiany prawa w Szwecji. Podkreśla, że liczba szwedzkich dawców nasienia po zniesieniu anonimowości spadła, ale nie do zera.

Kremer odpowiada mu, że każdy spadek liczby dawców sprawia, iż niektóre chętne pary muszą szukać pomocy za granicą. Mniej zgłaszających się to też mniejsza szansa na idealne dopasowanie cech fizycznych dawcy do bezpłodnego mężczyzny oraz więcej dzieci z tego samego dawcy.

Dyskusja między Hoksbergerem a Kremerem będzie toczyć się w holenderskich mediach przez dwadzieścia lat z przerwami. Mimo że zmienia się w tym czasie obyczaj, technologia i prawo dotyczące dawstwa, profesorowie pozostaną przy swoich pierwotnych poglądach.

Ale na razie jest rok 1986, dawcy w Holandii pozostają anonimowi, a samo dawstwo, jak pisze jedna z gazet, „kwitnie jak nigdy przedtem”. Choć półroczna kuracja kosztuje od tysiąca do półtora tysiąca guldenów, chętnych nie brakuje.

Odpowiedzią na coraz częstsze obawy o zakażenie się wirusem HIV jest długo oczekiwana technologia zamrażania nasienia. Dzięki niej lekarze

przechowują materiał genetyczny przez wiele miesięcy, a w międzyczasie robią dawcom testy krwi. Po trzech miesiącach mają pewność, że nasienie jest bezpieczne.

Kremer uważa, że trzy miesiące to przesada: „Przecież jeśli wyłączymy grupy ryzyka, AIDS i HIV prawie nie występują”.

Lekarz mówi, że najchętniej współpracuje z dawcami żonatymi i wierzącymi w Boga. Na pytanie, o które grupy ryzyka mu chodzi, odpowiada, że w przeważającej większości są to „rozwiązli homoseksualiści”, i jeśli wyłączy się ich i narkomanów z puli dawców, zagrożenia nie ma.

Nie zgadza się z nim Jan Karbaat, prowadzący już wtedy dwie kliniki, w tym tę w Barendrechcie: „Nie możemy sobie pozwolić na lekkomyślność. Jedno dziecko zakażone wirusem HIV zdyskredytowałoby wszystko, co robimy. Może dla kolegi Kremera ryzyko faktycznie jest niewielkie, on ma małą grupkę dawców, zna każdego osobiście”.

Karbaat rozmiary swojej kliniki podkreśla nie bez powodu. W tamtym czasie jest w zapładnianiu liderem. Na dwa tysiące Holenderok rocznie korzystających z zabiegów w kilkunastu klinikach i szpitalach w kraju aż siedemset przychodzi właśnie do jego placówek. Polecają go ginekolodzy w całym kraju. Mówi, że u niego zajście w ciążę już po kilku miesiącach zabiegów jest niemal gwarantowane.

Nie ma też jeszcze problemów z dawcami. Inni lekarze coraz częściej żalą się prasie, że chętnych do oddawania nasienia jest za mało, ale Karbaat nie narzeka: „To kwestia solidnej rekrutacji i utrzymywania dobrych kontaktów. Zatrudniam specjalistów, którzy werbują odpowiednich mężczyzn” – mówi.

Lekarze przyznają, że sztuczne zapłodnienie to nic wielkiego, ludzie mogą je zrobić sami w domu. Sztuką jest według Karbaata i jego kolegów dobór dawcy, który odpowiada potrzebom pary.

Część kobiet wraca do kliniki, kiedy chce znowu zajść w ciążę. Zwykle jest zainteresowana nasieniem tego samego dawcy co przy pierwszym dziecku.

Co wtedy z limitami liczby dzieci na jednego mężczyznę?

Najważniejsze są tu rozważa, samokontrola i wycucie – mówią zgodnie w latach osiemdziesiątych lekarze.

Ale dodają, że prawo zmienia się powoli i wciąż brakuje wiążących przepisów.

Podtytuł dużego reportażu o dawstwie z 1986 roku brzmi: *Poza etyką zawodową nie obowiązują tutaj żadne reguły.*

Trzydzieści lat później okaże się proroczy.

IV

Wspólne geny, inne łazienki

Po raz pierwszy razem w tym samym pokoju.

Henrik patrzy na Boya – podobny, na Amandę – podobna.

– Niesamowite. Już prawie dałem sobie spokój, a teraz jakiś facet sprawdził nasze DNA i cyk! Mam siostrę i brata.

Było tak: Henrik z żoną zapraszają jego rodzeństwo do swojego mieszkania pod Utrechtem, niedużego, ale w sam raz dla nowożeńców, trzydzieści metrów, pierwsze piętro.

Amanda i Boy siadają na kanapie. Kawa, pierwsze uśmiechy i słowa. Skąd jesteś, co robisz, jak ci leci w życiu.

Rozmawiają we trójkę, ale głośno, jakby ich było więcej. Eva, żona Henrika, śmieje się, mówi, że już ten hałas wystarczy, by mieć pewność, że jej mąż i dwójka gości są spokrewnieni: ruchliwi, gadatliwi, energiczni.

O czym dokładnie rozmawiają? Z czasem wspomnienia się zacierają, Amanda pamięta tylko lekki stres, jak po ważnej wizycie u lekarza, kiedy wszystko dzieje się szybko i człowiek nie pamięta szczegółów.

Niedługo wcześniej Henrik i Boy porównali laboratoryjnie próbki nabłonka z policzka. Wynik: zgodność DNA. Kolor skóry cała trójka ma podobny, lekko śniady. Omawiają przygody z kliniką, identyczny paszport dawcy. Wciąż nie wiedzą, skąd on pochodzi.

Na tym chyba koniec zgodności.

Amanda ma dwadzieścia jeden lat, kształci się na rehabilitantkę i pielęgniarkę. Dwudziestoczteroletni Henrik jest absolwentem historii. Boy chodzi jeszcze do szkoły, jakoś mniej niż Amandę zajmują go te poszukiwania, kwestia wieku. Wspólnych hobby – brak.

Było miło – mówią wszyscy troje. – Po prostu miło.

Odwiedzają się potem jeszcze kilka razy. On mieszka pod Utrechtem, oni w Dordrechcie, w obu przypadkach na przedmieściu. Półtorej godziny drogi od siebie, przy rozmiarach Holandii to już daleko, jak wyjazd na zagraniczne wakacje.

Amanda mówi mi, że nie miała prawa jazdy, dojazd był skomplikowany. Poza tym każde było zajęte swoimi sprawami.

Henrik mówi, że chodziło o coś jeszcze – o różnicę kultur. Bo do tamtego momentu wydawało mu się, że skoro jest z kimś spokrewniony genetycznie, to od razu się dogadają.

– Różnica kultur? – pytam i widzę, jak marszczy brwi.

– Sam nie wiem, jak to ubrać w słowa.

Pomagam mu. Ustalamy razem, o co chodzi

Może o to: przychodzisz do kogoś w odwiedziny, on jest fanem Feyenoordu Rotterdam i ten klub jest dla niego tak ważny, że nie może nawet z grzeczności wyłączyć klubowej stacji radiowej. No, chociaż ściszyć. Albo ktoś, zamiast przywitać się z gośćmi, ogląda mecz w telewizji i nawet na tych gości nie spojrzy. Tę cholerną drugą połowę mógłby przecież sobie nagrać.

Bo niektórzy oglądają futbol. A inni w wolnych chwilach grają w hokeja i tenisa.

A może inaczej: są ludzie, którzy palą papierosy, noszą dresy, bezrękawniki, pokazują tatuaże. Henrik ma takich sąsiadów. Nie zważają na innych, robią remont, kiedy ty odpoczywasz w ogródku. Tacy ludzie jak w jednym holenderskim filmie, w którym grupa mechaników samochodowych próbuje przebiec maraton, a jeden z nich ukrywa, że ma nowotwór, żeby pozostać w oczach kumpli twardzielem.

– Ale czy Amanda w ogóle pali albo jest mechanikiem? – pytam.

– Rozmawiamy ogólnie przecież.

Najpewniej rzecz w tym, że nie przypadli sobie szczególnie do gustu. A może i w tym, że ludzi w Holandii można poznać po akcencie. Robotników po niedbałym, a bogatszych czy dobrze wykształconych, z dużych miast, po wyraźnym, podkreślonym, lekko angielskim „r”. Henrik też wymawia tę głoskę w taki sposób, no, przynajmniej trochę. Przypomina mu się to czasem, kiedy patrzy na swój adres, bo ma w nim aż dwa „r”.

Henrik prosi, żebym podkreślił wyraźnie: on mówi tylko o pewnej teorii socjologicznej, która sama w sobie jest niesprawiedliwa. To nie jest tak, że się wywyższa.

Zresztą jak ma się wywyższać, skoro nawet nie należy do tej klasy społecznej od hokeja. Fakt, chodził z bogatymi dzieciakami do szkoły, ale jest z takiej środkowej klasy, która trochę nie rozumie tej od piłki nożnej i trochę nie lubi tej od podkreślonego „r”.

Poza tym to też nie tak, że Henrik nie lubi piłki nożnej. Bardzo lubi, choć wiecznie miał problem, komu kibicować. Lokalnie powinien niby FC Utrechtowi, ale w jego klasie za Utrechtem byli tylko frajerzy.

– A wracając do...

– Wracając do Amandy, to kiedy się spotykaliśmy, czułem się tak, jakbyśmy rozmawiali w różnych językach, inne rzeczy były dla nas ważne. Liczyłem, że będziemy do siebie podobni, skoro mamy wspólne geny.

Kiedy odwiedził rodzinę Amandy, uderzyło go, że mają zupełnie inny gust. W łazience zobaczył czarne ściany, na nich gwiazdki, ufoludki, wokół dużo plastiku. W pokoju był szalik kibica piłkarskiego. On by tak nie urządził mieszkania. Woli minimalistyczny design, gdzie w salonie jest miejsce tylko na kilka zdjęć, czyste ściany, mały kącik zabaw dla dzieci. No, może jakiś napis brokatem.

– Jeśli spotykasz kogoś przypadkowego na ulicy – kontynuuje Henrik – nie oczekujesz, że go polubisz. A ja miałem poczucie winy: „Jak to się nie dogadujemy, przecież musimy się dogadywać, jesteśmy rodzeństwem”.

Z tych wizyt wyszło mu, że wychowanie i otoczenie są ważniejsze niż natura.

Ale wciąż jedno ich łączyło. Byli ciekawi, czy z innymi osobami z tego samego dawcy różniliby się tak samo, a może inaczej.

Bo to, że różniliby się, wiedzieli już niemal na pewno.

– Ile było maksymalnie dzieci na jednego mężczyznę? – spytała Amanda.

– Sześcioro – powiedział Henrik. – A ja mam jeszcze siostrę z tego samego dawcy. Znajdźmy pozostałą dwójkę, będzie z głowy.

Pólsiostra z telewizji

– Jak tam, Matthijs, dobrze ci się tak siedzi nad wodą? – pyta kobieta, którą przed chwilą widział tylko kątem oka. – Niespodzianka, jedziesz ze mną. No dalej, nie mamy czasu!

Był umówiony, ale wcale nie z nią. Miała przyjść brunetka, i to godzinę temu, mieli nagrać taneczne demo, takie na casting. Tak przynajmniej powiedzieli producenci, którzy do niego zadzwonili. A przyszła blondynka po czterdziestce, Irene, znał ją z telewizji, prowadziła program *Kawaler do wzięcia*.

Wsiadają do samochodu, jadą odebrać Maaikę ze szkoły teatralnej. Dziewczyna również nie spodziewała się tej wizyty.

Siadają w trójkę na ławce, za nimi stoi biały dom wystawiony na sprzedaż. Wokół leżą stare opony. To scenografia nowego telewizyjnego show.

MATERIAŁ NR 4. FRAGMENT PROGRAMU TELEWIZYJNEGO *KTO JEST MOIM OJCEM?*, 2010

Kobieta: – Zbadaliśmy Wasze DNA. Co byście powiedzieli, gdybym znalazła waszego biologicznego ojca?

Maaikę: – Najpierw musiałabym wiedzieć, że to prawda. A jeśli tak, to super.

Matthijs: – Musiałbym tej osoby dotknąć parę razy palcem, żeby się przekonać, że naprawdę istnieje.

Kobieta: – Co o nim wiecie?

Matthijs: – Kompletnie nic.

Maaikę: – Ostatnio się dowiedziałam, że zanim byliśmy w *Cudzie*, mama poprosiła w klinice o dokumentację. Doktor powiedział, że wszystko jest już zniszczone.

Gdyby się wsłuchali, usłyszeliby, że parę metrów dalej ktoś schodzi po schodach.

Kobieta: – Nie znaleźliśmy waszego ojca. Jeszcze.

Matthijs: – No tak, w sumie nie zakładaliśmy, że się uda.

Kobieta: – Ale co byście pomyśleli, gdyby znalazła się wasza siostra?

Na twarzach zdziwienie, tak to pamiętają.

Maaike: – No to grubo.

Matthijs: – To nierealne.

Ten ktoś jest już za rogiem, jeszcze parę kroków w cieniu.

Kobieta: – Macie siostrę. Chcecie ją poznać?

Maaike: – Ona tu jest?!

Matthijs lekko wachluje się ręką. – Ale dziwnie – mówi.

Wchodzi ona, Jaleesa.

Pierwsze spojrzenie. Dziewczyna podchodzi do ławki. Wygląda nieco inaczej niż oni, ma parę kilo więcej, ale widać podobieństwo.

Matthijs nie widzi tego od razu, nawet nie wstaje z ławki, przygląda się.

Maaike dostrzega podobny uśmiech, kolor bluzki. Patrzy w jej oczy, widzi różne kolory: trochę niebieskiego, zielonego, szarego, brązowego. Tak samo.

Podanie rąk, pocałunek w policzek. („Strumień adrenaliny przeszedł mi przez ciało” – powie później Maaike). Bardzo chce się jej przyjrzeć, porozmawiać z nią.

Ważny moment.

Ktoś przerywa.

– Stop! Dziękuję, cięcie, zmiana kadru! Wiecie co, nagrywamy to jeszcze raz. Światło było słabe, a i wy jacyś tacy niezbyt entuzjastyczni.

Maaike: – Wiem, miałam już nigdy nie iść do telewizji. Nie chciałam znowu być pośmiewiskiem. Ale mama zobaczyła któregoś dnia, że powstaje nowy program – *Kto jest moim ojcem?* Powiedziała: „Jeśli tam pójdziesz i go nie znajdziesz, będziesz przynajmniej spokojna, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Powiesz to potem swoim dzieciom i wnukom”.

Maaike zastanawia się: jeśli nie spróbuje, to jak potem będzie żyć ze świadomością, że mogła poznać ojca? Może nigdy nie będzie już podobnego programu, może akurat tym razem on to obejrzy, zobaczy, rozpozna w niej siebie?

Pomyślała, że pójdzie, ale tylko z Matthijsem.

Matthijs: – Nie czekałem na okazję, żeby dalej szukać ojca, ale moim zdaniem w życiu nie ma przypadków. Zajawka programu dosłownie wyskoczyła mi przed nosem w telewizji, a przecież rzadko ją oglądam. Jak się tak coś samo z siebie pojawia, musi być powód.

Zadzwoiłem do Maaike, ale ona jak zwykle była szybsza. Powiedziała, że już jest z nimi w kontakcie. Tylko nie wie, czy nie robi sobie niepotrzebnych nadziei.

Przekonywałem ją: „Chodź. Co nam szkodzi, może spróbujemy ostatni raz? Jak teraz nie wyjdzie, to już nigdy nie wyjdzie i odpuszczamy”. Nie wiedziałem,

czego się spodziewać. Ale zadzwonili, że będziemy w odcinku pilotażowym. Wyróżniało nas to, że byliśmy bliźniętami.

Poszedłem na nagranie sam, siostra nie mogła. Był wywiad. Miałem modne ciuchy i muszkę na szyi, dzisiaj nigdy bym się tak nie ubrał. Spytałem nawet, czy mam założyć długie spodnie, a oni powiedzieli, że nie, nie filmują nóg. Zostałem w krótkich, a oni je oczywiście sfilmowali. Wyglądam w tym odcinku, jakbym był w samych bokserkach.

Zadawali różne pytania, ale nie było Irene, czyli głównej prowadzącej. Powiedzieli, że przychodzi tylko, jeśli znajdzie się dawca albo rodzeństwo. Pomyślałem: okej, w takim razie nie ma co się przejmować.

Opowiadałem, kim jestem, że chciałbym być aktorem, prezenterem, tancerzem. Tyle.

Maaïke: – Oboje oddaliśmy krew, potem jeszcze przebadali dodatkowo moją mamę, dla pewności. Byłam przekonana, że nie będzie zgodności DNA, przecież szukałam już tyle lat. Nie miałam pieniędzy na badania, a to kosztowało dwieście euro. Powiedzieli, że mogę oddać krew najpierw, a zapłacić potem.

Powtórzyliśmy im naszą historię. Producenci bardzo chcieli wiedzieć jak najwięcej o moich problemach w szkole. Ucięłam to. Powiedziałam, że mieliśmy rozmawiać o szukaniu naszego dawcy, nie jestem tam po to, żeby płakać. Na końcu pytali, gdzie będę następnego dnia, powiedziałam, że w mojej szkole teatralnej.

Parę dni przed nagraniem producenci zadzwonili do Matthijisa, że spodobał się jako aktor i tancerz. Chcieliby nagrać demo, żeby mógł je pokazywać na castingach. „Super” – powiedział. „Przyjedź na dziesiątą”. „Trochę wcześniej” – odpowiedział, bo nie lubił wstawać rano, ale takiej okazji się nie przepuszcza.

W umówiony dzień pojechał z Amsterdamu do Rotterdamu. Siadł na ławce na skwerku nad rzeką, tuż koło mostu. Zadzwonili, że spóźnią się godzinę. Wtedy pojawiła się Irene.

Maaïke: – Zanim dotarłam do szkoły, już dostałam telefony i SMS-y, że muszę przyjść. Dziwne, nigdy mi się to nie przytrafiło. Pomyślałam, że pewnie trzeba posprzątać salę w szkole na jakiś spektakl i koniecznie chcą kogoś do pomocy. Usiadłam w ławce, nic nie miałam do roboty. Trochę myślałam o poprzednim dniu w telewizji. Nagle przyszedł Matthijs. Nawet się nie zdziwiłam. Bywał przecież w mojej szkole, miał tam znajomych. Przypomniało mi się, że miał nagrywać demówkę.

„Jak ci poszło?” – zdążyłam zapytać, ale zobaczyłam kamerzystę i Irene.

Powiedzieli, że prowadząca przyjechała, bo historia jest fascynująca i warto ją pokazać w telewizji. Ale że musimy nagrać to jeszcze raz, bo mówiłam szybko i niewyraźnie, dlatego poprzedni materiał idzie do kosza.

Usiedliśmy na scenie w mojej szkole, zadawali znowu te same pytania.

MATERIAŁ NR 5. CIĄG DALSZY PROGRAMU *KTO JEST MOIM*

OJCEM?

Prowadząca: – To odcinek pilotażowy programu, ale są już pierwsze zgodności między biologicznym rodzeństwem! Czekamy, aż zgłosi się wystarczająca liczba dawców. Wtedy dzieci będą mogły wreszcie dowiedzieć się, kto jest ich ojcem.

Matthijs: – To taka część tożsamości, której zawsze brakowało, nierozwiązana łamigłówka. Urodziłem się w Holandii, ale mój ojciec pochodzi z... No właśnie. Pora się dowiedzieć.

Maaïke: – Dostałam kiedyś mejla od mężczyzny, miał trzydzieści jeden lat. Powiedział, że jest moim ojcem. Pomyślałam: super, świetnie, wreszcie. A to był tylko żart jakiejś dziewczyny. Nie można żartować z takich rzeczy. Ktoś dał mi malutki kawałeczek nadziei i zabrał go sprzed nosa.

Kiedy Irene powiedziała na nagraniu, że nie znaleźli ich dawcy, Maaïke pomyślała: no tak, jeszcze nie zapłaciłam, więc czemu miałyby się znaleźć.

Kiedy Irene dodała: „Ale znaleźliśmy siostrę!”, nie uwierzyła.

Najgorzej wspominają z Matthijsem to, że scenę, w której się poznali z Jaleesą, musieli po chwili nagrać jeszcze raz. Od nowa zdziwienie, od nowa entuzjazm.

Matthijs: – To mnie wkurza w telewizji: granie na ludzkich emocjach.

Jaleesa powiedziała, że jest z Oosterhout. Maaïke się zdziwiła. Pracowała tam przecież w cukierni, kiedy miała osiemnaście lat. Możliwe, że kiedyś się już widziały.

Maaïke: – Ale nie jesteśmy do siebie podobne, na pewno bym jej nie zauważyła. Zresztą szukałam ojca, nie siostry.

Prowadząca zwróciła uwagę, że rodzinne historie Jaleesy oraz Maaïke i Matthijisa były niemal identyczne. Ona i oni dwoje urodzili się w odstępie kilku miesięcy, w obu przypadkach rodzice rozwiedli się rok później, a kiedy dzieci miały sześć lat – zerwali kontakt.

Chociaż czy „ojcowie” to właściwe słowo?

Bo Maaïke i Jaleesa mówią, że nie do końca.

Ojciec, czyli kłopotliwe słowo

Z matkami nie ma tego problemu. Matka, mama, mamusia.

Z mężczyznami – na razie tak ich nazwijmy – bywa trudniej. Brakuje języka, żeby to opisać.

Ojciec tradycyjny to ten, który spłodził i wychowuje. Tu jest jasność.

Ojciec biologiczny to ten, który spłodził, ale nie wychowuje (niektórzy tęsknią, niektórzy żałują).

Dawca. Szczególny wariant ojca biologicznego. Spłodził, ale nie sam. Spłodził, ale nie wie kogo, nie wie ile. Czasem nie wie gdzie, zwykle nie wie

kiedy. Nie wychowuje, ale sporo jego dzieci wcale za nim nie tęskni. Niektóre tęsknią, ale nie wiedzą, że właśnie za nim. Inne nie wiedzą, że w ogóle istnieje.

Ojciec ustawowy, czyli ojciec w sensie prawnym. Ten, który razem z matką zdecydował się na dziecko z dawcy (bo był bezpłodny, bo nie chciał obciążać dziecka chorobą). Tradycyjnym ojcem, najnormalniejszym w świecie, po prostu tatą, jest dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą, że są z dawcy.

Ojczym, czyli mężczyzna kolejny. Jeśli dziecko jest niepełnoletnie, a ojczym pojawił się po ojcu ustawowym, może zostać kolejnym ustawowym.

Są dzieci, które mają trzech ojców jednocześnie: biologicznego, ustawowego i ojczyma. Bywa, jeśli matka zmienia partnerów, że ojczymów jest kilku. Z matkami jest łatwiej, z matkami nie ma problemu.

Co się dzieje, jeśli ustawowy, ten, który razem z matką zdecydował się na dziecko z dawcy, odchodzi? Tak było u Maaïke, Amandy, Jaleesy. Bywa, że przestaje być ojcem w ogóle i od tego momentu staje się „tamnym człowiekiem”. „Nie łączy nas biologia, nie chciał się mną zajmować, zostawił mnie – mówią niektórzy – dlaczego mam tamtego człowieka nazywać ojcem?”.

Tradycyjny ojciec, zwykły tata, partner mamy, ma łatwiej. Jeśli zerwie relacje z dzieckiem, dziecko powie: „Nie mam kontaktu z ojcem”. Jeśli go nie kocha, powie: „Nie dostałam od ojca miłości”. Jeśli je krzywdzi, powie: „Najwięcej bólu zadał mi mój własny ojciec”. Można go nienawidzić, można nie chcieć go już nigdy w życiu spotkać. Może się nie starać, być nieobecny, nie odzywać przez lata, nie zrobić dla dziecka absolutnie nic.

Ale tradycyjny ojciec rzadko zostaje „tamnym człowiekiem”.

Ktoś nagrywa za dużo na taśmie

– Jaleesa, córciu, ta Irene, prezenterka telewizyjna... – mówi matka.

– Co z nią?

– Właśnie stoi pod naszymi drzwiami.

Kiedy Jaleesa była mała, mama mówiła o niej: dzieciaczek-mrożonka. Tłumaczyła dziewczynce, że wzięła się z małej zamrożonej słomki z nasieniem, którą odebrali z tatą z kliniki.

Jaleesa: – Bawiło mnie to i przez pierwsze lata ta wiedza mi wystarczała. Kryzysy przyszły później. Czulałam, że nie urodziłam się, tylko zostałam w sztuczny sposób stworzona. Miałam nawet przemyślenie, że może zajmuję czyjeś miejsce na świecie. Że nie znajdę chłopaka, bo czemu mam go znaleźć, skoro właściwie nie powinnam istnieć.

Wiedziałam od mamy, że istnieje pewien pan, który jest moim biologicznym ojcem, i jeśli zechcę, mogłabym go poszukać. Ale do moich szesnastych urodzin wcale o tym nie myślałam.

MATERIAŁ NR 6. CIĄG DALSZY PROGRAMU

Prowadząca siedzi w ogródku z mamą Jaleesy. Piją herbatę.

Prowadząca: – Czy pamiętasz, jak wytłumaczyłaś to córce?

Mieke, mama: – „Mama i tata nie mogli mieć dzieci, więc poszli do kliniki odebrać nasienie od pana po to, żeby jednak to dziecko mieć. Mieć je razem”. Niestety potoczyło się inaczej.

W kolejnej scenie Jaleesa płacze.

Mówi: – Nie potrzebuję ojcowskich uczuć. – Operator robi zbliżenie na kwiatek. – Chcę tylko wiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę. Wasz program daje nową nadzieję.

Prowadząca do matki: – Jak bardzo Jaleesa jest do ciebie podobna?

Mama: – Prawie we wszystkim. Jedyne, czego nie ma po mnie, to zamiłowanie do muzyki klasycznej.

Prowadząca: – Gra w teatrze?

Mama: – Faktycznie, lubi teatr. To też nie po mnie.

Jaleesa mówi z zaśpiewem, którego nie mają Maaïke i Matthijs. Brabancja, region, w którym mieszka, jest znana z takiego akcentu. Ta melodia kontrastuje z historią, którą opowiada.

Kiedy miała osiem miesięcy, rodzice się rozeszli. Z ojcem ustawowym widywała się jeszcze jakiś czas. W okolicach jej szóstych urodzin poznał nową partnerkę. Od tamtej pory czuła się w jego domu nieproszonym gościem.

Jaleesa pokazuje mi zdjęcia i mówi: – To wtedy poszłam na ten bal karnawałowy, na którym byłam Królową Lodu. Wtedy dostałam ostatni raz pod choinkę prezenty od całej rodziny.

Mógł mnie odwiedzić, gdyby chciał. Nie odwiedzał.

Mógł zadzwonić, gdyby chciał. Zadzwonił może ze trzy razy.

Mógł chociaż wysłać kartkę. Miał sporo możliwości, żeby pokazać, że mnie kocha. Żadnej nie wykorzystał.

Późniejsze związki swojej matki dziewczyna podsumowuje tak: stres, rozstanie, dwa lata spokoju, znów stres. Matka nie miała szczęścia do mężczyzn.

Kiedy ma kilkanaście lat, pyta matkę o klinikę. Dowiaduje się, że w centrum medycznym doktora Karbaata rodzice nie dostali paszportu dawcy na piśmie. Mama wybrała tylko cechy: ciemne włosy i brązowe oczy – jej ówczesny mąż pochodził z Indii, a asystentka doktora oświadczyła, że mają dawcę właśnie stamtąd. Jaleesa wierzy więc, że w jej żyłach płynie hinduska krew.

Jaleesa: – Mama dostała pokwitowanie, żeby mogła ubiegać się o refundację, bo stwierdzono u niej połowiczną bezpłodność. Ale wystarczyły trzy wizyty i była w ciąży.

To zabawne, mama, z tą częściową bezpłodnością, od razu zaszła w ciążę, a ojciec, który twierdził, że jest zupełnie bezpłodny, z następną partnerką też od razu miał dzieci.

Najwyraźniej do siebie nie pasowali.

Aby pomóc córce, matka Jaleesy skontaktowała się po latach z kliniką w Barendrechcie. Dostała informację, że dane są już zniszczone.

Jakiś czas później zobaczyła w telewizji zapowiedź nowego programu – *Kto jest moim ojcem?* „Jaleesa, to może być twoja szansa!” – mówi.

W programie Jaleesa spaceruje z prowadzącą i opowiada o swoich problemach z ojcem. Potem kamera pokazuje ją z mamą – siedzą w salonie, oglądają materiał o Maaïke i Matthijsie. Słuchają, jak w dzieciństwie ojciec wyrzucił bliźnięta za drzwi.

Matka Jaleesy płacze.

– To reżyserowane? – pytam Jaleesę.

– Coś ty. Moja mama jest wystarczająco emocjonalna. Wzruszyła się, że ich odnalazłam. Po południu ekipa pojechała do Maaïke i Matthijisa, o czym wtedy nie wiedziałam. Zawieźli mnie do tej szkoły, stałam za rogiem. Napięcie, nerwy, kim oni są? Kiedy Irene powiedziała: „Znaleźliśmy waszą siostrę!”, prawie dostałam zawału. Najgorsze, że to spotkanie musieliśmy nagrać jeszcze raz.

– Dlaczego?

– Nasze miny źle wyszły. Niełatwo zapanować nad mimiką, kiedy jesteś w szoku. Ale jakiś rodzaj ulgi przyszedł. Taki kolejny element w układance: mam rodzeństwo.

Nie byliśmy bardzo do siebie podobni, ale te historie z ojcami, kolor oczu, zamiłowanie do sztuki – zawsze coś. Okazało się, że obie z Maaïke zbieramy filmy Disneya. Ja miałam wszystkie, które wyszły na kasetach wideo, kolekcjonowałam też postaci z filmu *Mulan*.

Przekazałam Maaïke i Matthijsowi informację, że nasz dawca jest z Indii. Ucieszyli się, że wreszcie coś wiedzą.

Szkoda tylko, że ucieszyli się na darmo.

Pomysł na program *Kto jest moim ojcem?*, w którym dzieci z dawców przed kamerami poddawały się testom DNA, żeby odnaleźć genetyczne korzenie, pojawił się pod koniec 2011 roku. Format miał rywalizować z istniejącym od wielu lat show *Bez śladu*.

W wymyślaniu takich programów Holendrzy są światowymi liderami. Po Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii to właśnie z Holandii eksportuje się najwięcej telewizyjnych formatów. W Holandii powstały, znane również w Polsce, programy: *Big Brother*, *The Voice...*, *Bitwa na głosy*, *Mini playback show*, *Grasz czy nie grasz* czy *Postaw na milion*. Nawet popularny show telewizji publicznej *Kocham cię, Polsko!* to tak naprawdę przeróbka holenderskiego programu *Ik hou van Holland*.

Producenci telewizyjni konsultują pomysł z FIOM, fundacją, która przez lata zajmowała się niechcianymi ciążami i ludźmi oddanymi niegdyś do adopcji,

poszukującymi biologicznych rodziców. W tamtym czasie coraz częściej zgłaszają się do niej osoby urodzone jako dzieci z dawców. FIOM właśnie tworzy bazę DNA, która pomogłaby w odnalezieniu ich biologicznych ojców, a dawcom – w odnalezieniu dzieci.

Hans van Hooff, FIOM: – Kiedy usłyszeliśmy nazwę *Kto jest moim ojcem?*, skrzywiliśmy się. Zależało nam, żeby o bazie DNA dowiedziało się jak najwięcej osób, i program telewizyjny to umożliwiał. Ale zawsze podkreślaliśmy, że dawców nasienia nie można nazywać ojcami, co najwyżej ojcami biologicznymi.

Producenci przekonują FIOM argumentem, że gdy widzowie zobaczą tytuł programu, będą spodziewać się historii o transplantacji nerek. Nazwa zostaje, pierwszy odcinek ekipa planuje już na kwiecień. Szybko. Pojawiają się dwa problemy.

Po pierwsze, mimo że w niedługim czasie zgłasza się ponad dwieście osób poszukujących biologicznego ojca oraz trzydziestu dawców poszukujących dzieci, to zgodności DNA jest ledwie kilka. Trzeba co najmniej kilkaset zgłoszeń więcej.

Specjaliści szacują wtedy, że w całej Holandii żyje czterdzieści tysięcy osób poczętych z nasienia dawcy. Niestety, jedynie dziesięć procent z nich w ogóle wie, że pojawili się na świecie w ten sposób. „Poczekajmy na więcej zgłoszeń” – zachęca FIOM.

Ale producenci mówią, że sprzedali już swój program telewizji. Wtedy pojawia się drugi problem. Van Hooff: – Nam zależało na pomocy dzieciom i dawcom oraz promocji bazy. Ekipie – na materiale, który by miał wysoką oglądalność.

Było już kilka pierwszych zgodności, ale tylko między dziewczynkami i kobietami z jednego dawcy, czyli półsiostrami. Nie było ich na linii dawca – dziecko. Ostrzegaliśmy producentów: nie możemy zagwarantować, że te osoby wystąpią przed kamerą. To powinna być indywidualną decyzją, chodzi o delikatne kwestie. Powiedzieli, że zaryzykują i mimo to zainwestują w promocję projektu. Byłem im wdzięczny. Zaczęliśmy badać uczestników.

Projekt rusza pod presją czasu. Ekipa telewizyjna i pracownicy fundacji spędzają wieczory i weekendy na rejestrowaniu kolejnych zgłaszających się. Szybko rezygnują z pośrednictwa szpitala i nadawania numerów porządkowych, trwa to zbyt długo. Wynajmują busa z przenośnym laboratorium i wraz z lekarzami jeżdżą od osoby do osoby po całej Holandii, żeby pobrać dla telewizji krew. Na to, co zwykle trwa tydzień, wystarcza im dzień.

– Wszystkie testy DNA robiliście z krwi? – pytam van Hooffa.

– Współpracujący z nami lekarz mówi, że krew najlepiej nadaje się do takich badań, bo jest mniej podatna na zanieczyszczenia. Oczywiście, można badać ślinę czy pobierany szczoteczką nabłonek z policzka. Ale krew to zdecydowanie najlepszy materiał.

Premierę serii stacja przekłada na jesień, wiosną emituje tylko odcinek pilotażowy.

Nie przypada on do gustu holenderskiemu Ministerstwu Zdrowia, któremu podlega finansowo FIOM. Urzędników niepokoi niezbyt etyczny sposób, w jaki z trudnej ludzkiej sytuacji zrobiono show.

W premierowym odcinku autorzy programu w tajemnicy łączą w pary dziesięć kobiet. Zapraszają je na nagranie, mówią, że pracują nad zajawką serii. Proszą, żeby poszły gdzieś razem na kilka godzin i lepiej się poznały. „Dzięki temu wyjdziecie bardziej naturalnie na nagraniu”.

Koniec dnia. W świetle kamer dziesięć kobiet dowiaduje się w tym samym momencie, że osoba, z którą spędzały czas, jest ich biologiczną siostrą. Na nagraniu trochę uśmiechów, trochę łez, trochę konsternacji.

Przedstawiciele FIOM protestują. Dalsza współpraca będzie możliwa tylko pod warunkiem, że połączeni ze sobą przez test DNA ludzie dowiedzą się o tym z wyprzedzeniem. Potem, jeśli obie osoby wyrażą taką chęć, będą mogły poznać się przed kamerami. Dochodzą jednak z telewizją do kompromisu: uczestnicy będą wiedzieli, że znalazł się ktoś o zgodnym z nimi DNA, ale osobę tę poznają dopiero w studiu. Van Hooff: – To telewizja, tu liczą się emocje i tempo. Chcieli mieć wszystkie wyniki w cztery miesiące, a tego nie mogliśmy zagwarantować. Gdyby dali nam rok, szansa byłaby większa. Po miesiącu mieliśmy już pierwsze zgodności. Nie byliśmy tylko pewni, czy ludzie, których znajdujemy, będą chcieli pokazać twarz w telewizji. Ale wie pan co? Choć do dziś tego nie rozumiem – niemal każdy z nich chciał.

Kolejne odcinki nigdy nie powstaną.

Telewizja zawiesza program po pilotażowej emisji. Widzowie mają więc okazję poznać ledwie kilka historii, w tym tę Jaleesy, Maaike i Matthijsa.

Odcinek, w którym para bliźniąt poszukuje biologicznego ojca, ogląda Sonja, matka Amandy i Boya.

Z córką o programie nie rozmawia – mało to takich historii? W tej nie było nic szczególnego.

Program ma dwie powtórki: jedną parę dni po emisji, drugą dopiero w wakacje, kiedy telewizja emituje poza sezonem stare materiały z poprzedniej ramówki.

To wtedy w pewnym dużym mieście mężczyzna włącza w swoim mieszkaniu telewizor.

Jest szósty lipca, ciepły wieczór, bez deszczu. Rzadkość w regionie, gdzie częściej pada, niż nie pada.

Mężczyzna ogląda serial, który sobie nagrał. Na taśmę weszło nieco więcej, niż zaplanował.

Jest głodny, nie jadł kolacji, ale przed telewizorem zatrzymuje go jeszcze

końcówka filmu z Benem Stillerem. Aktor gra nieudacznika, który zatrudnia się w muzeum, by udowodnić wychowującemu się z ojczymem synowi, że jednak jest coś wart.

Film się kończy, nagle niepodpisany z imienia i nazwiska chłopak mówi: „Chciałbym wreszcie znaleźć część swojej tożsamości”.

Nic ciekawego, czas na kolację, myśli mężczyzna i wychodzi do kuchni. Zostawia włączony telewizor.

Kurczak z ryżem i fasolką. A może jednak z groszkiem?

„Nazywamy się Maaike i Matthijs, mamy dwadzieścia jeden lat” – pada zdanie z odbiornika w pokoju obok.

Mężczyzna biegnie z powrotem, zatrzymuje taśmę. Cofa, ogląda kilka razy.

Uważnie bada wzrokiem Matthijisa.

Patrzy na oczy, na włosy.

Cholera, to oni.

Ktoś właśnie się odnalazł

- Henrik Becker, słucham.
- Dzwonimy z programu *Kto jest moim ojcem?* Niech pan lepiej usiądzie.
- W porządku, siedzę.

Wcale nie siedzi, tak tylko im powiedział.

W ten ładny, słoneczny dzień wyszedł na spacer, jest z nim żona Eva, w chuście niesie małą córeczkę. Idą przez swoje spokojne osiedle w Veldhoven, tuż obok ścieżki rowerowej. Henrik niczego się już nie spodziewa. Zgłosił się do programu, ale pokazali go w telewizji ledwie przez trzy sekundy. Wiedział, że kolejnego odcinka raczej nie będzie, że jego dane zostały przekazane do bazy FIOM. Ale w innej bazie był już kilka lat i jedyna stwierdzona zgodność to ta z Boyem i Amandą. Nie ma szans.

I nagle ten telefon:

– Mamy informację, że pana DNA pokrywa się z DNA siedmiu innych osób w bazie.

– Siedmiu? Wow. Czy wśród nich jest mój ojciec?

– Jest.

– Mój Boże. To się nie dzieje.

– Poczuję się tak, jakby ten długo wyczekiwany, ostatni puzzel w układance trafił na miejsce – powie mi później. – Ale jeszcze nie wierzyłem, że to ten właściwy. Aż za dobrze pamiętałem, co ojciec biologiczny przekazał mi przez doktora Karbaata: że nie chce mnie widzieć. I co, nagle zmienił zdanie?

I ta właśnie rzecz nie dawała mi spokoju.

Sześcioro rodzeństwa.

Jakim cudem jest nas siódemka, skoro limit wynosił sześć?

W 2011 roku Maaïke dostaje list od FIOM:

Szanowna Pani,

zarejestrowała się Pani w naszej bazie w celu odnalezienia zgodności DNA między Panią a innymi dziećmi z dawców i/lub Pani dawcą.

Ponieważ została znaleziona nowa zgodność, proszę o pilny kontakt telefoniczny.

Maaïke dzwoni do pracownicy FIOM.

– Jest zgodność genetyczna między panią, szóstką braci i sióstr oraz dawcą – powtarza kobieta.

– Czyli znaleźliście dawcę? Co dalej? – ekscytuje się Maaïke.

– Dawca wyśle pani mejla z informacjami o sobie, żeby mogła go pani trochę poznać. Możemy też umówić spotkanie.

Zaraz potem Maaïke idzie na zajęcia. Czuje, że musi opowiedzieć o tym znajomym. Żeby potem nie było plotek, jak po *Cudzie*, żeby nie było dziwnych komentarzy na Facebooku. Żeby każdy wiedział.

Staje przed grupą na uczelni. Mówi, że ma ważną wiadomość.

– Jak niektórzy wiedzą, jestem dzieckiem anonimowego dawcy. To często oznacza dla takiej osoby, że nigdy nie pozna swojego ojca. Ale ja przed chwilą dostałam wiadomość, że się odnalazł. Jest. Moje poszukiwania właśnie się skończyły.

Własne słowa docierają do niej jakby z opóźnieniem. Po chwili nic już nie mówi, tylko płacze.

– Wow, Maaïke, to było megawzruszające – powie jej koleżanka.

Poznają się po miesiącu. Wszystkie dzieci w jednym pokoju, brakuje tylko dawcy. FIOM decyduje, że spotkają się z nim osobno, w innym terminie. Na razie pozna się ze sobą biologiczne rodzeństwo. Tylko że oni nie mogli tak o sobie pomyśleć. Słowo „rodzeństwo” w niderlandzkim nie istnieje. Są bracia i siostry. Ale czy na pewno nimi są?

Matthijs pamięta brzydkie kafelki na suficie, piękny dzień za oknem, niebieski dywan w pokoju i to, że dostali plakietki z imionami. A, no i coś, co od razu dało się zauważyć – byli strasznie głośni.

Henrik mówi, że spotkanie w siedzibie FIOM w Bredzie to było szaleństwo. Łaźnienie po pokoju, cześć, kim jesteś, co robisz.

Pracownicy pytali, jak sobie wyobrażają to spotkanie. Są z różnych miast, więc zaprosili ich do swojej siedziby. Ale co dalej – każdy ma się przedstawić? Jedna osoba mówi? Zgłaszają się poprzez podniesienie ręki?

Nikt wcześniej w Holandii nie opracował procedury na takie okazje.

Wymyślili, żeby robić to w formule speed dating, szybkich randek: dziesięć minut w jednej parze, potem zmiana.

– Ale to było bez sensu – mówi Maaïke – bo miałam swoje dziesięć minut z Jaleesą, którą już trochę znałam, a nawet z Matthijsem, który jest moim rodzonym bratem. Chciałam pogadać z innymi. Przerwaliśmy to, zaczęliśmy rozmawiać normalnie. Zrobiło się tak głośno, że pani z fundacji wyszła, bo nie mogła wytrzymać hałasu.

Powiedziałam, żebyśmy jednak wymyślili coś innego, co pozwoli lepiej nam się poznać. Na przykład grę „Nigdy przenigdy...”. Typowa gra na imprezę. Ktoś mówi „Nigdy przenigdy...” i kończy czymś, czego nigdy jeszcze nie robił. Każdy, kto już to coś robił, pije. Nie mieliśmy alkoholu, więc tylko podnosiliśmy ręce i opowiadaliśmy.

Ale i tak było fajnie.

Mówiliśmy o picciu, paleniu papierosów, takie tam pytania jak z pamiętników czy złotych myśli. Szybko się dowiedzieliśmy, kto jest prawiczką, dziewczycą, kto

się całował z osobą tej samej płci.

Po spotkaniu poszli na pizzę. Dalej było głośno, ale o czym rozmawiali, nie pamięta już dzisiaj nikt.

Może o tym, jak to jest, kiedy nie ma ojca?

Takie wspomnienie ma przecież każde z nich.

Kiedy nie ma ojca, a pada deszcz, mama gotuje coś w domu, a ty stoisz w kałuży i mokną ci buty, on nie przyjdzie i nie powie ci: chodź do domu, nie wygłupiaj się, nie moknij.

Kiedy go nie ma, nikt nie ułoży ci dookoła łóżka pluszowych miśków. Innym dziewczynkom ojcowie ustawiają te maskotki tak, jakby tańczyły. Na twarzach innych dziewczynek, kiedy wracają ze szkoły, pojawia się uśmiech.

Kiedy nie ma ojca, zdarza się, że jesteś jedynym chłopakiem, który nie wspina się na drzewo, bo nikt ci nie powie, że dasz radę. A nawet jak ci się uda, nikt nie powie: „Brawo, nie wątpilem w ciebie ani przez sekundę”. Jasne, mama też może tak powiedzieć. Ale co mamy wiedzą o wspinaniu się na drzewa?

Kiedy go nie ma, wszystkiego jest jakby o połowę mniej. Sama musisz w zimie wciągać sanki na górkę, chyba że tata innej dziewczynki zobaczy, że ci ciężko, i pomoże. Ale z górki zjedziesz samotnie.

Kiedy nie ma ojca, jest ci dziwnie w cukierni, bo inni ojcowie kupują dzieciom ciastka. Czasem płaczesz, masz czerwone oczy, koleżanki i koledzy to widzą. Po szkole chcesz opowiedzieć o tym, że ci dokuczali. Nie masz komu.

Kiedy go nie ma, na zajęciach pływackich dla chłopców trener dla żartu łapie cię wpół i wrzuca z całej siły do basenu, a ty czujesz radość, bo jeszcze nigdy nikt cię nie wrzucił takimi silnymi męskimi rękoma do wody.

Maaike słyszała czasami od innych dzieci, że przecież nie tęskni się za kimś, kogo nigdy się nie poznało. Nie tęskni się za kimś, kto nigdy nie istniał.

Ale to nieprawda. Za kimś takim tęskni się nawet bardziej.

Ten ktoś właśnie się odnalazł.

Półówki dostają list

O, znalazłam Hindusa! Jaleesa pamięta, że to była jej pierwsza myśl, kiedy zadzwonili z FIOM, że jest zgodność z dawcą.

Potem dowiedziała się, że odnalazł się ktoś zupełnie inny.

Pracownica FIOM mówi podczas spotkania, że dawca jest w połowie Surinamczykiem.

Zdziwienie na twarzach. To oznacza, że każde z nich jest Surinamczykiem w jednej czwartej.

Amanda Surinamu nigdy nawet nie rozważała. Matthijs stawał na Indie, szczególnie po tym, co powiedziała mu Jaleesa. Ale Surinam też kiedyś przeszedł mu przez myśl.

Jaleesa: – Przez dwadzieścia jeden lat czułam się po części Hinduską. Nie mam nic do Surinamu, ale to dużo zmienia, inna część świata, inne geny, w zasadzie – inna tożsamość. Z drugiej strony, kiedy się spotkaliśmy, było głośno jak w kurniku. Kipieliśmy energią, byliśmy rozemocjonowani sobą, krzyčeliśmy. Gdy jesteśmy osobno, trudno to zobaczyć.

I zauważyłam w nas ten Surinam. Holendrzy są bardziej stonowani.

Ćwierć-Surinamczycy. To już o sobie wiedzą. Czas wymyślić, jak będą się nawzajem do siebie zwracać, jak opowiadać o tym innym.

Język znów jest zbyt ubogi, nie pozwala tego nazwać. Nie ma słowa na dorosłe już przecież osoby, które miały wspólnego dawcę nasienia.

Brat, siostra przyrodnia – mówimy w Polsce.

Halfbroer, halfzus, czyli półbrat, półsiostra – tak określa się to w Holandii. I w polskim, i w niderlandzkim określeniu nie chodzi o dzieci ze wspólnego dawcy, tylko dzieci, które jedno z rodziców ma z innym partnerem.

Maaïke po spotkaniu podkreśla, że potrzebują nazwy. Słowa, które wyrazi to, że mają wspólne geny, ale nie więcej niż połowę. Noszą różne nazwiska. Nie chcą, by łączyło ich nazwisko dawcy – po co? Jeszcze poczułby się zbyt wyjątkowy.

Amanda mówi, że musi to być coś związanego z połową. Bo tylko Boy jest w pełni jej bratem.

Może coś surinamskiego? *Berefamiri*, podsuwa Maaïke, to znaczy rodzina. Albo *anansitor* – to z surinamskich bajek, oznacza, że to, co się przydarzyło, jest nieprawdopodobne. Jaleesa wspomina „mieszmasz kids”, proponuje surinamskie nazwy warzyw, brzmią intrygująco. Ktoś inny sugeruje: *leitoni*. Zmyślona historyjka. Albo kłamstewko.

Ale wygrywa pomysł Maaïke: *Halfjes*. Połówki.

Matthijsowi to jakoś nie brzmi.

Bo tego *halfje* nie używa się w niderlandzkim zbyt często, chyba tylko wtedy, gdy mowa o chlebie.

– To był taki żart – mówi Amanda. – Ale przeszedł. I po paru latach stał się bardzo poważnym słowem.

Amanda nigdy nie myślała o braciach i siostrach. Miała jednego braciszka, a czy są jacyś inni – to jej nie ciekawiło. Była taka myśl, że gdzieś żyje jej biologiczny ojciec, ale nie wyobrażała sobie z nim bliskiego kontaktu. Chodziło jedynie o zrozumienie, dlaczego wygląda tak, jak wygląda.

A tu – niespodzianka.

Dziewiętnastego października 2011 zakładają na Facebooku wspólną grupę dyskusyjną, podpisują: Połówki.

– Jak się to powtórzy na głos parę razy – mówi ktoś – to nawet nie brzmi tak dziwnie.

Maaike odmienia to przez przypadki: jestem Połówką, jesteście Połówkami, szukamy reszty swoich Połówek. Jesteśmy w połowie ze sobą spokrewnieni. Przez dawcę.

Każde dostaje od niego list. Długi, szczegółowy, z rozpisaniem drzewem genealogicznym na kilka pokoleń wstecz, ze zdjęciami. Zaczyna się tak:

Drogi członku rodziny,

Z tego, co rozumiem, jesteś zainteresowany historią rodziny ze strony swojego ojca.

Jaleesa: – Ciekawe. Porównałam jego zdjęcia z dzieciństwa ze swoimi. Byliśmy prawie identyczni. Potem się pozmieniało, po szóstym roku życia zniknęły moje loczki. Na późniejszych fotografiach nie jestem już do niego podobna.

Henrik: – Jestem historykiem z wykształcenia, więc gdy dostałem to do rąk, połknąłem w kilka minut. Tyle danych, dat, no i jeszcze Surinam. Serio. Surinam? Nikt ze znajomych na to nie stawiał. Śmiali się, że to będzie Maroko, Hiszpania, Włochy. Surinamu nie typował nikt. Ale numer!

Z listu mogli się dowiedzieć, że są potomkami holenderskich niewolników, prawdopodobnie mieli w rodzinie Żyda, ich przodkowie przyjechali do Holandii w latach pięćdziesiątych i że w poprzednich pokoleniach byli wśród nich lekarze i nauczyciele.

Mogli. Ale nie wszyscy list przeczytali.

Matthijs ucieszył się, że w wieku dwudziestu dwóch lat wreszcie wie, skąd pochodzi. Ale sam dokument wydał mu się trochę wariacki. Strasznie dużo szczegółów o rodzicach, dziadkach, pradziadkach, po co w ogóle ktoś sporządził coś tak olbrzymiego? Nie przeczytał całości.

Chciał mieć przed oczami tę jedną konkretną osobę, zamiast coś sobie na jej temat wymyślać. Po co się uprzedzać.

Najpierw cię spotkam, potem do tego wrócę, myśli Matthijs.

Ale do listu nie wróci nigdy.

Amanda i Boy przejrżeli jedynie zdjęcia. Stwierdzili, że nie ciekawi ich jakaś obca rodzina.

Nieco później Amanda znajdzie ten list podczas przeprowadzki. I go wyrzuci.

– Trochę z żalu, z gniewu.

– Na niego?

– Na niego.

Tamtego dnia dostają od pracowników FIOM tabelkę. Wpisują odpowiadające im terminy spotkań z dawcą.

Pracownicy FIOM spotykają się jeszcze z każdym z osobna.

Ostrzegają:

– Kontakt z ojcem biologicznym może być trudny.

- Nie będzie tak źle – mówi ktoś.
- Może jest was w Holandii dużo więcej, niż myślicie – ostrzegają znowu.
- Ile?
- Więcej niż dwadzieścioro pięcioro.
- No to ile konkretnie?
- Może nawet dwie setki.
- Ileeee?

Matthijs wspomina, że już nawet nie pytali, jak to się w ogóle stało, że ich dawca spłodził w Holandii aż tyle dzieci.

Uznali, że lepiej będzie, jak sam im to wyjaśni.

Amanda i Boy przed lustrem

„Amanda, tam na końcu peronu stoi chyba nasz dawca”.

Takiego zdania nie słyszy się często.

Istnieje w życiu pewna skończona liczba przypadków, w których mogłoby się pojawić. Całkiem zresztą możliwe, że ta liczba to jeden.

Przeciętny człowiek nie usłyszy tego zdania nigdy.

Jest pewna konieczna liczba warunków, które muszą zostać spełnione, żeby ktoś wypowiedział takie zdanie, żeby ktoś inny je usłyszał i na nie zareagował.

Warunków takich jest sporo i rzadko udaje się je wszystkie spełnić.

Bo nawet jeśli ktoś, tak jak Amanda, dwudziestoczteroletnia pielęgniarka z Dordrechtu, jest jedną z kilkudziesięciu tysięcy osób w Holandii, które urodziły się dzięki sztucznej zapłodnieniu, to przecież wcale nie musi wiedzieć, że właśnie tak została poczęta.

Ale załóżmy, że wie. Specjaliści szacują, że wie dziesięć procent. To zawęży grupę do kilku tysięcy osób.

Wśród nich ledwie kilkaset poddaje się testom. Kilkadziesiąt dostaje informację, że mają zgodność DNA z osobą zarejestrowaną w bazie. A może kilkanaście, bo w 2011 roku, a wtedy pada to zdanie, ta baza jest wciąż mała. Jest więc prawie niemożliwe, żeby usłyszeć zdanie o dawcy.

Amanda: – Na spotkanie umówiłam się w siedzibie FIOM w Bredzie. Uzgodniliśmy, że jedziemy razem, ja i mój brat Boy. To blisko, z Dordrechtu mamy bezpośredni pociąg. Jeśli ktoś nie ma bezpośredniego, przesiadka do Bredy jest na naszym dworcu.

No i on miał właśnie taką przesiadkę.

Staliśmy na peronie, nagle Boy mówi, że nie jest pewien, ale chyba go widzi.

Odwróciłam głowę, zerknęłam na twarz. To on.

Wysłał nam wcześniej zdjęcie, więc wiedziałam, jak wygląda. Sam naszych fotografii nie dostał, nie znał nas.

To było coś więcej niż rozpoznanie twarzy ze zdjęcia. Pierwsze, co

pomyślałam, to: Ooo, hej, cześć! Uczucie jak wtedy, kiedy zobaczysz dawno niewidzianego znajomego. Zajmuje ci to chwilę, ale w końcu wyłapujesz znajome rysy. Powiedziałam do Boya: „Shit, masz rację, to na pewno on. Nie podchodzimy”.

Dlaczego? No jak to dlaczego.

To chyba jasne, że nikt nie chciałby poznawać swojego dawcy na dworcu.

W Bredzie okazało się, że mieli rację: mężczyzna z peronu był ich biologicznym ojcem, a oni jego biologicznymi dziećmi.

Dla nich to było dziwne, nowe, nie do uwierzenia.

Dla niego to było tylko nowe. Pamiętał przecież, co robił dwadzieścia lat wcześniej. Spotkanie z Amandą i Boyem, na które wybrał się pociągiem, było pierwsze – pozostałe Połówki wskazały późniejsze daty.

Chyba się denerwował. Amanda zapamiętała jego nerwowe tiki. Takie same miał Boy, kiedy był młodszy. A, czyli ma to po nim, pomyślała, i jakiś mały puzzlek znalazł w jej głowie właściwe miejsce.

Dawca był miły, kulturalny, trochę się uśmiechał.

Amanda: – Tylko że opowiadał jedynie o sobie. Gadał, gadał, robił przerwę na zdjęcia pradziadków z albumów, znów głądził. Nie dało się mu przerwać. Czułam się dziwnie. Chciałam przynajmniej usłyszeć, kim jest, co robi. I chociaż cała reszta mnie nie obchodziła, on i tak opowiadał.

Potem miał dla nas propozycję – porównajmy w lustrze nasze twarze! Zdziwiliśmy się.

Nie zadał nam też żadnego pytania. Wyobrażałam sobie, że będzie chciał dowiedzieć się czegokolwiek o tym, kim jesteśmy.

No i źle sobie wyobrażałam.

Henrik ma fałszywy paszport

Pokój był ciemny, a mężczyzna wyglądał posępnie. Miał na sobie brązową marynarkę i jasną koszulę. Siwy, w okularach. Tak to pamięta.

Czy to ten moment, na który czekałem tyle lat, pomyślał Henrik w chwili, gdy otwierał drzwi. Ścisnęło go w brzuchu ze zdenerwowania.

Jaleesa: – Potwierdzam, Henrik się denerwował. Tak bardzo, że ze stresu pomylił godziny i przyszedł w moim terminie. Miałam być tylko ja i dawca, a wszedł jeszcze Henrik z żoną i córeczką.

Okej, pomyślałam, zapowiada się niezłe rodzinne spotkanie. Panowie niezbyt dopuszczali mnie do głosu. Ale już to, o czym rozmawiali, było tak ciekawe, że z chęcią słuchałam.

Henrik: – Pokazałem mu paszport dawcy, który dostała moja matka. Cechy fizyczne, hobby. Patrzyliśmy, jak koncentruje wzrok na kartce. Śmiesznie to wyglądało, jakby sprawdzał szkolną kartkówkę. Tu zaznaczył ptaszek, tam

krzyżyk, pod nosem mówił: „zgadza się” albo „nie zgadza się”.

A nie zgadzało się prawie nic.

Wzrost pomyłony o centymetr, waga zaniżona. To się zdarza. Pozostałe błędy trudno było tłumaczyć roztargnieniem.

Data urodzenia – pomyłona o kilka lat.

Miejsce urodzenia – nieprawdziwe.

Wykształcenie – zawyżone, miał tylko liceum.

Praca – faktycznie w banku, ale na niższym stanowisku.

Przy „jestem człowiekiem wysportowanym”, „lubię spędzać czas w gronie znajomych”, „w dzieciństwie byłem dobrym uczniem” dawca powiedział wyraźnie: – Totalne bzdury.

Zdziwił go też zapis o żonie i dwójce dzieci. Żony nie miał nigdy.

Do Henrika dotarło, że dokumenty z kliniki nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Henrik: – Wręczyłem mu list, który wysłał mi kiedyś doktor Karbaat, z pamiętnym cytatem: *dawca jest obecnie szczęśliwy ze swoją nową żoną, wobec czego odmawia jakiegokolwiek kontaktu z konsekwencjami swego uprzedniego dawstwa*. On uznał to za bzdury i powtórzył to, co mówił Karbaatowi: że chętnie spotka się z każdym dzieckiem.

Gdy pytam, co czuł podczas tego spotkania, Henrik mówi:

– Jakiś dziwny smutek. Dowiedziałem się po latach, że ojciec, co do którego byłem pewny, że nie chce kontaktu, zawsze był gotów mnie poznać. Nawet jeśli...

– tu Henrik waha się kilka sekund – nawet jeśli poznanie kogokolwiek wykracza poza jego możliwości.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Spytaj Maaike i Matthijsa – uśmiecha się.

Maaike i Matthijs spotykają boga

Maaike: – Chciałam iść sama.

Matthijs: – Ale ja nie chciałem i poprosiłem, żebyśmy poszli razem. Miałem nosa.

Teraz Matthijs opowiada: – Weszliśmy do pokoju, siedział z grubymi albumami ze zdjęciami. Trochę jak czarownik, troll z bajki, dookoła którego leżą książki. Już ten widok był niespodziewany.

Popatrzył na nas, wypowiedział na głos nasze imiona. Maaike i Matthijs.

Potem nazwisko. Stare, to, pod którym się urodziliśmy. Byłem w szoku – skąd niby je znał?

Podał naszą datę urodzenia, adres. Już nieaktualny. Dodał kod pocztowy. Jak to możliwe? Sam już nie pamiętałem tego kodu.

Milczeliśmy, a on mówił dalej:

– Wiedziałem. Wiedziałem, że muszę zapamiętać te dane. Oto wreszcie jestem. Witajcie.

To nas zupełnie zbiło z tropu.

Przytulił mnie jakoś nienaturalnie. Nie rób tego, pomyślałem. Patrzył badawczo na nasze twarze.

– Brązowe oczy, zgadza się. Matthijs, jesteś ponoć najbardziej artystyczną duszą wśród moich dzieci? A twoje oczy – popatrzył na Maaike – są niebieskie? To dziwne. Może prababcia takie miała? Ale uśmiech rozpoznaję, masz typowy.

Pomyślałem: okej, już czuję się nieswojo. Może uciekniemy?

Wtedy przynieśli nam wodę i herbatę.

– Skoro szukaliście mnie przez telewizję, chyba cieszycie się, że wreszcie was uratowałem – powiedział.

– Uratowałeś?

– Mielście w życiu pecha do mężczyzn. Postanowiłem przyjść wam z pomocą. Wreszcie możecie poznać swojego prawdziwego ojca. Jesteście uratowani.

Zaczął opowiadać i nie dało mu się przerwać. Monolog bez żadnej pauzy. Mówił tylko on:

– Wiecie, pracowałem w banku, ale mi się nie podobało, chciałbym zajmować się energią reiki, jestem teraz mistrzem reiki, szukam drogi do wyższej energii, wiecie, byłem ostatnio na wystawie o zjawiskach paranormalnych, powinniście na nią pójść, bo kiedy weszliście do pokoju, poczułem ukłucie w żołądku, to dowód, że też macie w sobie tę energię.

Pomyślałem, że niezbyt mnie obchodzi to, co mówi. Czy to takie trudne zadać jedno głupie pytanie? Kim jesteście? Jak się czujecie? Czy tego się spodziewaliście? Czy wyglądam tak, jak sobie wyobrażaliście?

Ale żadnych pytań nie było. Gadał bez przerwy. Raz czy dwa o coś zapytał, ale były to tylko pytania związane z nim samym.

– Macie problemy z zębami?

– Tak.

– To też po mnie.

Strasznie się cieszył, kiedy nas oglądał. Powiedział, że podoba mu się mój wygląd, że ładnie mu wyszedłem.

Co to znaczy: wyszedłem?

Powoli zaczynałem rozumieć, że patrzy na mnie jak na preparat. Produkt, przy którym odnotowuje: aha, to jest ta wersja.

Mówił dalej:

– Chodziłem do szkoły, nie lubiłem jej, wolałem zajmować się swoimi sprawami, lubiłem komiksy, lubiłem też swój pokój, miałem w nim telewizor, to był mój ulubiony telewizor, babcia opowiadała mi te same religijne przypowieści

po trzy razy, ojca nienawidziłem, nie znosiłem też matki, kiedy miałem trzydzieści cztery lata, wyprowadziłem się z domu, mama chciała się przeprowadzić do innego faceta, czułem się zdradzony, oszukany, wiedziałem, że nie mogę dalej tam mieszkać.

Pomyślałem: Wow. O-co-tu-do-cho-le-ry-cho-dzi?

Siedzieliśmy, gapiliśmy się bez słowa i słuchaliśmy. Zerknąłem na stół. Torebka herbaty była zanurzona, ale nie zaparzyła się. Nic dziwnego. Zamiast do wrzątku włożyłem ją do szklanki z wodą mineralną.

W liście, który od niego dostaliśmy tydzień wcześniej, pisał, że był dawcą przez dwadzieścia lat i jeśli dobrze liczy, ma w całej Holandii dwusetkę dzieci. Spytałem, czy nie uważa, że to było niebezpieczne:

– Robiłeś to przez dwadzieścia lat. Stworzyłeś coś rozmiarów małej wsi! Wieś pełną swoich dzieci.

– Niektóre kobiety przyjeżdżały do kliniki z Maastricht, niektóre z Groningen, a nawet ze Szwajcarii. Nie wszystkie dzieci są w jednym miejscu. Nie widzę zagrożenia – odpowiedział.

– To szaleństwo.

– Nie wiem, o czym mówicie. Chciałem podzielić się swoim nasieniem z jak największą liczbą kobiet. To było moje największe marzenie: mieć dużo dzieci. Mieć ich najwięcej ze wszystkich. Być lepszym niż inni mężczyźni.

Maaïke dodaje: – Powiedział, że dla niego mężczyzna, który ma piątkę dzieci, jest potężniejszy od tego, który ma dwójkę. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie mówiłam nic. Odpowiadał Matthijs.

– Co to znaczy „mieć”? Nie będziesz nas miał, zapomnij. Nie jesteśmy twoimi dziećmi i nigdy nie będziemy. Co, może mamy cię jeszcze nazywać Stwórcą?

– Jasne, możecie mnie tak nazywać – wyraźnie się ucieszył.

– Bogiem?

– Tak, tak też możecie – powiedział uradowany.

Matthijs wspomina, że na początku rozmowy się wahał, ale po tej wymianie zdań miał już pewność.

Jego biologicznym ojcem jest kompletny świr.

Ten model dziecka nazywa się Jaleesa

Wychodzą. Ale Maaïke chce wrócić, przecież nie tak miało być.

To prawda, ostrzegali ich, że dawca różni się od innych ludzi. Nawet on sam w liście ich przed sobą ostrzegał.

Ale dziś mówią zgodnie: na takie spotkanie nie byli przygotowani.

Albo jeszcze mocniej: na to, co się wydarzyło, nie dało się przygotować.

Nie byli gotowi na to, że dawca będzie badał ich twarze, porównywał je,

dotykał z uwagą, jakby coś sprawdzał. Podczas spotkania z bliźniętami baczniej przyglądał się Matthijsowi niż Maaike, bo był do niego bardziej podobny. Taki był jego jedyny cel: dostrzec w nich siebie. Znaleźć podobieństwo w twarzach, w ruchach, w gestach.

Nie byli gotowi na różne zdania, które padły z jego ust.

Bo on wszystko rozumie dosłownie: telewizyjny występ Maaike i Matthijsa odebrał jako wołanie o pomoc. Mówił, że ich adres znał od zawsze, ale dostał od doktora informację, że nie wolno mu ich szukać, bo są szczęśliwą rodziną.

Sam nie założył żadnej rodziny. Kiedy zrozumiał, że mieli złe doświadczenia z ustawowym ojcem, postanowił „przybyć na ratunek”.

Niegotowi byli i na to, że nie dopuści ich do głosu.

– Cały czas gadałeś, zepsułeś mi taką ważną chwilę – powiedziała Maaike do Matthijsa tuż po tym spotkaniu.

– Nieprawda, Maaike, to dawca gadał.

– Wracamy. Chcę wejść jeszcze raz i spotkać zupełnie innego człowieka – powiedziała Maaike, krzywiąc się. – To nie jego krew płynie w moich żyłach. Zaszła pomyłka. Nie jego wyobrażałam sobie całe życie, miało być inaczej.

Matthijs pokręcił głową.

– Nie, Maaike, już koniec. To on, znalazłaś. Nikogo więcej nie będzie. Wiesz wszystko, nie jest supermanem. Teraz pogódź się z tym. Żyj dalej.

Ale te słowa nie przeszły Matthijsowi przez gardło łatwo. Na pamiątkowym zdjęciu z tamtego spotkania wymuszone uśmiechy mają oboje. Kiedy Matthijs wrzuca swoje zdjęcie z dawcą do sieci, ktoś komentuje: „Matt, wyglądasz zupełnie jak twój tata!”.

Tata?

Wspomina, że na końcu spotkania powiedział do dawcy: „Wiesz, w sumie nie miałem nigdy ojca, nie muszę go mieć i teraz. Jak dla mnie wszystko jest już jasne. Dziękuję, do widzenia!”.

Dawcę spotykają po kolei wszystkie Połówki. Wymieniają między sobą wrażenia. Henrik wspomina, że nie był zawiedziony. Spotkanie trwało godzinę, może dwie. To prawda, dawca gadał i gadał. Nie był zainteresowany niczym prócz opowiadania o historii rodziny. Fakt, nie zadał żadnego pytania ani Henrikowi, ani Jaleesie.

– Ale było w porządku, bo nie spodziewałem się wiele – tłumaczy Henrik.
– Rozumiem, że Maaike miała duże oczekiwania. Jeśli wyobrażasz sobie ojca superbohatera, a poznajesz dziwnego typu, który mówi tylko o sobie, masz prawo do rozczarowania. U mnie spełnił się plan maksimum: odnaleźć biologicznego ojca, żeby móc wypić z nim czasem kawę. Nic poza tym. „To tylko dawca nasienia”, tak trzeba sobie powtarzać – wzrusza ramionami.

Na pierwszych spotkaniach dawca prosił ich, żeby powysyłali mu informacje

o sobie mejlem. Bo przecież i tak nie zapamięta wszystkich naraz.

Maaike powiedziała mu, że to nie jej problem. Jeśli chce ją poznać, powinien robić to na jej zasadach, a nie poprzez formularz: imię, wiek, stan cywilny, studia. Nie jest przecież numerkiem na liście.

O tym, że jednak nim jest, dowiedziała się później.

– Znaleźliśmy stronę – mówi Maaike – gdzie były skatalogowane nasze zdjęcia i krótkie opisy, „numer jeden, Henrik, historyk, lat 26”. Tak jak przewidywałam. To było dostępne w internecie, dla każdego. Poprosiliśmy, żeby usunął.

– Próbował stworzyć swoją bazę danych, kolekcję dzieci? – pytam.

– Pewnie wciąż to robi. Ale teraz trzyma ją tylko dla siebie, na dysku. Jego pierwszy mejl brzmiał tak: *Drodzy Wszyscy, jestem pewien, że u was w porządku. U mnie też wszystko dobrze.* Nie spytał, czy u nas w porządku, z góry stwierdził, że tak.

– Nie umie niczego przyjąć – włącza się Jaleesa. – Nasienie oddawał i nie zastanawiał się, co będzie dalej. Jego rozmowa to gadanie, nie słucha wcale. Nie pojmuję, że życie to nie tylko dawanie, ale też przyjmowanie. Z tego nie będzie relacji.

Amanda ocenia:

– Jego wizja rzeczywistości jest chora. Kiedy został dawcą, nie interesowało go, czy komuś pomoże, czy zaszkodzi. Chciał zrealizować swój plan: mieć tak dużo dzieci, jak to możliwe. Żyje w swoim świecie, w którym nie ma miejsca na innych.

Spytałam go: „Po co? Dlaczego chciałeś mieć tyle dzieci?”.

Odpowiedział, że o ile rozumie naturę, to człowiek, który ma najwięcej potomstwa, jest najpotężniejszym z ludzi. To raczej nie jest odpowiedź, na którą czekałam przez te dwadzieścia cztery lata.

Jaleesa spróbowała nawiązać kontakt jeszcze raz.

– Wiedział, że jestem z Brabancji, wspomniał, że jeździł tam na wykłady o zjawiskach paranormalnych. Pytał, kim jest moja mama i jak mnie wychowała. Umówiliśmy się, że obie zobaczymy się z nim w Bredzie następnym razem, kiedy tam będzie.

Spotykają się w centrum. Jaleesa śmieje się, kiedy słyszy ich wymianę zdań:

– A więc to ty jesteś matką Jaleesy, miło mi! – wita się dawca.

– A ty jej ojcem, też mi miło! – odpowiada kobieta.

Pyta go, kim jest, co robi, skąd pochodzi. W sumie to nie wie, o co trzeba pytać, kiedy poznaje się biologicznego ojca swojej córki.

On nie odwdzięcza się żadnymi pytaniami.

Jaleesa: – Interesował się moją matką w sposób specyficzny. Jakby chciał się przekonać, kim jest druga osoba, która przyczyniła się do produkcji dziecka

o imieniu Jaleesa. Tak wygląda jego myślenie. Przypatruje ci się uważnie i stwierdza: „Ten model dziecka nazywa się Jaleesa”.

Chyba chciał zobaczyć mamę, żeby ocenić, które cechy wyglądu odziedziczyłam po niej, a które po nim.

Prawił jej komplementy, mówił, że dobrze mnie wychowała.

„Ja coś rozpocząłem, a twoja mama dokończyła dzieła” – powiedział do mnie.

„Nie wolałbyś mieć swoich dzieci?” – spytałam.

„Jasne, że tak. Ale skoro się nie udało, wybrałem drugie najlepsze wyjście. Poza tym to był rodzaj lekkiej obsesji”.

Tak to zapamiętała Jaleesa: zwykle człowiek ma hobby, nawyki. On ma natręctwa i obsesje.

Jakiś czas później kilkoro z nich idzie z dawcą na wspólną kolację. Matthijs stara się trzymać biologicznego ojca na dystans. To jedyny sposób, żeby nie czuć się dziwnie.

Kolejne wspólne zdjęcia. Po spotkaniu dostają mejle z podsumowaniem wieczoru. Dawca wkleja fotografie i komentuje znowu:

Z moich obserwacji wynika, że najbardziej przypomina mnie Matthijs. Szczególnie podobne mamy czoła.

Matthijs: – Naprawdę znakomity pomysł na kolację: siedzieć i porównywać sobie nawzajem czoła.

To mógł wymyślić tylko ktoś z zespołem Aspergera.

Nieprawdopodobny news

„Mówili, że dawca był białym mężczyzną. W rzeczywistości miał ciemną skórę i cierpiał na aspergera” – donosi w lutym 2014 belgijski tygodnik. Klinikę w Barendrechcie nazywa „mafią spermową”.

Czytam artykuł w internecie – tak zaczyna się dla mnie ta historia.

Informację podchwytyją internetowe portale. Cytują Sonję, która opowiada, że skóra jej dzieci ciemniała z każdym miesiącem.

Pełno jest w internecie mniej lub bardziej udanych tłumaczeń artykułu z niderlandzkiego na angielski, ludzie wklejają go sobie na forach. Czytam tam, że „holenderska klinika zapłodniła przez przypadek pięćset Holenderek nasieniem upośledzonego Surinamczyka”.

Przełądam komentarze:

Tak się kończy, jak kobieta chce mieć dziecko bez faceta.

No tak się kończy wpuszczanie milionów ciemnoskórych do Europy.

Powiesiłbym gościa.

Tego doktora trzeba ukarać śmiercią.

Jak nazwać odwrotność eugeniki? Dysgenika?

Surinam jest dawną kolonią Holandii. To pobudza wyobraźnię zwolenników teorii spiskowych. Postkolonialna zemsta? Mogłoby tak być.

Jeden z użytkowników pyta, kto jest właścicielem kliniki. Ktoś podpowiada mu: *Może Żydzi?*

Inny kontruje: *Dajcie spokój. Widać, że to wszystko zmyślane.*

News faktycznie wygląda nieprawdopodobnie. Ale przy artykule jest fotografia, każdy może dopasować do historii twarz. Ktoś pisze, że uwieczniony na niej Surinamczyk wygląda jak sprzedawca lemoniady pogryziony przez pszczoły. *Już po zdjęciu widać, że ma coś nie tak z głową* – dodaje inny komentujący.

Patrzę na fotografię. Młody mężczyzna w koszulce w paski, wystraszone spojrzenie. Jakby zrobił coś, czego żałuje.

W artykule dawca podkreśla, że nie chce ujawniać swoich personaliów.

Na pytanie, czy można nazwać go w tekście „Dawcą A.”, odpowiada, że wolałby być „Dawcą S.”. „Jak superfacet, superogier” – precyzuje. Mówi, że nie ma własnej rodziny i dzieci. Był dawcą w trzech klinikach przez wiele lat. Nie uważa, żeby zrobił coś złego, i dodaje: „Dzięki temu długo jeszcze nie zniknę z puli genetycznej Holandii”.

Oglądam reportaż, w którym występuje Henrik.

MATERIAŁ NR 7. FRAGMENT REPORTAŻU TELEWIZYJNEGO, 2014

Prowadzący: – W bankach spermy w latach osiemdziesiątych

i dziewięćdziesiątych wiele rzeczy nie działało tak, jak powinno. Odkryły to niegdyś dzieci, a dziś dorośli ludzie, którzy poszukują odpowiedzi na pytanie: skąd pochodzę? Tak jak Henrik, który myślał, że jego ojcem jest wykształcony mężczyzna, głowa rodziny, mieszkający w Limburgii. Wszystko to okazało się kłamstwem.

Henrik: – To paszport dawcy, mojego ojca. Jest tu parę interesujących rzeczy. Wyższe wykształcenie, szef działu w banku, lubi szachy, ma żonę i dwójkę dzieci.

Włącza się dziennikarka: – Brzmi jak świetny ojciec.

Henrik: – To nie on. Paszport jest zmyślony, a mój list adresowany do biologicznego ojca nigdy do niego nie trafił. Doktor Karbaat wysłał mi zmyśloną odpowiedź. Czemu? Widocznie miał coś do ukrycia.

Dziennikarka: – Sporo jest kłamstw w twoim życiu, Henrik.

Henrik: – Cała masa.

Freda, matka Henrika: – Doktor Karbaat obiecał, że limit to sześcioro dzieci na dawcę. Dawcy mieli mieć wyższe wykształcenie, każdy miał być przebadany. Mówił, że mogę być spokojna – jeśli w rodzinie dawcy trafi się choćby przypadek astmy, nie użyją jego nasienia.

Przedstawiciel FIOM: – Niestety, Henrik nie jest wyjątkiem. Ustaliliśmy, że jest więcej dawców, których dane się nie zgadzają.

Doktor Jan Karbaat nie chciał wypowiedzieć się przed kamerami telewizyjnymi.

Notuję nazwiska z artykułu i reportażu telewizyjnego. Zanim wyjadę do Holandii, zanim poznam Maaïke, Henrika, Sonję, spoglądam jeszcze raz na zdjęcie chłopaka w koszulce w paski – Dawcy S.

Kim jest? Wygląda młodo. Czy to fotografia sprzed lat?

Czy ktoś go wykorzystał, zmanipulował? Czy on sam, wychowany w imigranckiej rodzinie, pogardzany przez Holendrów, zdecydował się na taki nietypowy sposób zwrócenia na siebie uwagi? Mogło tak być.

Ale było zupełnie inaczej.

VII

Witaj, aspergerze

– Spodnie spadły mi aż do kostek, kiedy Amanda zadzwoniła z wiadomością, że jej dawca to Surinamczyk z aspergerem – mówi Sonja.

Siedzimy w jej domu w Dordrechcie, jemy ciasteczka w salonie. Ona, ja i jej dzieci – Amanda i Boy.

Nagle Boy, do tej pory siedzący cicho z telefonem w ręku na kanapie, wybucha śmiechem.

– Jak to spadły, przecież masz je na sobie.

– To takie powiedzonko – tłumaczy Sonja. – A znaczy to samo, co – Sonja sięga po inne powiedzenie, które w dosłownym przekładzie brzmi: krew się z ciebie wylewa.

Gryzę ciastko, kiwam głową, już wiem. Chodzi o polskie „krew mnie zalewa”. Czyli Sonja chce mi powiedzieć, że telefon Amandy bardzo ją zdenerwował.

Ale Boy znowu chichocze, tym razem przez to drugie powiedzenie. Prawdopodobnie właśnie wyobraża sobie matkę, z której wylewa się strumieniem krew.

Boy cierpi na rodzaj autyzmu bliski zespołowi Aspergera.

Dlatego moje niezrozumienie ma wiele wspólnego z jego niezrozumieniem. W Polsce nigdy bym tego nie poczuł na własnej skórze.

Dla osób z zespołem Aspergera inni ludzie mówią dziwnym, metaforycznym językiem. Przesadnie zniuansowanym, podającym szczegóły nie wprost, zostawiającym zbyt wiele pola domysłom i interpretacji. Według aspergerowców porozumiewamy się więc mętnie i nieefektywnie.

Zresztą gdyby Boy przeczytał poprzedni akapit, pewnie wyobraziłby sobie pole, na którym sadi się domysły i interpretacje.

Osobliwi, egoistyczni, niekoleżeńscy, leniwi. Często nieśmiali, niewdzięczni, nieprzystępni, drobiazgowi, bojaźliwi. Tacy wydają się z pozoru. Ponoć to mija, kiedy dowiemy się o ich przypadłości więcej.

Skoro Dawca S., biologiczny ojciec Połówek, ma aspergera, uznałem, że zanim go poznam, przygotuję się.

Wypożyczam więc książki, a z notatek wyłania się kilka aspergerowych problemów.

Problem nr 1. Są różni

Każda z cech typowych dla aspergerowców, jeśli oddzielimy ją od pozostałych, będzie tylko małym dziwactwem. Wszyscy przecież znamy osoby,

która zbyt głośno mówią, inne, które nienawidzą spóźnień, albo jeszcze inne, które mają nietypowe zainteresowania. Tylko że ludzie z zespołem Aspergera mają takich cech dużo i naraz, choć w różnym natężeniu.

Peter Schmidt, naukowiec z aspergerem, porównuje to do przebywania na bezludnej wyspie. Tylko że tak jak wyspy bywają małe, duże, skaliste, piaszczyste, tropikalne, pokryte lodem, tak każdy aspergerowiec jest inny.

Cokolwiek napiszę, będzie generalizacją. Dlatego chcę generalizować na konkretnych przykładach. Czytam wspomnienia czterech aspergerowców: Johna Eldera Robisona, Aarona Likensa, Christine Preissmann i Petera Schmidta.

Notuję: „Każdy z nas ma trochę aspergera. Aspergerowcy mają go bardziej”.
Problem nr 2. Jak wyczuć, co należy?

Ludzie z aspergerem nie mają problemu z mówieniem, czasem tylko mówią zbyt głośno i sztywno konstruują zdania. Nie są też upośledzeni intelektualnie. To ich odróżnia od osób z głębokim autyzmem. Jeden aspergerowiec będzie się w kogoś uporczywie wpatrywał, inny – unikał kontaktu wzrokowego. Ale można się z nimi porozumieć.

Po krótszej lub dłuższej chwili zauważymy jednak, że coś jest nie tak.

Ich zachowanie wydaje nam się nieadekwatne do sytuacji. Dla aspergerowców jest naturalne, bo wynika z logiki.

Robison nie rozumiał, dlaczego położne w szpitalu śmieją się z niego, że chce oznaczać niezmywalnym markerem stopę swojego nowo narodzonego syna. Nie było w tym przecież nic dziwnego. Po pierwsze: czytał w gazetach o przypadkach, że ktoś na oddziale podmienił pomyłkowo noworodki. Po drugie: wiedział, że jak wielu aspergerowców ma kłopoty z rozpoznawaniem twarzy świeżo poznanych osób, więc na pewno zapomni, która stopa należy do jego syna. Po trzecie: syn jest zbyt mały, żeby mógł rozpoznać ojca. Połączył ze sobą te fakty i wziął marker w dłoń.

Ludzie z aspergerem nie rozumieją społecznych zachowań. My uczymy się ich intuicyjnie, oni obserwują ciąg przyczyn i skutków, szukając w nich wzorów. O tym, jak powinno się patrzeć, a jak mówić, dowiadują się na wąskich przykładach i uznają, że raz poznana zależność powtórzy się.

Robison dopiero po kilku latach życia pojął, że komunikacja działa w dwie strony. Wcześniej nie rozumiał, że kiedy kolega z klasy pokazuje mu zabawkę, to chciałby, żeby on powiedział: „o, fajna zabawka”, zamiast wypowiadać inną, przypadkową myśl, jak „mama się dzisiaj na mnie zezłościła”. Wiedział, że coś musi odpowiedzieć, ale nie wiedział co. Nauczył się metodą prób i błędów.

Preissmann, która pracuje jako lekarz, kiedy przedstawia koledze z oddziału stan pacjenta, korzysta z wypróbowanej wielokrotnie tabelki, zawierającej tylko ważne dane. Bez niej mówiłaby wszystko, co wie na temat pacjenta, bo nie

rozumie, co dla innych jest „ważne”. Bywa, że z tego powodu nie wie, kiedy skończyć mówić.

Henrik opowiada, że Dawca S. ma podobnie: – Jego asperger manifestuje się tym, że nie umie wyizolować siebie z otaczającego go świata. Jeśli powiesz mu coś o kryzysie na Bliskim Wschodzie, zacznie się potok słów o tym, jak on się z tego powodu czuje. Jeśli rozmawia o emocjach, to tylko o swoich, widzi jedynie siebie i swoją historię. Nie robi selekcji. Powie ci wszystko, co wie.

„Dla reportera to nawet wygodne”, przechodzi mi przez myśl.

Notuję sam dla siebie: „Podczas rozmowy w razie potrzeby przerwij potok słów. Zadawaj konkretne, proste pytania”.

Problem nr 3. Dziwne żarty

Brak zrozumienia społecznych konwencji i metafor sprawia, że poczucie humoru aspergerowców bywa dla przeciętnego człowieka nieczytelne. Ich żarty są nie na miejscu. Nawet jeśli kogoś ranią, sami tego nie widzą.

Robisonowi sprawiło radość spreparowanie kukły udającej wisielca, którą umyślnie komuś podpalił przed domem, a potem wezwał policjantów, żeby przyglądać się ich reakcji z drzewa.

Likens jako dziecko śmiał się z niekompetentnej nauczycielki i nie rozumiał, dlaczego jej się to nie podoba.

Jeśli założyć, że do zrozumienia społecznych konwencji potrzeba szczególnego wzroku, ludzie z aspergerem są niedowidzący, wręcz ślepi. Chcieliby tę ślepotę przezwyciężyć, ale to niemożliwe.

W 2009 roku media na świecie, również w Polsce, poruszyła swoim wpisem w mediach społecznościowych bizneswoman Penelope Trunk. Napisała, że jest na spotkaniu zarządu i właśnie poroniła. Dodała, że cieszy ją to, bo uniknie bezsensownego czekania na aborcję w szpitalu. Wiele osób się oburzyło, ale ona nie rozumiała dlaczego. „Czym to się różni od napisania, co jadłam na lunch? Nie przejmowałam się tym, dopóki nie pojawiły się komentarze przerażonych czytelników”, tłumaczyła.

Jedni upatrywali w niej radykalną feministkę, drudzy – obrazoburczynię szukającą sensacji. Mało kto zauważył, że po prostu cierpi na aspergera i nie widzi różnicy między poronieniem a sfotografowanym śniadaniem, bo ta różnica to społeczny konwenans.

Problem nr 4. Dosłowność

Aspergerowcy szukają wokół siebie zależności. Niestety, gdy dotyczą one ludzi, wyciągają zbyt dosłowne wnioski.

Jeśli wejdę do pokoju i akurat przypadkiem spadnie z półki książka, człowiek z aspergerem może uznać, że wrócę do tego pokoju zawsze wtedy, kiedy

on strąci książkę z półki.

Dla ludzi z zespołem Aspergera wszyscy mamy miny pokerzystów i niczego nie mogą z nich wyczytać. Starają się z wysiłkiem zapamiętać, które ułożenie mięśni mimicznych na czyjejś twarzy wyraża uśmiech, a które gniew.

Preissmann dowiedziała się o swoim aspergerze już na studiach medycznych. Nie wiedziała, jak ta przypadłość utrudni jej pracę: w przeciwieństwie do innych lekarzy do dziś nie umie odczytać z miny pacjenta, jaki ma nastrój i w jakim jest stanie psychicznym, a bywa to ważne. Żeby się tego dowiedzieć, musi zadać wiele pytań.

Praca lekarza to skrajny przypadek. Ale aspergerowcom trudno jest nawet pójść z kimś razem do kawiarni.

Kiedy usłyszą: „Umówmy się na kawę”, mogą nie odróżnić, czy chodzi o flirt, czy o biznes. Nie odczytają niczego z ruchów rozmówcy, z tonu głosu, nie zauważą akcentu położonego na jakieś słowo. W zależności od tego, jakie było ich pierwsze spotkanie przy kawie, będą się spodziewać, że kolejna propozycja jest identyczna.

Notując: „Dla ciebie coś jest oczywiste, dla niego może nie być. Objasniaj, co masz na myśli”.

Dopóki ktoś człowiekowi z aspergerem nie zdradzi reguły zachowania, on często jej nie widzi. Jeśli ją pozna – bywa, że trzyma się jej sztywno. Któreś z Połówek mówi mi, że Dawca S. nie odpisuje na mejla, używając przycisku „Odpowiedz”. Zamiast tego tworzy nową, osobną wiadomość. Widocznie tak się nauczył, kiedy mejlował po raz pierwszy.

Likens znał alfabet w wieku osiemnastu miesięcy, ortografię w wieku trzech lat, a kiedy miał pięć, nie dało się z nim wygrać w Monopol. Jednocześnie przez długi czas przyjmował tylko płynne pokarmy i nie chciał chodzić do szkoły. Tłumaczył, że ma ważne powody. Jednym było to, że świeciło słońce, a innym – że był wtorek. Własne reguły wydają mu się tak oczywiste, że nawet ich nikomu nie tłumaczy. Jedną z nich jest to, że prawie nigdy nie zadaje pytań, a jedynie reaguje na pytania innych.

Czytam, że Dawca S. w rozmowie z dziennikarzem ma podobną taktykę. Nie chce podawać informacji z własnej inicjatywy. „Będę jedynie potwierdzał lub zaprzeczał temu, co powiesz, żebyś nie napisał głupot” – mówi mu.

Problem nr 5. Jak to jest kochać?

Brak zrozumienia konwenansów i metafor skutecznie utrudnia życie.

Jeśli osoba z aspergerem usłyszy od znajomego: „Zabiję cię, jeśli komuś o tym powiesz”, może uznać to za realną groźbę. Gdy ktoś jej opowie, że ma motylki w brzuchu, wyobrazi je sobie w czyimś żołądku.

Bo ludzie z aspergerem mają trudności w zrozumieniu, czym jest miłość. Nie

czują potrzeby zapewniania kogoś o swoich uczuciach. Jeśli powiedzą partnerowi „kocham cię” i ten stan się nie zmieni, bywa, że nie wspomną mu już o tym do końca życia. Dzielenie się uczuciami z drugą osobą jest dla aspergerowców niezrozumiałe, a powtarzanie raz powiedzianej informacji to strata energii.

Likens pisze, że jedyna definicja miłości, jaką zna, jest taka, że będzie mu kogoś brakować, jeśli odejdzie.

Aspergerowcom trudno identyfikować nawet własne uczucia i mówić o nich tak, by inni zrozumieli, choć to nie znaczy, że nie chcieliby się tego nauczyć.

Schmidt porównuje aspergerowców do kaktusów. Jeśli słońce to samotność, a woda to inni ludzie, kaktusy różnią się od innych roślin tym, że potrzebują dużo słońca i mało wody. Ale bez minimalnej porcji wody uschną. Preissmann ma czasem ochotę na spotkania z ludźmi, a potem przez miesiąc woli być sama. Zauważyła, że innym to przeszkadza, więc próbowała poznać zależność: ile razy i jak często trzeba się spotykać, żeby znajomość przetrwała? Czy wystarczy raz na miesiąc, a może lepiej pisać mejla co trzy miesiące? Do dziś nie udało jej się tego ustalić. Po drodze zaprzepaściła wiele znajomości.

Aspergerowcom trudniej też o życie seksualne. Tu znowu jak z kaktusem – choć zwykle mają w tej sferze mniejsze potrzeby niż przeciętny człowiek.

Notuję: „Spytaj o życie uczuciowe”.

Problem 6. Zmiana jest zawsze na gorsze

Ludzie z aspergerem kochają regularność i nie znoszą zmian. Jako dzieci potrafią rozplakać się na widok nowego samochodu kupionego przez rodziców, bo one wołały stary.

Lepiej czują się, kiedy myślą o przeszłości. Przecież w każdym przyszłym dniu czai się jakaś zmiana.

Wielu z nich nie rozumie mody i kupowania nowych ubrań czy gadżetów. „Tam, gdzie wy widzicie zmianę na lepsze, ja widzę jedynie, że nie jest już tak, jak było” – pisze Likens.

Powodem do rozpaczki było dla niego choćby to, że koleżanka, z którą często rozmawiał na czacie, zmieniła pseudonim. Nie mógł o tym przykrym zdarzeniu zapomnieć przez lata.

Wspomina, że wołałby w życiu mieć same przewidywalne scenariusze: jak w szachach, gdzie konkretne figury mogą poruszać się tylko w jeden sposób. Nawet w śmierci przeraża go jedynie to, że jest ona zmianą.

Ponieważ nie selekcionują informacji i próbują w każdej sekundzie przeanalizować wszystkie możliwe scenariusze wydarzeń, im więcej jest bodźców, tym bardziej czują się zagubieni. Nieustannie się nad wszystkim zastanawiają. Nadwyżka danych, którą my spychamy w mózgu na dalszy plan, żeby podjąć decyzję, u nich paraliżuje zdolność wyboru.

Helga, terapeutka, radzi mi, żebym przy umawianiu się na rozmowę z Dawcą S. nie pytał go o termin spotkania. Trudno będzie mu samemu ustalić, którą datę woli.

– Ale jeśli dasz mu trzy do wyboru, chętnie wybierze z listy.

Notuję: „Pozostawiaj wybór. Trzymaj się ustaleń, nie zaskakuj”.

Problem 7. Jakie masz hobby?

Zainteresowania ludzi z aspergerem innym wydają się dziwne i ograniczone.

Lubią powtarzalność, możliwość poświęcenia im całej uwagi, szczegóły, dokładne planowanie, kontrolę, wąski zakres informacji.

Jeśli nawet interesuje ich to, co innych ludzi, to w specyficznym ujęciu. Na przykład nie sam mecz piłki nożnej, ale to, ile razy podał piłkę jeden z graczy.

Nie rozumieją, dlaczego ludzi wokół nie pasjonuje to, co oni uważają za najciekawsze.

Henrik: – Kiedy mojemu biologicznemu ojcu powiesz, że masz inną opinię, zdziwi się: „Jak można mieć inną opinię?!”. Zakłada też z góry, że każdy z nas chce wiedzieć wszystko o jego rodzinie.

Ludzie z aspergerem, jak każdy człowiek, szukają uznania i chcą być przydatni. Dobrze, jeśli mogą realizować w życiu swoje wąskie hobby. Świetnie, jeśli to ich praca.

Kiedy poświęcali się swoim zajęciom, trudno było zauważyć, że cierpią na aspergera: stawali się pewniejsi siebie, potrafili kontaktować się z ludźmi, o ile kontakt dotyczył ich hobby. Praca była dla nich, jak piszą, „bezpieczną strefą”. To sytuacja, w której czują się dobrze, którą mają pod kontrolą.

Notuję: „Czy oddawanie nasienia mogło być hobby? Bezpieczną strefą?”.

Niestety, żeby zdobyć pracę, aspergerowcy zwykle muszą skończyć jakąś szkołę.

A szkoła to piekło.

Po pierwsze, jest tam głośno, a oni źle się czują, gdy wokół jest za dużo bodźców.

Po drugie, szkoła wymusza kontakt z dużą liczbą ludzi, a oni nie lubią tłoku. W starszych klasach często zmieniają się nauczyciele, a oni lepiej czuliby się z jednym i tym samym.

Po trzecie, szkoła to dziesiątki niezrozumiałych reguł zachowania i materiału do nauczania. Człowiek z aspergerem ma problem ze zrozumieniem, dlaczego każą mu uczyć się rzeczy, które uważa za nudne.

Zwykle są lepsi z przedmiotów ścisłych. Zmora jest dla nich interpretacja literatury i pytanie „co autor miał na myśli”.

Tak w szkole, jak poza nią uwielbiają gry.

Bo każda gra ma reguły, a reguły to regularność. Nawet jeśli ostateczny

wynik jest nieprzewidywalny, zawsze mieści się w regułach.

– Dawca S. też w coś gra? – pytam Maaike.

– To jego pasja – odpowiada. – Redagował przez wiele lat magazyn o planszówkach, grał w turniejach. To, że lubi szachy, warcaby i stratego, było jedną z niewielu prawdziwych informacji, jakie doktor Karbaat uwzględnił w jego paszporcie dawcy.

Aspergerowcy mają kłopot jedynie z tymi grami, w których muszą reagować na posunięcia innych graczy.

Likens pisze, że kiedy gra w szachy, nie zauważa przeciwnika. Widzi to tak: rusza się on, potem nic się nie dzieje, potem rusza się on. Choćby się skupił, nie umie zaobserwować, co robi drugi gracz. Asperger działa jak zasłona.

Problem nr 8. Gdy reporter robi notatki, a potem ich nie czyta

Umawiam się za pośrednictwem Maaike z Dawcą S. Niestety, spóźniam się na lot i w ostatniej chwili muszę odwołać spotkanie.

– To najgorsze, co mogłeś zrobić – powie mi Helga. – Złamałeś mu serce, stałeś się dla niego nieprzewidywalnym czynnikiem, zmianą.

Wtedy przypominam sobie: Preissmann wspomina, że stresuje ją nawet minutowe spóźnienie lub propozycja pójścia w inne miejsce, niż było ustalone, bo są to nagłe zmiany. Straciła w ten sposób wiele okazji do spotkań towarzyskich, a raz nawet wyrzucili ją z pracy, bo notorycznie odsyłała do domu pacjentów, którzy spóźnili się kilka minut. Nie umiała inaczej, bo spóźnienia i zmiany planów ją stresowały.

Dawca S. może mieć podobnie. Na propozycję przełożenia spotkania o jeden dzień odpisuje mi:

Ponieważ widzę, że trudno jest nam się umówić, zostanemy przy kontakcie mejlowym. Przynajmniej wszystko będzie na papierze.

– Może nie wszystko stracone – mówi Helga. – Spróbuj go przekonać, że warto się spotkać. Najlepiej logicznymi argumentami.

Aspergerowcy uwielbiają logikę. Dlatego sprawdzają się w naukach matematycznych, przyrodniczych, są dobrymi inżynierami.

Niektórzy potrafią się tak dostosować do życia, że są wręcz ponadprzeciętnymi pracownikami: szczerymi, wiernymi, mało imprezują, dobrze komunikują się na piśmie. Jeśli znajdą pracę, która im odpowiada, żyją niemal jak każdy. Może gdybyśmy wszyscy mieli aspergera, byłibyśmy bardziej produktywni?

W zasadzie zostaje jedna trudność: gdyby każdy z nas miał zespół Aspergera, trudno byłoby nam się rozmnażać.

Preissmann pisze, że wiele razy myślała o partnerze i dziecku, ale rozumiała, że swoim zachowaniem mogłaby ich skrzywdzić – została samotna.

To był sposób na pogodzenie się z tym, że nigdy nie będzie żoną i matką.

I choć wiele osób, jak Robison, założyło rodzinę mimo aspergera, nie jest to łatwe. Brak zrozumienia drugiej osoby, uczuć takich, jak zauroczenie i zakochanie, problemy z dopasowaniem się, słowem, trudność w stworzeniu nawet przelotnego związku to u aspergerowców częsty problem.

Przeszkoda, bez pokonania której trudno jest o potomstwo. Trudno w ogóle uprawiać seks, a w konsekwencji – rozmnażać się.

Chyba że ktoś znalazłby sposób, jak to obejść.

VIII

Bjorn, potomek najlepszego

„Włącz telewizor. Jest program o anonimowych dawcach i dzieciach, które szukają biologicznego ojca”.

Telefon od matki odrywa dwudziestodwuletniego Bjorna znad książek. Miał wprawdzie uczyć się do egzaminu, ale sięga po pilota. Na ekranie Maaïke, Matthijs, Jaleesa i ich pierwsze spotkanie.

Szukali ojca, znaleźli siostrę. Ciekawie to w życiu bywa, myśli, kiedy odcinek się kończy. Ani jemu, ani mamie nie rzuca się jeszcze w oczy żadne podobieństwo.

– Przecież nie włączasz telewizora z myślą, że pierwsza osoba, którą tam zobaczysz – mówi – będzie z tobą spokrewniona. Nie szukaliśmy, więc nie zauważyliśmy.

O tym, że jest dzieckiem z dawcy, wie wtedy już od dwóch lat. Chociaż czy nie wiedział zawsze?

Bo już jako dziecko pytał matkę, czy jest chociaż jedna mała rzecz, w której z wyglądu jest podobny do ojca. Sam niczego takiego nie widział. „Jesteś podobny do mnie” – ucinała.

Imię, dziwne jak na Holandię, nie było żadnym tropem. Wymyśliła je mama, lubiła skandynawskie, bratu dała Kjeld, jemu Bjorn. Zastanawiało go tylko czasem, dlaczego jest tak dobrym uczniem i skąd wziął się u niego talent do przedmiotów ścisłych.

– Przecież mama nie była wykształcona – opowiada – pracowała jako przedszkolanka, a on też miał w szkole same problemy.

– On?

– Mój wujek, w sensie ojciec. W sensie – ustawowy ojciec. Mój ustawowy ojciec był durniem. Pamiętam, jak kiedyś kupowaliśmy do domu oczyszczacz powietrza. Powiedział: „Bjorn, musimy kupić ten z jonizatorem, jest dużo lepszy, bo czyści powietrze z jonów”. Nie wiedziałem, co to jest jonizator ani jony, więc uwierzyłem. Miał przekonujący ton.

Tym samym tonem tłumaczył mi, który sok jabłkowy jest lepszej jakości, a który gorszej. Pieprzył głupoty, żeby się popisać. Ale w tamtym czasie to był jednak mój ojciec, a ojcu się wierzy.

Po latach dowiedziałem się w szkole, że to, co mówił o oczyszczaczu, nie miało sensu. Poszedłem na biotechnologię, miałem dobre oceny. A ten jonizator zapamiętałem na zawsze.

Mama poznała go w klubie dla płetwonurków, oglądali razem rafy koralowe. Ona miała dwadzieścia trzy lata, on czterdzieści cztery. Potem trochę dojrzała, a on

został, jaki był. Chyba zrozumiała, że jest idiotą.

Kiedy miałem piętnaście lat, przestałem go widywać, choć wyprowadził się tylko do bloku obok. Mama pracowała, ale starała się spędzać ze mną i bratem czas. Przynajmniej fizycznie: ciepłe jedzenie było zawsze, choć gadaliśmy mało. Dostałem pracę w supermarkecie, dorabiałem tam przez kilka lat. Zaczynałem codziennie o szóstej po południu. Mama wracała po piątej z pracy, szybko gotowała obiad.

Bywało, że nie zdążyłem z nią zjeść, a co dopiero usiąść i spokojnie pogadać. I tak mijały lata bez tej jednej rozmowy.

Bo na to jedno zdanie: „Jesteś z dawcy”, żaden moment nie jest dobry.

Córka mojego ojca z poprzedniego małżeństwa wiedziała, że nie jestem jego synem. Wywierała na mamie presję, żeby cofnęła wniosek o alimenty, bo dlaczego on ma płacić na obce dziecko.

Pewnie cała jego rodzina to wiedziała. My nie. Dowiedzieliśmy się z Kjeldem parę dni po moich dwudziestych urodzinach. Studiowałem już wtedy na politechnice w Wageningen.

Nie pamiętam dnia, miejsca.

Tłumaczyła, że nie powiedziała nam wcześniej, bo nie miała informacji, którymi mogłaby wypełnić lukę. Bo jeśli nie wiesz, kto jest twoim ojcem biologicznym, zostawia to w tobie jakiś brak, puste miejsce. Tego nie chciała nam fundować.

Fatalna decyzja, wolałbym wiedzieć od początku.

Mama powiedziała, że ojciec miał z poprzednią żoną trójkę dzieci, ale poddał się wazektomii. Na życzenie mamy spróbował ją po latach cofnąć, ale taki zabieg rzadko się udaje. Całe szczęście, że się nie udał.

Bardzo bałem się, że mam złe geny. Rodzina mojego ustawowego ojca jest pełna hazardzistów, narkomanów, alkoholików i kryminalistów. Byłem pewien, że taka krew płynie również w moich żyłach. A tak – ulżyło mi. Wciąż mogło się okazać, że moja krew jest jakaś inna, lepsza.

Mama powiedziała mi o Barendrechcie. Mówiła, że doktor Karbaat nie dał jej żadnego paszportu dawcy.

– Poprosiła o to po latach? – pytam.

– Tak. Usłyszała: „Wszystkie informacje zostały zniszczone”.

– Szukałeś sam?

– Nie. Nie miałem ani potrzeby, ani punktu zaczepienia. Kiedyś zobaczyłem odcinek programu *Bez śladu*, wszedłem na stronę. Był formularz zgłoszeniowy, imię poszukiwanej osoby, nazwisko, adres, miejsce ostatniego pobytu. Wkurzyłem się. Nie dlatego, że nie chciało mi się tego wypełniać. Po prostu nie miałem żadnych informacji, które mógłbym tam wpisać. To się nigdy nie uda, pomyślałem.

Trafiłem na psychoterapię, jakoś musiałem sobie poradzić. Ojciec nas

zostawił, mama nie poświęcała nam zbyt wiele czasu. Po rozwodzie zajmowało ją raczej szukanie partnera, spotykała się z kilkoma, to były niezbyt udane znajomości. Kogoś na stałe znalazła po wielu latach.

Samo życie: znajdujesz kogoś wtedy, kiedy właściwie przestałeś szukać.

Gdyby nie telewizja, pewnie do dzisiaj bym ich nie odnalazł. Odcinek *Kto jest moim ojcem?* z Maaïke, Matthijsem i Jaleesą kończył się planszą: „Chcesz znaleźć swojego ojca? Napisz”. Trochę za długo się zbierałem, więc odpisali mi, że nie potrzebują już zgłoszeń, ale mogą przekazać moje dane do FIOM. Zawsze coś.

Napisali też, że jeśli sam znajdę ojca, chętnie pokażą w telewizji nasze spotkanie.

Aha, pomyślałem, chcecie przyjść na gotowe? Po moim trupie.

Pierwszy raz oddałem krew do sprawdzenia DNA rok po zobaczeniu show. Dane były już we FIOM, liczyłem, że wkrótce się odezwą. Po pół roku spytałem, czy coś wiadomo. Odpisali, że dostali z telewizji dużo próbek krwi, ale jeszcze ich nie przebadali. Będzie szybciej, jak zarejestruję się u nich.

Zapisałem się, zapłaciłem, było trochę drogo. Pojechałem do Nijmegen, to był najbliższy szpital, który współpracował z FIOM. Siedziałem w poczekalni z innymi osobami, pobierali tam krew do różnych badań. Inni sprawdzali poziom cholesterolu, ja ustalałem, kto jest moim ojcem.

Nerwy? Co ty, nic z tych rzeczy. Ciekawość – to tak.

Nie znoszę, jak ktoś mówi: „Tego ci nie mogę powiedzieć”. Zrobię wtedy wszystko, żeby się dowiedzieć. Nawet jeśli coś okazuje się nieciekawe, lubię wiedzieć dla samej wiedzy.

Poza tym, przepraszam bardzo, czemu ktoś ma decydować o tym, że nie wiem czegoś o swoich genach?

Mama cieszyła się, że mam taką szansę. Ale powiedziała, że o dawcy nigdy nie chciała i dalej nie chce nic wiedzieć, więc nie zamierza mi pomagać. „To twoje poszukiwania, ja nie jestem ich częścią”.

I to mnie akurat zdenerwowało.

Powinna przecież trochę się zaangażować. To była jej wina, że nie miałem absolutnie żadnych informacji, to ona o nic nie pytała. I to właśnie ona zadecydowała, że pojawię się na świecie w ten sposób, celowo to przede mną ukrywała przez te wszystkie lata, a teraz to są tylko moje poszukiwania?

Myślę trzeźwo i szansę na to, że mój ojciec będzie w bazie, oceniałem bardzo nisko. Byłbym strasznym farciarzem.

No i trzy miesiące później okazało się, że jednak nim jestem.

Zadzwoiła pracownica FIOM, powiedziała: jest zgodność, zaprosiła do Bredy. Przyjechałem, dowiedziałem się, kto jest moim ojcem i że jest już ośmioro innych osób z tego samego dawcy.

Henrik, Amanda, Boy, Maaïke, Matthijs, Jaleesa. Oprócz nich doszła

rodzona siostra Henrika i jeszcze jedna dziewczyna. Byłem więc Połówką numer dziewięć.

Ale powiedzieli, że to dopiero początek, możemy mieć nawet dwie setki braci i sióstr.

Jaka była moja reakcja?

Zaimponowało mi to.

Dotarło do mnie, że jestem synem faceta, który spłodził dwie setki dzieci. W całym kraju nie ma pewnie nikogo innego, kto mógłby pochwalić się czymś takim.

Jestem biotechnologiem i na takie rzeczy patrzę po swojemu.

Z punktu widzenia ewolucji, genetyki to przecież niespotykany reprodukcyjny sukces. Całkiem mnie bawi, że jestem jego częścią.

Wiesz, co pomyślałem, kiedy mi powiedzieli?

Wow, mój ojciec jest najlepszy w Holandii.

Trzy Połówki, w tym hardkorowa

Jedyny niesmak, jaki pozostał po tamtych żeberkach, jest taki, że minęły trzy lata, a oni do dziś nie rozliczyli między sobą rachunku z restauracji.

Kto jest czym dłużnikiem? No już nieważne, przecież na półrodzeństwie się nie oszczędza.

Więc może to jednak nie niesmak, ale anegdotka.

Kiedy Bjorn patrzy dziś na fotografię z tamtego wieczoru, nie wierzy, że to aż trzy lata temu. (Podpis Maaike na Facebooku: *Pyszna kolacja na mieście z moimi półbraćmi, najstarszym i »najnowszym«, super!*).

Żeberka są duże, na cały talerz.

O czym rozmawiają? Na pewno o sklepie Media Markt. Maaike tam pracuje, a Bjorn i Henrik kochają elektroniczne gadżety i gry komputerowe.

Poza tym chyba o związkach (Bjorn nie ma dziewczyny, a chciałby), pracy (wymarzona praca Maaike – oczywiście w Disneyu), o dzieciach (Henrik chciałby trójkę).

Henrik zauważa, że Bjorn gestykuje podobnie jak ich dawca. Że chyba z dziewiątki jest najbardziej do niego podobny.

Bjorn też widzi podobieństwa twarzy, może ruchów. To niesamowite uczucie w obcej osobie zobaczyć trochę siebie.

A potem stwierdzić, że jednak się różnią.

Zbiło go z tropu, kiedy Henrik zaczął opowiadać o uzdrawianiu przez modlitwę. O ludziach, którym odrosła noga, gdy gorąco się modlili.

Bjorn, inżynier, nie lubi takich natchnionych historyjek. Popatrzył mu w oczy.

– Nie wierzysz w to, prawda?

Ale Henrik odpowiedział, że owszem, wierzy, i dla Bjorna to był pierwszy sygnał, że jego znajomość z tym akurat półbratem nie zakwitnie.

– Jak można aż tak nie dostrzegać niczego, co wykracza poza twoją religię?!
– oburza się Bjorn, kiedy opowiada mi o spotkaniu.

– A jak można aż tak nie uznawać niczego, co jest sprzeczne z twoim ateizmem? – pytam. Śmieje się, bo wie, że akurat w tym są z Henrikiem podobni
– obaj mają wyraziste poglądy.

Zanim Bjorn dał się poznać Połówkom, czekał kilka miesięcy, aż poczuł, że jest gotowy. Wcześniej dopisali go do facebookowej grupy, kliknął, przytłoczyło go tych osiem nowych osób w życiu: do nadrobienia miał ich wielomiesięczne dyskusje, zdjęcia i ankiety, które sobie robią.

Formularz dla każdej nowej Połówki: Co jadłeś dzisiaj rano? Jaki jest twój ulubiony film, kolor? Jakim autem jeździsz? Ajax, Feyenoord czy PSV? Takie tam śmieszne pytania, żeby się trochę poznać.

Analizują, szukają podobieństw. Są przecież spokrewnieni, jakies muszą być.

Prawie każde z nich miało ojca, który porzucił rodzinę, zanim dzieci były pełnoletnie.

Wielu z nich coś zbierało lub zbiera: Maaikę filmy Disneya. Jaleesa też. A do tego, tak jak inna półsiostra, kolekcjonuje figurki sów. Matthijs zbierał figurki klaunów, wypchane zwierzęta. Bjorn ma klaser z zafoliowanymi kartami Pokemon i listą wszystkich stworów. Jeśli zdobędzie nową, stawia przy nazwie ptaszek, chciałby mieć wszystkie. Mówi, że oczekiwania ma konkretne: karty muszą być zafoliowane i błyszczące. Poszerzać kolekcję pomaga mu jedna z półsióstr, która mieszka w innej części Holandii. Karty wysyłała mu pocztą jeszcze wtedy, kiedy znali się tylko przez internet i nigdy się nie widzieli. Bywało, że szła specjalnie na pchli targ, żeby upolować nowe.

W końcu co półbrat, to półbrat.

Wygląd? Kilkoro z nich ma loki i brązowe oczy, to chyba najczęstszy typ. Mają te same usta i podobne nosy, sarkastyczne poczucie humoru, co rusz wymieniają seksistowskie dowcipy.

Kilkoro śpiewa lub maluje. Raczej nie są wysportowani, słabo biegają. Wszystkim chłopakom podobają się rude dziewczyny, nie wszystkim dziewczynom rudzi chłopcy.

Raczej nie lubią hałasu, choć gdy się spotykają, są głośni i żadne nie może usiedzieć w jednym miejscu. Kelnerzy w restauracjach nieraz zwracali im uwagę.

Trudno znaleźć coś, co łączy ich wszystkich. Bo zawsze znajdzie się wyjątek.

Nie palą, poza jedną osobą.

Raczej nie chodzą do kościoła, ale Henrik – tak.

Śmieją się, że żadne nie ma dużego palca u stopy, prawie wszyscy mają ogromne. Że muszą często odwiedzać dentystę. Ale jest jedna osoba, która ma piękne uzębienie, jako jedyna nie nosiła aparatu, a duży palec u stopy ma mniejszy.

Najwięcej jest wśród nich kibiców Feyenoordu Rotterdam, ale przewaga jest minimalna. Są raczej szczupli, choć nie wszyscy.

Kiedy zastanowią się nieco dłużej, znajdują jedną rzecz, która ich łączy – sushi, ono smakuje wszystkim.

To trochę mało, mówią.

Bo czy to nie jest tak, że każdy człowiek lubi sushi?

Mija kolejny rok. Połówki udzielają wywiadów kilku gazetom, biorą udział w sesjach zdjęciowych. Po każdej takiej publikacji FIOM dostaje nowe zgłoszenia od dawców i dzieci.

Dołączają do nich trzy nowe osoby, jest ich już dwunastka i w bazie danych FIOM stanowią największą grupę osób z jednego dawcy. Przeciętna poszukująca krewnych osoba nie znajduje przez FIOM nikogo, czasem pojedynczych półbraci i półsiostry. Dlatego to na przykładzie Połówek organizacja szlifuje procedury. Uczy się, jak postępować z tak dużą grupą.

Jeśli badania potwierdzają zgodność z dawcą, zgłaszający się otrzymuje:

- dane dawcy,
- dane innych osób z tego samego dawcy, czyli półbraci i półsióstr,
- dodatkowe informacje, na przykład zdjęcia półrodzeństwa.

Zwykle nie trzeba robić dodatkowych testów, zgodność między dawcą a dzieckiem niemal gwarantuje zgodność z półrodzeństwem.

Pracownicy FIOM wiedzą, że Połówki są ze sobą w kontakcie, więc o nowej zgodności informują jedną wybraną osobę. Kontaktową funkcję pełnił z początku Henrik, ale gdy urodziły mu się dzieci, nie miał już czasu i zastąpiła go Maaike.

„Hardkorowa *Halfje*”, tak nazywają ją Połówki, bo najbardziej angażuje się w życie grupy. Nie przegapi żadnej nowej informacji o Połówkach w internecie, ma ustawione powiadomienie w Google’u. Nie odpuszcza też spotkań z nowymi: jeśli ktoś dołącza do grupy, Maaike stara się szybko poznać go osobiście.

Reszta też chciałaby się ze sobą spotykać, ale bywa trudno. Mieszkają w całej Holandii: Utrecht, Rotterdam, Hilversum, Eindhoven. Nie da się wybrać jednego miasta, do którego każde miałyby blisko.

Maaike często udziela wywiadów, chce, żeby o dzieciach z dawców więcej się mówiło. Dołącza do kolejnych grup, które zrzeszają takie dzieci i walczą o ich prawa. Dostaje wiadomości od innych, którzy są w podobnej sytuacji.

– Kiedy na Facebooku – mówi – w specjalnej grupie dla dzieci z dawców widzę kogoś, kto wygląda jak my, radzę mu, żeby poszedł na badania DNA. Może jesteśmy rodziną?

Niektórzy piszą do niej bezpośrednio, jeszcze zanim zarejestrują się we

FIOM: *Cześć, Maaike, pomożesz mi znaleźć mojego dawcę?; Cześć, Maaike, wydaje mi się, że też jestem Polówką!; Maaike, moi rodzice byli klientami kliniki doktora Karbaata, kto wie, może jesteśmy spokrewnieni?*

Tuż po znalezieniu dawcy Maaike napisała w internecie, że im więcej czyta i słyszy o klinice w Barendrechcie, tym bardziej ma pewność, że łamała ona prawo.

Uważam, że doktor Karbaat od dawna coś knuł i kręcił. Odnalazłam ojca biologicznego i moje półrodzeństwo, z tego się cieszę. Ale mój dawca ma pewne cechy, które można nazwać kompleksem boga. Oddawał nasienie ponad dwieście razy, Karbaat nie miał nic przeciwko temu. Zachowanie dawcy było dziwne, ale to doktor powinien postawić granicę. Myślę, że Karbaat miał gdzieś etykę zawodową. Mojemu biologicznemu bratu napisał w liście, że dawca nie chce się z nim kontaktować, a dawcy nawet o to nie spytał. Matce jednej z siostr powiedział, że dawca jest z Indonezji, a okazało się, że jest z Surinamu.

Surinam? Fien, młoda studentka z Rotterdamu, czyta post Maaike na rozłożonym na kolanach laptopie. Podrywa się z łóżka.

Patrzy na zdjęcie mężczyzny, które jeszcze w dzieciństwie zawiesiła z mamą na ścianie pokoju.

Przecież on też był z Surinamu.

A Fien znalazła jego twarz

Z tego, że Fien jest dzieckiem z dawcy, jej mama nigdy nie robiła tajemnicy.

Bo i co miałyby wymyślić? „Tatusz nas zostawił?”. Żadnego tatusia w ich domu nie było. Właściwy kandydat nie pojawiał się na horyzoncie, a zegar biologiczny tykał. Kiedy wytykał trzydzieści cztery lata, pomyślała: nie znalazłam do teraz, spróbuję w klinice. I została matką BOM, czyli „bombą” bez partnera.

Malutka Fien, dziewczynka o pięknych brązowych oczach i kręconych włosach, mówiła więc rówieśnikom wprost: „Nie mam taty”. Bo przecież ten pan na zdjęciu w jej pokoju to nie ojciec.

Dzieci przyjmowały to naturalnie, jak każdy komunikat o świecie. Małe dzieci nie oceniają. Jedni mają tatę, inni nie mają – co to za filozofia.

Fien miała więc mamę, siebie i zdjęcie dawcy, które dał im doktor Jan Karbaat.

– Tak było od zawsze – mówi Fien. – Nie widziałam w tym nic dziwnego.

Problemów z powodu ciemniejszej skóry też nie miała w dzieciństwie żadnych. Co to znaczy skądś pochodzić? Jest Holenderką. No, jakby się uparła, wymieniłaby oprócz odcienia skóry jeszcze ekspresyjność, temperament i to, że dobrze tańczy – u Holendrów to raczej rzadkość.

– Kiedy słyszałam o rozwodach rodziców innych dzieci, cieszyłam się, że mnie to nie dotyczy – mówi. – Dopiero jako nastolatka poczułam, że czegoś mi brakuje.

Obawiała się, że jeśli przyzna się w nowej szkole do swojej sytuacji rodzinnej, koledzy nie zrozumieją i będą się z niej śmiać. Po co się tak wychylać, skoro można sobie ojca wymyślić?

Spojrzała w paszport dawcy, który jej matka dostała kiedyś od doktora Jana Karbaata. Kolor skóry dawcy był określony jako „kawa z mlekiem”, ale rasa – kaukaska.

Zerknęła na mapę, coś ten Kaukaz leżał za daleko, więc uznała, że jej ojciec był jednak Grekiem. No, może Grekiem urodzonym gdzieś dalej na wschodzie. W ostateczności Ormianinem. Byłe nie Turkiem, Turek jakoś chwilowo jej nie pasował.

– Widzisz – mówi – tyle możliwości! Mógł być każdym.

Nowa wersja Fien brzmiała tak: mama miała faceta w Grecji, a ona jest owocem tej miłości. Niestety, facet zmarł, zanim się urodziła, i dlatego ma panięskie nazwisko matki.

– Często jeździłyśmy na wakacje w tamte rejony, więc łatwo było tak ściemniać. Przekonałam nawet parę osób, że mam na drugie Atena – uśmiecha się.

Wymyśliła sobie tak przekonująco, że okłamywała nawet chłopaka, z którym się spotykała.

– Ani przez chwilę nie wierzył w tę Grecję, ale nie przyznawałam mu się przez rok – mówi Fien – aż poznaliśmy dziewczynę, której ojciec naprawdę był Grekiem.

„Fien, zachowujesz się inaczej niż ona, masz inny kolor skóry, loki, inne biodra” – mówił jej chłopak. „Inne biodra!”, tak na pewno powiedział, Fien pamięta do dzisiaj. A potem dodał z kamienną twarzą: „Mam pewne podejrzenia, że twój ojciec był czarnoskóry”.

Rozpłakała się. Przyznała, że jest z dawcy i że wie o nim kilka rzeczy, ale akurat nie to, z jakiego jest kraju. Chyba był z jakiejś byłej holenderskiej kolonii: Antyli? Surinamu? Kiedy googlowała nazwisko, które podał im doktor, występowało właśnie tam.

Poszukała w internecie czegoś o klinice w Barendrechcie. Znalazła post Maaïke, po przeczytaniu napisała jej tak:

Cześć, Maaïke, może pomyślisz, że to dziwna wiadomość, ale trudno. Mam dwadzieścia dwa lata. Jestem dzieckiem z dawcy i zostałam poczęta w klinice doktora Karbaata. Znalazłam w internecie dyskusję, w której napisałaś o nim i o swoim dawcy. Mama знаła dane mojego dawcy i w ten sposób odkryłyśmy, że chyba mam surinamskie korzenie.

Wiem, jak ma na imię mój biologiczny ojciec. Chcę go poznać – co mam zrobić? Czy możesz mi coś podpowiedzieć?

Pozdrawiam,

Fien

PS

Przy okazji: co miałaś na myśli, pisząc, że Karbaat knuł i kręcił?

Maaike nie odpowiedziała tego samego dnia, Fien prawie umarła ze stresu. Ale na drugi dzień w drodze ze szkoły zobaczyła na ekranie telefonu:

Cześć, chyba będzie łatwiej, niż myślisz. Wydaje mi się, że mamy tego samego dawcę. Witaj w rodzinie.

Mam siostrę! – ucieszyła się Fien.

Wymieniły się zdjęciami. Stwierdziły, że z twarzy są całkiem podobne. Maaike przesłała jej też zdjęcie Dawcy S. To on, pomyślała Fien, ten z mojej fotografii.

Dodaję cię do naszej grupy na Facebooku! – napisała Maaike i tak Fien została Połówką numer dwanaście.

– Kiedy Maaike mnie dodała – opowiada – byłam w szkole, ale nic z tego dnia nie pamiętam. Cały dzień siedziałam w telefonie. Chciałam ich wszystkich zobaczyć, z każdym pozatować. Podobieństwo fizyczne też było ważne, przeglądałam zdjęcia Amandy, porównywałam nasze twarze. Czułam wewnętrzne ciepło, wzruszenie, jakbym znalazła grupę ludzi, do których naprawdę pasuję.

Fien wysłała dawcy swoje zdjęcie z dopiskiem, że chciałyby go poznać.

Od razu widać, że jesteś moją córką – odpisał.

Na temat Karbaata Maaike powiedziała jej mniej więcej tyle: „Nie był najsolidniejszym z lekarzy”.

– To akurat pamiętałam z opowieści mamy – mówi Fien. – Kiedyś w klinice w Barendrechcie zgubili formularz, który wypełniła. Innym razem zapomnieli podać jej hormony i nie miała owulacji, płaciła więc za inseminację bez szansy na zajście w ciążę. Kiedy odkryli swój błąd, zaoferowali jej trzy miesiące gratis.

Matka Fien opowiadała jej również o minimalistycznym podejściu Karbaata do badań wstępnych.

Jedna strona do wypełnienia: imię, nazwisko, wykształcenie, wiek, praca. Mało, poza tym nikt nie sprawdził, czy to, co wpisywała, jest prawdą. Trochę dziwne, ale to nawet lepiej, przynajmniej mogę zacząć od zaraz, pomyślała sobie wtedy.

„Jakiego chce pani dawcę?” – spytał Karbaat.

„Zdrowego, tylko tyle” – odpowiedziała. (Chociaż jak ją znam, to dodała coś jeszcze o inteligencji – śmieje się Fien, bo tę rozmowę odtwarza mi ona).

„Ten mężczyzna jest otwarty na kontakt z przyszłymi dziećmi” – Karbaat wskazał profil dawcy, bo podkreśliła, że dziecko musi mieć w przyszłości możliwość odnalezienia biologicznego ojca.

– Karbaat przekazał jej komplet danych, łącznie z adresem – mówi Fien.

– Czyli od zawsze mogłaś go odwiedzić? – pytam.

– Niby tak, ale jak to sobie wyobrażasz? Przyjść z nienacka do obcego

mężczyzny? Poznałam go dopiero, kiedy już byłam Połówką, poszliśmy na spotkanie razem z Maaïke. Potem dla formalności przebrałam się we FIOM. Kiedy wyszła genetyczna zgodność i pracownik spytał mnie, czy chciałabym poznać biologicznego ojca, odpowiedziałam tylko: „Nie, dziękuję, już się widzieliśmy!” – śmieje się.

Mam w głowie mętlik. Czytałem wcześniej, że od lat dziewięćdziesiątych podział był jasny: dawca był albo jawny, albo anonimowy.

Fien mówi jednak, że Karbaat dał jej matce nie tylko paszport dawcy, ale i zdjęcie, a także imię, nazwisko i adres.

– To jak było w końcu? Wasz dawca był anonimowy czy nie? – pytam Fien.

Śmieje się, że nie rozumiem.

– Czasem był, a czasem nie. Przecież to była klinika Jana Karbaata.

Powoli nadciąga jawność

Z Niemiec i Szwecji dociera w połowie lat osiemdziesiątych niepokojące dla holenderskich lekarzy pytanie, czy dawcy nasienia powinni być bezwzględnie jawni. Niemcy i Szwedzi uznają, że tak, i zmieniają prawo.

„Komu to służy? Na pewno nie kochającym rodzicom, którzy muszą w takiej sytuacji dzielić się rodzicielstwem z obcym mężczyzną” – oburza się profesor Jan Kremer.

Kremer jest w tamtym czasie największym autorytetem leczenia niepłodności w Holandii. Dawstwo nazywa górnolotnie „dzieleniem się swą płodnością ze skromniej obdarzonymi bliźnimi”, a samych dawców porównuje do miłosiernych samarytan.

W ramach wspierania tego miłosierdzia prowadzi dobrze prosperujący bank spermy w Groningen, nieco tylko mniejszy od tego, który prowadzi w Barendrechcie jego młodszy kolega Jan Karbaat.

W całym kraju działa jeszcze dwadzieścia innych banków. Na sztywny, oficjalny niderlandzki termin „sztuczne zapłodnienie nasieniem dawcy” mają one już zgrabny skrót KID – niderlandzki skrót od „inseminacja nasieniem anonimowego dawcy”. Tak się składa, że „kid” to po angielsku „dziecko”. Gazety piszą o: „KID-dzieciach”, „KID-rodzicach”, „KID-rewolucji”.

Dziennik „De Telegraaf” w 1988 roku zapewnia, że anonimowość holenderskich dawców nie jest zagrożona, a KID to rutynowe zabiegi, których zresztą przeprowadza się w kraju niewiele.

Nie wiadomo, czy to prawda. W Holandii nikt w tamtym czasie nie zbiera danych o liczbie zabiegów. Przepisów prawnych jest mało i są niedokładne. Kliniki mają dzięki temu niemal pełną niezależność. Ich szefowie decydują o tym, czy chcą obsługiwać samotne matki BOM, w jaki sposób będą rekrutowali dawców i jakie przewidują dla nich badania. Sami mogą też określać maksymalną liczbę urodzeń na jednego dawcę.

Różnice są spore.

Siedem, mówią w jednym wywiadzie. Dziesięć, przekonują w innym.

Dwadzieścia pięć, słyszy jedna z kobiet w gabinecie, choć w broszurce kliniki, która leży na biurku lekarza, wyraźnie napisano – „sześć”.

Szefowie klinik podkreślają, że dawcy spermy otrzymują jedynie zwrot kosztów podróży, trzydzieści do sześćdziesięciu guldenów, „tyle żeby starczyło na benzynę”. Mimo to zabiegi KID nie należą do tanich: koszty półrocznej kuracji kształtują się między tysiącem a półtora tysiąca guldenów.

Medycy tłumaczą: nasienie poddawane jest nowoczesnym testom, normy są

wysokie, trudno dobrać idealnego dawcę dla konkretnej kobiety. Opowiadają, że odrzucają dziewięćdziesiąt procent próbek. Poza tym średnio raz na miesiąc muszą z przyczyn etycznych odmawiać zdrowemu dawcy, gdy okazuje się, że jego główną motywacją jest chęć rozsiania swoich genów po świecie. „Myślę wtedy: uch, co za obrzydliwy facet” – deklaruje jeden z lekarzy.

Jest rok 1988. Jan Karbaat chwali się, że dzięki niemu na świat przyszły już tysiące Holendrów. Robi wszystko, by nasienie pochodziło od mężczyzn w stałych związkach, posiadających zdrowe dzieci. Jeśli choć raz w nasieniu pojawią się przeciwciała sugerujące, że dawca jest chory, niszczy próbki i wykreśla go definitywnie z bazy.

Karbaat wchodzi też na rynek międzynarodowy: nasienie swoich dawców przesyła już regularnie do zagranicznych klinik w Belgii, Niemczech i Szwecji.

Kilka lat później debata wraca do Holandii.

Co jest najważniejsze: prawo dawcy do prywatności i poszanowanie jego umowy z lekarzem, prawo kobiety do posiadania dziecka, a może prawo dziecka do poznania biologicznego ojca? Czy dawstwo spermy to coś więcej niż dawstwo krwi i organów?

Rok 1992. Rząd proponuje, by dzieci z dawcy mogły w wieku dwunastu lat poznać wiek i zawód swojego biologicznego ojca, a w wieku szesnastu lat – jego pełne dane.

Lekarze mówią zgodnie: „Wykluczone!”.

„Ryzykowne. Kobiety, żeby tylko mieć dziecko, będą chętniej zdradzały bezpłodnych partnerów lub będą zachodziły w ciążę z ich braćmi” – straszy szef jednej z klinik i dodaje, że ofiarami tych „skrzywionych relacji” staną się dzieci. „Radzę każdej kobiecie: najlepiej wybierz anonimowego dawcę, nikomu o niczym nie mów i zapomnij, że twój syn lub córka jest z dawcy”.

„Odejdą wszyscy dawcy. Powstanie czarny rynek sprzedaży nasienia, bez kontroli nad jakością” – ostrzega jego kolega po fachu.

„Banki spermy w Belgii, która gwarantuje anonimowość, zyskają wielu nowych klientów z Holandii” – prognozuje kolejny lekarz i alarmuje, że dawcy już po samych pogłoskach o ujawnianiu ich danych polecieli mu zniszczyć przechowywane w jego klinice zamrożone nasienie.

Sceptyczny jest również Jan Karbaat. Straszy konsekwencjami: „Skończy się tak, że dawcami pozostaną jedynie szaleni mężczyźni i dziwacy, którzy kiedyś byliby odrzuceni przez kliniki”.

Opowiada o hiszpańskich plażach, po których przechadzają się handlarze spermy, zaczepiający kobiety słowami: „Dzień dobry, dzidziuś dla pani?”. O mafii, która, jak mówi, próbowała mu sprzedawać zamrożone prezerwatywy z nasieniem.

Rewelacje Karbaata prostuje dyrektor innej kliniki: nie słyszał o takich sytuacjach, a prezerwatywy to najgorszy materiał do przechowywania nasienia, bo

są plemnikobójcze.

Dyskusja o zniesieniu anonimowości trwa latami. Kliniki wprowadzają paszporty dawców: wzrost, waga, wiek, grupa krwi, ale i zainteresowania, wykształcenie dawcy. Dane osobowe wciąż znają jedynie lekarze. Liczą, że rząd uzna paszporty za wystarczające i pozostanie przy anonimowości.

Ale dawcy i tak powoli wycofują się z klinik. Jeden z nich powie, że oddał w ostatnim czasie „kilka porcji nasienia ekstra”. Na wszelki wypadek, bo gdy prawo wejdzie w życie, od razu skreśli się z listy.

Rodzice obawiają się, że prawda, którą za radą lekarzy latami ukrywali przed dziećmi, wyjdzie na jaw.

Tymczasem lekarze szukają nowych sposobów rekrutacji: ogłoszenia w prasie, plakaty w bibliotekach i na uniwersytetach, rekomendacje lekarzy domowych („Nie mogę uwierzyć, jak bardzo pruderyjni są Holendrzy!” – mówi jeden z nich).

Przekonują, że dyskusja o prawach dziecka jest marginalnym tematem rozdmuchanym przez media.

Jan Kremer przekonuje w swoim eseju: „Wiadomość o tym, że nie można poznać swojego dawcy, uspokaja moim zdaniem bardziej niż wieloletnie, bezowocne poszukiwania”.

Kilka miesięcy po nagłośnieniu rządowego pomysłu o zniesieniu anonimowego oddawania nasienia nieśmiało zaczynają zabierać głos zwolennicy mówienia dzieciom prawdy.

Z listu czytelnika, który nie zna biologicznego ojca: *Większość z nas i tak ostatecznie dowiaduje się, że coś jest na rzeczy. Czasem to wpis w pamiętniku, stare pudełko z dokumentami albo osoby trzecie, które nie potrafią utrzymać języka za zębami.*

Jeden z etyków podkreśla, że w wielu przypadkach wystarczyłaby kartka A4 z fotografią, zawodem, opisem charakteru. Nie każdy będzie chciał spotkania, a ci, którzy się na nie zdecydują, zapewne potraktują dawcę z szacunkiem. „Dlaczego ktoś decyduje za te dzieci? Nie prosiły o to, żeby przyjść na świat w ten sposób. Mają prawo do informacji” – dodaje.

Kremer odpiera argument: „Zakłada pan, że dziecko podejdzie do sprawy taktownie. Nie byłbym takim optymistą. Czy osobom o silnych problemach z tożsamością poznanie dawcy naprawdę pomoże? Istnieje szansa, że tylko pogorszy sytuację, szczególnie gdy dawca nie będzie gotowy pełnić funkcji ojca”.

Czytelnik komentuje: „Dziecko to nie sadzonka. Im bardziej przesuwamy granice, tym bardziej zamieniamy ludzi w maszyny, których części służą do coraz mniej właściwych celów”. Inny pisze, że nie rozumie, dlaczego dawcy jako jedyni w społeczeństwie są zwolnieni z odpowiedzialności za swoje prokreacyjne czyny i decyzje.

Psycholog dziecięca: „Obawy dawców są na wyrost. Badania pokazują, że dzieciom z dawców nieanonimowych wystarczy sama informacja o biologicznym ojcu. To właśnie utrzymywana przez lata tajemnica zachęca je do poszukiwań”.

Jan Karbaat odpiera argumenty w podobny sposób jak Kremer. Utrzymuje, że zna wiele przypadków, w których wyjawienie tajemnicy skończyło się „prawdziwymi tragediami”, a „dzieci wyzywane były w szkole od bękartów”.

W tym samym artykule chełpi się jednak, że w klinice przy jego pomocy poczęto już szesnaście tysięcy osób i jak do tej pory z pretensjami przyszła tylko jedna dziewczyna.

Karbaat: „Wychowała ją samotna matka, brakowało jej ojca. Spytała, czy nie chciałbym nim zostać ja. Wysłałem jej dwa razy miły list i to zakończyło sprawę”.

Argumenty za jawnością nie trafiają wtedy jeszcze na swój czas.

W 1994 roku władzę w kraju przejmuje socjalistyczno-liberalna „purpurowa koalicja”. To pierwszy od osiemdziesięciu lat rząd holenderski bez partii chrześcijańskich. Ministrowie tłumaczą, że projekt zniesienia anonimowości nie ma poparcia Holendrów. W kolejnych latach kraj rozpalają dyskusje na temat ekonomicznego wzrostu, legalizacji prostytucji, eutanazji oraz małżeństw homoseksualnych.

Debata o jawności dawców zostawi jednak swój ślad.

Do końca lat dziewięćdziesiątych z banków wypisze się połowa dotychczasowych dawców spermy. Z dwudziestu dwóch banków zostanie dziesięć największych.

„Coraz więcej par chce poddać się kuracji, a zapasy nasienia w Holandii maleją” – martwi się na łamach jednej z gazet prawnik specjalizujący się w zagadnieniu.

Fala rezygnacji dawców sprawia, że nadchodzą złe czasy dla kobiet zainteresowanych samotnym macierzyństwem.

Jedna ze stacji telewizyjnych będzie rozważała produkcję programu, w którym czterdziestoletnie kobiety bez partnera wybierają wymarzonego dawcę. Roboczy tytuł: *To ty dasz mi dziecko*. Pomysł nie dojdzie do skutku.

„Przepraszamy, ale priorytet dajemy małżeństwom i parom” – słyszą coraz częściej w klinikach matki BOM.

Ale nie we wszystkich.

Jan Karbaat z usług dla samotnych matek nie rezygnuje. W przeciwieństwie do Kremera zawsze wspierał ten typ macierzyństwa, a jego klinikę polecają matkom BOM lekarze z całej Holandii.

W broszurce z 1993 roku lekarz pisze, że decyzja należy wyłącznie do kobiety, klinika nie ma prawa podejmować jej za nią, a w Holandii jest coraz więcej rozwodów i nikt nie udowodnił, że samotne kobiety wychowują dzieci gorzej od par.

„Odmowa inseminacji z naszej strony nie powstrzymałaby kobiety przed udaniem się do przypadkowego mężczyzny, postrzeganego jedynie jako pośrednik w poczęciu dziecka. Spotkaliśmy się już z wieloma takimi niebezpiecznymi i niepożądanymi sytuacjami” – dodaje.

„Daj coś z siebie, zostań dawcą spermy” – przekonuje jeden z banków w ulotce z 2000 roku.

W Holandii żyje wtedy czterdzieści pięć tysięcy osób poczętych z nasienia dawcy. Jedynie kilkaset z nich o tym wie.

Choć nie jest to obowiązkowe, już od kilku lat banki dzielą dawców na anonimowych i nieanonimowych. Liczba tych drugich powoli rośnie. W 1990 był jeden na stu, dziesięć lat później – co czwarty. W formularzu decyzji dawcy o rezygnacji z anonimowości w jednej z klinik wciąż widnieje jednak zachęta: „Jeszcze raz pragniemy przypomnieć, że oprócz tej możliwości istnieje również normalna opcja, w której anonimowość będzie zagwarantowana na zawsze”.

Normalna opcja znika w 2004 roku.

Od tej pory dawcy są skrupulatnie rejestrowani, a ich dane przechowywane przez osiemdziesiąt lat. Dwunastolatki poczęte z nasienia dawcy mogą otrzymać dostęp do paszportu z charakterystyką, bez konkretnych danych biologicznego ojca. Po szesnastych urodzinach – nazwisko i pełne dane.

Nowe prawo uderzy we wszystkie kliniki, w tym w tę prowadzoną przez Jana Karbaata. Ze stu trzydziestu pięciu dawców w Barendrechcie zostanie piętnastka.

„Przychodzą do mnie mężczyźni, którzy chcą sprzedać mi swoje nasienie, pięćset euro za porcję. To nielegalne, ale muszę przyznać, że zastanawiałem się nad tym” – opowiada Karbaat i dodaje, że jego koledzy w Belgii, gdzie prawo się nie zmieniło, nie mają takich problemów i już oferują mu rozszerzenie współpracy.

Czas oczekiwania na dawcę nasienia w Holandii zwiększa się z trzech miesięcy do nawet dwóch lat.

Karbaat mówi: „To parszywe prawo, które na rzecz dzieci dyskryminuje zrozpaczone kobiety”.

Jan Kremer zniesienia anonimowości nie dożyje.

W wywiadach aż do samej śmierci będzie mówił to samo, co przez czterdzieści lat: większość par woli anonimowego dawcę, a ustawa spowoduje same nieszczęścia. „Poza tym z tysiąca dwustu dzieci poczętych w mojej klinice ojca chciały odnaleźć może ze trzy osoby” – doda.

O obu lekarzy pytam przedstawiciela Stichting Donorkind, organizacji zajmującej się prawami dzieci z dawców.

– Do danych w klinice Kremera nikt nie miał wglądu – opowiada.

– Mówił, że wyraża jedynie życzenie rodziców – przypominam.

– Szkoda tylko, że nie pytał nikogo z nich o zdanie. Rodzice ufali

autorytetowi lekarza i zgodnie z zaleceniami okłamywali dziecko. Część dawców z kolei po latach zgłaszała się do bazy FIOM, żeby biologiczne dzieci mogły ich odnaleźć. Byli wśród nich tacy, którzy myśleli, że anonimowość jest jedyną dostępną możliwością.

Kremer był bardzo dobrym fachowcem, ale w tej najważniejszej kwestii nie zmienił zdania ani przez moment. Mówił, że dziecko, które dowie się, że jest z dawcy, przestanie akceptować ojca ustawowego. Przed śmiercią zniszczył więc wszystkie dokumenty, jakie posiadał.

– Pan też niszczył dokumenty swoich dawców? – pytam innego lekarza, który do dziś kieruje bankiem spermy.

– Nie, wszystkie są na miejscu. Ale żadna z osób poczętych w klinice przed 2004 rokiem nie może do nas przyjść i poprosić o dane dawcy. Mieliśmy z każdym z dawców umowę i nie złamiemy jej – odpowiada.

– A gdyby dawca chciał się ujawnić?

– Wtedy tak. Ale w 2004 roku, kiedy zmieniło się prawo, spytaliśmy o to wszystkich naszych aktywnych dawców. Tych, którzy woleli pozostać anonimowi, spytaliśmy dodatkowo, czy życzą sobie być o to ponownie pytani w przyszłości. Jeśli powiedzieli, że nie, nigdy nie zwrócimy się do nich w tej sprawie.

– A mężczyźni, którzy nie byli już aktywnymi dawcami, ale spłodzili dzieci urodzone w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych? – pytam.

– Nie kontaktowaliśmy się z nimi. Jak pan to sobie wyobraża? Listownie? Żeby ktoś niepowołany przeczytał? A co, jeśli dawny dawca mieszka już gdzie indziej i przesyłka z takim pytaniem trafi nie tam, gdzie powinna? Telefonicznie? Że zadzwonię na numer domowy mężczyzny, któremu dawno temu obiecałem anonimowość? Założmy, że odbierze jego żona. Może wie, że był dawcą, a może nie ma o tym pojęcia, bo poznał ją później i nigdy jej nie powiedział? Jasne, że nie powiedziałbym: „Dzień dobry, pani Pieters, czy mogę rozmawiać z pani mężem, który był dawcą?”. Ale wystarczy, że ona spyta go, kto dzwonił i w jakiej sprawie. Agencja rządowa z Hagi, która przechowuje dziś dane dawców zarejestrowanych po 2004 roku, skontaktowała się z nami, żeby przejąć dane również sprzed wejścia w życie nowego prawa. Oczywiście obiecywali, że pozostaną one anonimowe. Po konsultacji prawnej zdecydowanie odmówiliśmy. Nie wydaje mi się bezpieczne przesyłanie do Hagi informacji, co do których tajności umówiliśmy się tu, przy tym biurku.

– Jak podchodził do anonimowości kolega Kremera Jan Karbaat? – pytam przedstawiciela Stichting Donorkind. – Słyszałem, że niektóre kobiety dostały od niego dane i adres dawcy.

– Jest to o tyle dziwne, że według prawa takie informacje powinna dostać nie matka, tylko dziecko. Zresztą może zapyta pan Karbaata osobiście?

Ma osiemdziesiąt osiem lat i wciąż mieszka w domu, który kiedyś był

największym bankiem spermy w Holandii.

Pod drzwiami willi Karbaata

Moje pierwsze spotkanie z doktorem Janem Karbaatem trwało jedenaście dni. Tyle czasu spędziłem na przeglądaniu artykułów, reportaży i dokumentów, w których występował, i ustalałem, czym zajmował się w życiu.

Zamknął klinikę w 2008 roku, po inspekcji Ministerstwa Zdrowia. Kontrolerzy uznali, że z racji wieku nie powinien już prowadzić działalności, a jego aparatura była przestarzała. Jak tłumaczył, musiałyby zainwestować pół miliona euro, a nie został mu prawie żaden dawca.

Tak zakończył, przynajmniej oficjalnie, swoją pięćdziesięcioletnią karierę lekarską. Jedno zajmowało go w niej niezmiennie: ludzka płodność.

Już w latach siedemdziesiątych jest jednym z ważniejszych lekarzy w Rotterdamie, dyrektorem dużego publicznego szpitala. Działa w organizacjach zajmujących się planowanym macierzyństwem.

W 1974 roku pewien amsterdamski ginekolog szczyci się, że obniżył liczbę aborcji w swojej klinice. Karbaat protestuje, przypomina stanowisko Międzynarodowej Federacji Planowanego Rodzicielstwa: nikt nie powinien wpływać na decyzje kobiet, a psychologowie powinni udzielać porad w tej kwestii jedynie na ich wyraźne życzenie.

Karbaat we wspomnianej federacji zajmuje ważne stanowisko. Zasiada też w zarządzie pierwszej kliniki aborcyjnej w Rotterdamie, otwartej kilka lat wcześniej na fali emancypacji kobiet.

Po paru latach ma już pod sobą ponad dwudziestu, jak pisze, „dobrze wykształconych i zmotywowanych specjalistów”, którzy przez dekadę przeprowadzają w Rotterdamie trzydzieści tysięcy aborcji. Szkoli ich w swoim szpitalu, by „jak najlepiej służyli klientkom”.

„Klientkom, bo nie mówimy tu raczej o pacjentkach” – precyzuje w wywiadzie.

Rozwija karierę akademicką. Jest doktorem nauk medycznych, publikuje w prestiżowych magazynach.

W jednym z artykułów zastanawia się, jak rozwiązać problem globalnego przeludnienia i jaki wpływ ma regulacja urodzeń na szczęście ludzi. Wymienia najnowsze sposoby antykoncepcji i wątpliwości wokół niej (czy jest rakotwórcza?), również te filozoficzne (czy promuje lekkomyślność, czy raczej wolny wybór?). Chwali Szwecję i Polskę za dostępność środków antykoncepcyjnych w kioskach. Krytykuje Amerykanów za uzależnianie pomocy humanitarnej dla danego kraju od tego, czy będzie on promował wazektomię.

Holenderskich mężczyzn przestrzega przed tym dobrowolnym skazaniem się na bezpłodność („Przychodzi do mnie wielu, którzy żałują pochopternej decyzji”).

Śledzi nowinki. Recenzuje w prasie najnowsze tabletki antykoncepcyjne. W 1980 roku przewiduje, że kliniki aborcyjne znikną w ciągu kilku lat, gdy tylko do szerokiego użycia trafi nowoczesna tabletkowa wczesnoporonna. (W tym samym roku odejdzie ze szpitala po konflikcie z personelem i poświęci się tylko klinice w Barendrechcie).

Pisze, że sama antykoncepcja nie rozwiąże problemów, najważniejsze jest szerzenie wiedzy o seksualności.

Tym także się zajmuje. Jeszcze jako dyrektor szpitala szkoli pracujące u niego pielęgniarki i salowe, które mieszkają w przyszpitalnym internacie. I przy okazji jest ich lekarzem.

– Lubiłyśmy go, bez problemów przepisywał pigułki antykoncepcyjne. Prowadził też na pierwszym roku wychowanie seksualne – opowiada mi jedna z nich.

Jakim był wykładowcą? Wyluzowanym, dowcipnym, o seksie opowiadał z prawdziwą werwą.

„Gdy mężczyzna odbędzie ze swoją kobietą stosunek seksualny, na drugi dzień wychodzi z domu ze śpiewem na ustach” – przypomina sobie powiedzonko Karbaata kobieta.

Lubiła go bardzo, więc kiedy powiedział, że szuka nowych dawców nasienia, przekonała swojego ówczesnego partnera, aby się zgłosił. Dawcą był przez trzy lata.

Ale pielęgniarka jedno wspomnienie ma niemiłe.

– Kiedyś podczas badania ginekologicznego pozwolił sobie na niestosowny komentarz wobec mnie – opowiada.

– Jaki?

– Wolabym o tym nie mówić. To zbyt osobiste, nawet po czterdziestu latach. Ale proszę wierzyć, to było coś, czego lekarz absolutnie nie powinien mówić dziewiętnastoletniej dziewczynie. A już na pewno nie w latach siedemdziesiątych! – przekonuje.

Nie nalegam. Dowiaduję się za to od jednej z matek BOM, że gdy w trakcie inseminacji w Barendrechcie leżała na kozetce, Karbaat powiedział: „To niezwykle, że taka piękna kobieta jak pani nie znalazła męża”.

W 1985 roku doktor występuje w filmie dokumentalnym. Reżyser przyprowadza w nim główną bohaterkę do banku spermy. Karbaat opowiada o swojej pracy. Widzowie oglądają na ekranie kolejne sceny: masturbację dawcy, podpisywanie pojemnika i wreszcie inseminację, z obszernym komentarzem doktora Karbaata.

MATERIAŁ NR 8. SCENA Z JANEM KARBAATEM W FILMIE DOKUMENTALNYM *RĄBEK TAJEMNICY*

Pacjentka leży na łóżku. Doktor Karbaat w szarej marynarce i czerwonym

krawacie przystępuje do inseminacji.

Karbaat: – Tu mam słoiczek ze spermą, którą oddał dawca. Wypełniam nią teraz strzykawkę.

Sięga po metalowy przyrząd.

Karbaat: – A tu mamy wziernik. Zrobię najpierw troszkę miejsca, a potem umieszczę ją w ujściu szyjki macicy. Musisz potem pięć minutek leżeć i wszystko będzie dobrze. No to spróbujmy, potrzebuję jeszcze światła.

Zapala lampkę i świeci nią w waginę kobiety, kamera pokazuje to z boku.

Karbaat: – To nie jest takie straszne, jak się wydaje. No, bardzo ładnie wchodzi, dobrze. O, i już macica się do mnie uśmiecha.

Kobieta nie uśmiecha się, tylko marszczy brwi, zdziwiona.

Czytam o początkach kliniki w Barendrechcie.

W latach sześćdziesiątych Karbaat pracuje w szpitalu w Rotterdamie, codziennie przejeżdża przez Barendrecht na rowerze. Okolica podoba mu się tak bardzo, że ile razy widzi tabliczkę „na sprzedaż”, dzwoni do pośrednika. Ceny są wysokie, dopiero w 1973 roku udaje mu się znaleźć ofertę na miarę potrzeb. Spotyka agentów nieruchomości wyceniających hipotekę jednego z domów, zagaduje ich, po kilku dniach dobija targu z właścicielem.

Dom ma ponad sto lat i jest w złym stanie: drzewa przebijają dach na wylot, drewniane schody pokrywa grzyb, krzywy balkon wisi na kilku przegniłych belkach. Kiedy Karbaat wchodzi do łazienki, odkrywa, że zapadła się w niej podłoga. Figurki aniołków, które dawniej zdobiły fasadę, leżą pęknięte na werandzie.

Lekarz łąta dach, wstawia podwójne szyby, wymienia futryny, aniołki naprawia i umieszcza w dawnym miejscu. Za zgodą gminy przewozi z cmentarza starą, czarną bramę, która od tej pory będzie służyła jako wjazd do posiadłości.

Sąsiad irytuje się: dawna cmentarna brama jest jego zdaniem tak ładna, że zaniża wartość jego własnego domu, który chciałby sprzedać.

Kuchnia w domu doktora pamięta jeszcze drugą wojnę światową – to w niej leżeli ranni piloci bombowca aliantów, który rozbił się w pobliskim sadzie. Jeden z pilotów będzie przychodził tu rok w rok w odwiedziny, wspomnieć kolegów, którzy stracili wtedy życie.

Karbaat postanawia: od teraz życie będzie tu tylko i wyłącznie powstawać.

Centrum Medyczne Bijdorp w Barendrechcie rusza oficjalnie w 1980 roku. Początkowo przy domu lekarz hoduje świnię, konie i kury. Szczególnie przydają się te ostatnie, bo Karbaat wykorzystuje kurze żółtko w produkcji płynu do przechowywania spermy. Z hodowli zwierząt wycofa się pięć lat po uruchomieniu kliniki – działa już wtedy tak prężnie, że potrzebuje miejsca na kolejne pomieszczenia centrum medycznego. Coraz więcej klientek idzie więc przez groblę, zerka na dach z bocianem, przechodzi przez bramę i staje w kolejce do

lekarza, którego polecają ginekolodzy w całym kraju.

Karbaat pracuje razem z żoną, a po terenie centrum biega najmłodsza z jego córek. Rodzina mieszka w pomieszczeniach wydzielonych z kliniki. Mają duży ogród, idealny dla dzieci.

„Moja praca to sport. To jak polowanie, którego celem jest jak najszybsze zaspokojenie instynktu macierzyńskiego kobiety. Nie mógłbym bez tego żyć” – mówi w telewizyjnym reportażu.

Jest znany ze skuteczności – w jego klinice kobiety zachodzą w ciążę w czasie krótszym niż gdzie indziej. Przez lata wizerunek Karbaata jest jednoznaczny: ekspert, człowiek sukcesu, szanowany specjalista.

Pierwszy sygnał, że w Barendrechcie coś jest nie tak, pojawia się dopiero w 2002 roku.

Karbaata pozywa jedną z klientek. Po zejściu w ciążę po raz pierwszy kobieta pozostawiła klinice czterdzieści dwie słomki z nasieniem, by móc skorzystać w przyszłości z materiału genetycznego tego samego dawcy. Kiedy stara się o drugie dziecko, przy trzynastej z kolei inseminacji odkrywa, że coś jest nie tak.

Zabezpieczone słomki były niebieskie i podpisane nazwiskiem dawcy. Te, których używa Karbaat za drugim razem, białe z zielonymi brzegami, są podpisane jej nazwiskiem.

Pacjentka uznaje, że w Barendrechcie słomki ktoś zgubił lub podmienił. „Jestem wstrząśnięta, że w Holandii dzieją się takie rzeczy!” – mówi, a jej prawnik wzywa inspekcję zdrowia.

Karbaat zapewnia, że oskarżenia „oparte są na olbrzymim nieporozumieniu”. Na swojego obrońcę w sprawie słomek wybiera mało znanego rotterdamskiego prawnika, o którym gazeta wspomina jedynie, że jest niewidomy.

Inspektor ustala, że jeden z kontenerów z nasieniem był nieszczelny, niektóre słomki zaginęły, nie było też wyznaczonego jednego miejsca przechowywania. Nie udaje się jednak potwierdzić, że doszło do celowej podmiiany.

Najświeższe artykuły na temat kontrowersji w klinice Karbaata pochodzą z 2013 i 2014 roku.

Jeden z dawców opowiada gazetce „De Telegraaf”, że dostał przez pomyłkę z kliniki list przeznaczony dla notariusza. Zawierał on dane urodzonej w 1998 roku dziewczynki, prawdopodobnie biologicznej córki dawcy, której tożsamości nie powinien być poznać.

Mężczyzna przekazał dokument notariuszowi, ale zanotował datę urodzin. Od tej pory co roku, dokładnie czternastego lipca, myślał o biologicznej córce. Zastanawiał się, kim jest i jak wygląda.

Gdy zachorował na raka, postanowił odnaleźć matkę i dziecko, żeby

poinformować je o genetycznym obciążeniu. Obie przyjęły go z entuzjazmem, ale gdy dla pewności przeprowadził badania DNA swojego i dziewczynki, okazało się, że wcale nie był jej dawcą.

Zwrócił się więc do Karbaata. Lekarz odpowiedział, że to możliwe, bo przez „niedbalstwo jednej z asystentek miał w dokumentacji straszny bajzel”.

Gdy dziennikarze proszą Karbaata o wyjaśnienie tej sprawy, tłumaczy, że w tamtych latach przyjmował osiemdziesiąt pacjentek dziennie, a asystentka podawała słomki dwóm, czasem trzem lekarzom. „Czy to zawsze była właściwa słomka? Cóż, każdy może mieć gorszy dzień. Nie ma ludzi, którzy nie popełniają błędów” – stwierdza w rozmowie z gazetą.

Później dodaje, że to lepiej dla dziewczynki, bo nowotwory są dziedziczne.

Karbaat zapewnia, że w swojej karierze miał do tej pory zaledwie dwie skargi. To dobry wynik: w 1992 roku opowiadał o jednej, w 2002 był pozwany za drugą, więc jeśli wierzyć jego słowom, w kolejnych latach nic takiego się nie zdarzyło.

Aż do 2014 roku. Wtedy wychodzi na jaw, że paszporty dawców nie zgadzają się z cechami i danymi konkretnych mężczyzn. Karbaat tłumaczy, że paszporty wypełniało przez lata wiele osób i nie może odpowiadać za każdy przypadek. Poza tym dawcy mogli kłamać – w dokumentach było to, co podawali mu przy rejestracji, nie wszystko dało się sprawdzić.

W jednej z gazet Jan Karbaat przyznaje się do czegoś jeszcze: w przeszłości, aby zwiększyć skuteczność zapłodnień, aplikował kobietom wymieszane nasienie kilku dawców. Kobiet o tym nie informował.

Wiadomość wprawia w osłupienie zarówno dawne klientki kliniki, jak i ich dorosłe dziś dzieci.

Wśród nich jest Amanda, która wątpliwości postanawia rozwiązać w telewizji.

„Co, jeśli sama jestem rezultatem takiego, ekhm, koktajlu? – pyta w programie *Rodzina poszukiwana*”.

O tym, czy Amanda jest jedną z Połówek, a Boy jej stuprocentowym bratem, telewizzowie dowiadują się tuż po przerwie reklamowej.

Zanim Amanda mi o tym opowie, odwiedzę Barendrecht.

Było tak: pojechałem do Rotterdamu, przesiadłem się na pociąg regionalny, minąłem kilka stacji i po dziesięciu minutach byłem w miasteczku. Potem dłuższy spacer z dworca kolejowego w górę grobli i w końcu pojawił się w oddali płaski plastikowy bocian stojący na dachu.

Typ starej willi z kreskówek lub horrorów. Po jednej stronie fosa, po drugiej wysoka żeliwna brama, ta, która stała kiedyś na cmentarzu.

Zamknięta. Na balkonie na piętrze stały dwa leżaki, drzwi do pokoju były otwarte, jakby ktoś właśnie skończył się opalać. Kilka razy nacisnąłem dzwonek. Czy doktor na pewno wciąż tu mieszka?

Pozostało mi wpatrywać się w dębowe ramy okien i grube białe zasłony. Nie zobaczyłem żadnego z osiemnastu pokoi, na które doktor przerobił tysiąc metrów kwadratowych dawnej kliniki.

Obejrzałem jedynie ogromną jasnoczerwoną skrzynkę na listy z wyrytym lwem. Czy to do niej wpadały listy od dzieci takich jak Henrik?

Z zamyślenia wyrwał mnie wychodzący z posiadłości sąsiad, który wyjął listy ze skrzynki.

- Dzień dobry, czy zastałem doktora Karbaata? – spytałem.
- Jest na długich wakacjach – odpowiedział mężczyzna.
- Kiedy wróci?
- Nie wiadomo.
- Czy mogę mu przekazać przez pana wiadomość?
- Nie – odparł sąsiad i wrócił za bramę.

Koperta z odpowiedziami dla Amandy

Wzdycha głośno, kręci głową, mówi, że pierwszy i ostatni raz poszła do telewizji.

Na dwadzieścia minut odcinka ekipa spędziła w jej domu trzy dni, od rana do wieczora, i jedyne, czego chcieli, to mieć sensacyjny materiał. Wymagają twojego czasu i poświęcenia, a sami niewiele od siebie dają.

Nawet w podpisach pomylili Matthijisa z Bjornem, i to po całym dniu zdjęć!

Zresztą Amanda zaraz mi wszystko dokładnie opowie, tylko wyłącz ten przeklęty telewizor w salonie.

Dlaczego telewizja?

Po pierwsze, chciała podzielić się swoją historią, szczególnie tą częścią o klinice w Barendrechcie, która popełniła tyle błędów i przekazała tyle kłamstw, że ludzie powinni się o tym dowiedzieć.

Na początku Połówkom wydawało się, że jeśli DNA Henrika i Boya są zgodne, to automatycznie zgodne będą z nimi DNA Amandy oraz siostry Henrika, więc nie muszą robić dodatkowych testów. Tylko co warte są zapewnienia Karbaata, że ich matki dostały dwa razy tego samego dawcę, jeśli przyznał się do mieszanania spermy?

Po drugie, Amanda chciała zrobić ten test DNA, a jeśli koszt pokrywa stacja telewizyjna, to jednak zaoszczędzi dwieście pięćdziesiąt euro.

Poza tym we FIOM czeka się kilka miesięcy, a tu wynik jest od razu.

Chociaż nie, „od razu” to w tym wypadku złe sformułowanie.

MATERIAŁ NR 9. FRAGMENT
PROGRAMU *RODZINA POSZUKIWANA* Z UDZIAŁEM AMANDY, 2014

Prowadząca: – Powiedziałaś, że jeśli chodzi o ojca, jest to „skomplikowana sprawa”. Dlatego że jesteś z dawcy. Czego dokładnie chciałabyś się dowiedzieć?

Amanda: – Chcę mieć pewność, że mój dawca naprawdę jest moim ojcem biologicznym.

Prowadząca: – Czy taka informacja coś jeszcze mogłaby zmienić?

Amanda: – Tak, mam brata, o którym całe życie myślałam, że jest nim w stu procentach. Jeśli nie jesteśmy z jednego dawcy, to byłby nim tylko połowicznie, byłby półbratem.

Prowadząca idzie na spacer z Amandą, Maaikę, Matthijsem i Bjornem. Pokazują jej, że mają podobne oczy, porównują nosy. Matthijs z entuzjazmem opowiada, jak polubił Amandę.

Matthijs: To straszne, Amanda przez ostatnie trzy lata układała te puzzle w całość, a teraz wszystko zaczyna się od nowa.

Akcja przenosi się przed dom Amandy. Prezenterka podchodzi do bramy.

Prowadząca: – W kopercie, którą mam w rękach, jest odpowiedź na wszystkie pytania, jakie zadaje sobie Amanda.

Amanda: – Już nie ma odwrotu. Chcę wiedzieć.

Sonja, matka Amandy: – Jeśli okaże się, że wbrew obietnicom moje dzieci mają różnych ojców, będzie to dla mnie bardzo smutne.

Prowadząca: – Oto koperta!

Kilka scen później Amanda płacze.

Czy ja sobie wyobrażam, pyta mnie Amanda, że tę scenę z kopertą na kanapie powtarzali pięć razy?

Pięć.

„Oto koperta!”. Cięcie, jeszcze raz.

„Amanda, co czujesz?” – pytali.

„Dajcie mi tę kopertę!” – mówiła.

„Nie, musimy nakręcić lepsze ujęcie” – odpowiadali.

„Oto koperta!”. Cięcie, jeszcze raz.

To przecież emocjonalna sprawa, a ekipie telewizyjnej wszystko jedno, że pogrywa ci na uczuciach. Amanda naprawdę nie wiedziała, co jest w kopercie. Nie powiedzieli jej tego przed nagraniem, bo chcieli sfilmować naturalną reakcję.

„Co wtedy czułaś?”. Cięcie, jeszcze raz.

Kiedy czytała list i płakała, to było naprawdę, tu dubla nie robili. Płakały z mamą szczerze, bo wreszcie dostały potwierdzenie, że Amanda i Boy mają tego samego biologicznego ojca.

Spotkały się z nią inne Połówki. Amanda weszła do mieszkania Maaïke z szampanem, w środku czekali jeszcze Matthijs i Bjorn.

„Jestem Połówką!” – krzyknęła Amanda, a korek od szampana wyskoczył w górę.

Co by było, gdyby w kopercie był wynik negatywny, nie wie do dzisiaj. Połówki mówią, że nic by się nie zmieniło, ale ona tak nie sądzi. Więzy krwi to jednak więzy krwi.

Dziennikarzy od tamtej pory unika. Nie podoba jej się to, co media robią z ich historią. Nie dość, że zarabiają na niej, to jeszcze przekręcają słowa. Ma już w tym doświadczenie. Poszukiwania zaczęła sześć lat wcześniej, zdarzyło się już kilka razy, że nie kupiła gazety, w której była jej wypowiedź.

Mówisz: „Mogę mieć nawet do dwustu braci i sióstr”, a napiszą, że masz na pewno dwieście. Powiesz: „Niezbyt mi się to podoba”, a napiszą, że gotujesz się z wściekłości.

Poza tym zadają ciągle te same pytania. Tną, zmieniają kolejność wypowiedzi. Wybierają bez konsultacji fragmenty, które uznają za najlepsze, nie pytają o zdanie. Zrobią ci zdjęcie, nie pozwolą go zobaczyć przed publikacją i do

druku pójdzie to najbrzydsze, właśnie to, które obiecali skasować. Umieszczają wypowiedź w takim kontekście, że twoje słowa będą wypaczone.

Więc ma nadzieję, że ja tego, co teraz mówi, nie wypaczę.

– Poświęcam czas, energię, opowiadam w kółko tę samą historię. Męczące. Ale gdybym tego nie zrobiła – mówi – może nie poznałabym Joyce.

Kiedy wieczorem stacja emituje odcinek programu *Rodzina poszukiwana* z Amandą, do trzydziestoletniej rehabilitantki z Amsterdamu dzwoni koleżanka.

– Joyce, właśnie widziałam cię w telewizji!

– W telewizji? Niemożliwe.

– Miałaś nawet na sobie taki uniform jak w pracy. To musiaś być ty.

Joyce szuka zdjęć Amandy w internecie. Nie odważy się wysłać do niej wiadomości, dopóki kolejny znajomy, który wie, że Joyce jest z dawcy, nie powie jej, że też widział odcinek i podobieństwo do Amandy jest uderzające.

Rejestruje się we FIOM. Odpowiedź przychodzi po jakimś czasie: zgodność. Jest Połówką numer piętnaście.

Pisze do Amandy:

Cześć, jestem Joyce, zobaczyłam cię w telewizji i przekonało mnie to, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy siostrami. Jesteśmy.

Kiedy się spotkały, zrozumiały, co to właściwie znaczy.

Zadziwiająco podobne tatuaże

Chodziło o „klik”. Tak to nazywają Połówki.

Nie masz tego z każdym. Przecież każdy z nich to nie tylko twoja Połówka, to też w połowie obcy. Przypadkiem macie tego samego ojca, to was łączy, ale z niektórymi rozmawia ci się dobrze, a niektórzy nie interesują cię wcale.

Klik wyczuwasz po tym, że rozumiecie się bez słów, zwykle już po pierwszym kwadransie.

Tyle wystarczyło Amandzie w wypadku Połówki numer piętnaście, czyli Joyce.

Joyce dołączyła do grupy, wypełniła ankietę. To, co zwykle: jak wygląda twoje śniadanie, jaki masz samochód i najważniejsze – tatuaż.

Joyce napisała, że ma.

Amanda: – Zapytałam: „Jaki?! Pokaż!”. Do tej pory byłam jedyną Połówką z tatuażem.

Wtedy się zaczęło. Klik!

Odkryły, że choć jedna ma na plecach kwiaty, a druga motyle, to ich styl jest podobny, a kolory tatuaży takie same: różowe z niebieskimi i fioletowymi elementami.

„Jak ma na imię twoja mama?”.

„Sonja”.

„Tak jak moja!” – zaśmiała się Amanda.

W to, że obie Sonje, czyli ich matki, urodziły się dokładnie tego samego dnia, szóstego czerwca 1962 roku, uwierzyć nie było łatwo.

Amanda: – Ale tak było! Na szczęście nasze mamy wyglądają zupełnie inaczej, to byłaby już przesada. Za to ja i Joyce odwrotnie: dzielą nas trzy lata, ale z twarzy jesteśmy strasznie podobne.

Szesnaście milionów mieszkańców Holandii, a one dwie. Po raz pierwszy naprzeciw siebie, analizują wszystko, co je łączy.

Kolczyki. Mają je dokładnie w tych samych miejscach. Trzy w rzędku, w płatku ucha, jeden w małżowinie.

Klik!

Obie są z zawodu pielęgniarkami, specjalizują się w rehabilitacji osób starszych.

Kiedy Joyce chciała pozbyć się książek, które już przeczytała, wrzuciła na Facebooka listę: thrillery, romanse, powieści obyczajowe.

Amanda: – Wzięłam! Mamy ten sam gust czytelniczy. Joyce mówi te same rzeczy i w ten sam sposób co ja. Po dwóch miesiącach czułam, że znamy się lata, choć o niektórych Połówkach do dziś wiem niewiele.

Bo klik to tak jakby się w kimś zakochać.

Patrzysz na nową osobę i myślisz „miła dziewczyna”. A kiedy Amanda zobaczyła Joyce, pomyślała: Noo, siostra, absolutnie!

Pytam, jak to działa, o co dokładnie chodzi.

Trochę o zainteresowania. Fien mieszka blisko, dogadują się z Boyem, oboje lubią słuchać house’u i dubstepu, więc mają tematy do rozmów. Zainteresowania i ścieżki zawodowe w grupie też się powtarzają: Połówki nauczyciele i Połówki biolodzy wymieniają się doświadczeniami z pracy.

Trochę o wiek. Amanda i Joyce są koło trzydziestki, więc w podobnej fazie życia. Mają więcej wspólnych tematów niż z inną pólśiostrą, która jest tuż po maturze.

Trochę o odległość. Fien i Boy studiuje na tym samym uniwersytecie w Rotterdamie, ich budynki są naprzeciw siebie. Wychodzą coś razem zjeść w przerwach między zajęciami. – Ale jeśli masz z kimś klik – podkreśla Amanda – to pojedziesz i tę godzinkę pociągiem na spotkanie. A jak na Holandię to przecież kawał drogi.

Odległość ma też swoje zalety. Bo choć klik nie zawsze się pojawia, to ma się kontakty w całym kraju, w każdym większym mieście nocleg. Trochę jak rodzina, która jest wszędzie.

Amanda: – To taka grupa znajomych, z jednym zastrzeżeniem: musisz mieć zgodność DNA. Wejściówka do klubu. Są miesiące, że nie spotykam się z nikim.

Są takie, że co tydzień gdzieś z nimi wychodzę. W większej grupie spotykamy się sześć, siedem razy. A może osiem? Nie robimy statystyk. Każdy daje Połówkom jakieś miejsce w swoim życiu. Jedni małe, drudzy duże.

Bjorn umówił się ostatnio z Amandą na zakupy. Pomyślała, że może ktoś jeszcze chce pójść z nimi. *Kto idzie w niedzielę kupować ciuchy w Rotterdamie?*, napisała. *Ja*, odpowiedziała pierwsza osoba. *I ja!* – inna. Poszli w szóstkę.

Mają swoją grupę na Facebooku i WhatsAppie.

Na Facebooku ustalają, kiedy się spotkać. Na WhatsAppie mają kilka równoległych grup do różnych spraw, nie było wyjścia:

„Połówki-SPAM”. Niektóre Połówki są gadułami, przesyłają mnóstwo wiadomości, więc mają osobną grupę. Nie wszyscy chcą to czytać. Amanda pokazuje mi telefon. Przewija i przewija kolejne wiadomości na ekranie: – Bla, bla, bla, bla – śmieje się. – Jeśli nie sprawdzam telefonu przez kilka godzin, mam czterysta nieodczytanych. – Dźwięk powiadomienia wyłączyła już dawno. Irytowało ją, że kiedy zajmowała się pacjentem na rehabilitacji, co chwilę słyszała „ding! nowa wiadomość!”.

„Połówki-OFFICIAL”. Dla tych, którzy chcą mieć spokój i wiedzieć tylko o najważniejszych rzeczach. Tu jest każdy z nich, omawiają najważniejsze kwestie dotyczące grupy.

„Połówki-KOTY”. Dla właścicieli kotów, a ma je kilkoro. Grupa jest po to, żeby ci, którzy kota nie mają, nie musieli denerwować się dziesiątkami zdjęć i komentarzami w stylu: „Ale słodki!”.

„Połówki-SIOSTRY”. Tylko dla dziewczyn.

Amanda: – Piszemy tam o babskich sprawach. Zadajemy pytania, na które normalnie mogłaby odpowiedzieć starsza siostra: o fizjologii, o włosach, o chłopakach.

Wydzieliły tę grupę, gdy któraś napisała na ogólnym czacie: *Cześć, czy wy też macie takie obfite miesięczki?* Bjorn i Matthijs zaprotestowali: co jak co, ale takich rzeczy czytać nie będą.

Poza tym gadają o wszystkim.

Matthijs pyta półbraci i półsiostry, jak poradzić sobie z kłopotami finansowymi.

Joyce prosi Bjorna o pomoc z zadaniem w szkole podyplomowej: poprawa procesów w firmie, w której pracuje. Bjorn mówi, że wyszła z tego naprawdę solidna analiza.

Maaike szuka pracy. Nie pisze za dobrze po angielsku, a formularz w rekrutacji do Disneya jest właśnie w tym języku.

Bjorn od razu poprawia jej kilka słów. Joyce, która ma duże doświadczenie w rekrutacjach, podpowiada, że w liście motywacyjnym musi lepiej sprzedać siebie, a nie tylko oznajmiać, że robiła w życiu to i tamto.

Maaike: – Wcześniej widziałyśmy się kilka razy, ale tylko na grupowych spotkaniach. Jej podpowiedzi były jak rady starszej siostry, takiej prawdziwej. Pierwszy raz zaprosiła mnie do domu. Nawet przeprosiłam mamę, że to nie jej radziłam się w tej sprawie. „Wiesz, mamo, bo Joyce lepiej się orientuje” – powiedziałam. Na to mama: „Nie ma sprawy. Widzę, że dobrze mieć taką starszą pólsiostrę”.

Na typowe porady od innej starszej siostry może liczyć Bjorn.

Zerwał z dziewczyną w zeszłym roku. Szuka nowej, zarejestrował się na Tinderze.

Bjorn: – Amanda wysłuchiwała moich dylematów. Nawet raz zapoznała mnie ze swoją koleżanką, ale po trzech dniach kontakt się urwał.

Amanda: – Bjorn jest słodki, a ja jestem dla niego życzliwie słuchającym uchem. Może nie największą ekspertką w sprawie randek i flirtu, ale mogę na niego spojrzeć kobiecym okiem.

Spojrzała i zobaczyła sprane dżinsy, górskie buty, stary T-shirt z gry komputerowej.

„No nie, z tym trzeba coś zrobić”.

Powiedziała mu: – Bjorn, fajny i mądry z ciebie chłopak, ale musimy cię porządnie ubrać. Kobiety naprawdę zwracają na to uwagę.

Poszli razem na zakupy. Dołączyli Boy, Joyce, Maaike.

„To jest ładne, to jest brzydkie. Wyrzuć, proszę, ten żel i kup sobie wosk do włosów”.

Bjorn chodzi na kolejne randki, ale się niecierpliwi. Amanda podpowiada mu, co odpisać dziewczynie i jak zareagować. Po jakimś czasie dostaje wiadomość: *Amanda, czemu to nie działa?* Tłumaczy Bjornowi, że trzeba czasu. *Ochłoń trochę po poprzednim związku. To nie zawody, spokojnie.*

Pomagają sobie też w przeprowadzkach.

Amanda: – Mamy zasadę, że kiedy ktoś zmienia mieszkanie i chce się pozbyć jakichś rzeczy, najpierw pyta Połówki, czy nie potrzebują mebli.

Bjorn mówi dobitniej: Połówki to pierwsze osoby w jego życiu, co do których ma pewność, że chce z nimi spędzać czas. Lubią się, dzieli ich co najwyżej kilka lat różnicy. Większość ma podobne historie, choćby to, że porzucili ich ojcowie.

– To dla mnie rodzina, z którą jestem najbardziej związany.

– Jak to? – dziwię się.

– Czuję związek z moją mamą, ale z rodziną ustawowego ojca nie mam kontaktu od dawna. Mam wujka, ciocię i dwóch kuzynów, których widuję tylko od święta i w lutym, kiedy babcia ma urodziny. A wujek jest autystyczny, nie można z nim nawiązać relacji.

„On jest taki autystyczny, ona jest taka autystyczna” – powtarzają Połówki,

kiedy narzekają na swojego półbrata lub półsiostrę. Takie ich grupowe hasło, kiedy któreś ich irytuje.

Dawca S. ma aspergera, a to oznacza, że jakieś zaburzenie ze spektrum autyzmu mogło odziedziczyć każde z nich. Rozwój tego zaburzenia zależy trochę od środowiska, w którym się żyje, trochę od terapii, a trochę od przypadku.

Amanda: – Jak się dobrze przyjrzeć, to każdy z nas jest troszkę autystyczny.

Stwierdzony autyzm mają spośród nich dwie czy trzy osoby. Pozostali wypominają sobie „pewne cechy”, kiedy się o coś pokłóca.

„Pewne cechy” to może znaczyć, że chętnie powiesz, co u ciebie, ale już nie spytasz, co u osoby pytającej. Albo interesujesz się tańcem lub zbieraniem figurek, a poza tym prawie nic nie wzbudza twojej ciekawości, więc trudno o tematy do rozmów.

Kiedy rozmawiam z kolejnymi Połówkami, próbuję wychwycić niestandardowe reakcje. Mały nadmiar komunikacyjny, nieadekwatność, o której czytałem. Coś zauważam dopiero po kilkunastu rozmowach, małe rzeczy, które nie przeszkadzają, raczej ciekawią.

Ktoś mówi coś histerycznie, choć dopiero rozmawialiśmy spokojnie.

Inny przez całą rozmowę wpatruje się we mnie takim wzrokiem, jakbym miał brudną plamkę gdzieś na czole.

Jeszcze inna osoba wciąż używa frazeologizmów: „wzięłem to za dobrą monetę”, „nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa”, „poszedłem po linii najmniejszego oporu”, „w krzyżowym ogniu pytań”. Nie zawsze w odpowiednim kontekście – tak jakby nauczyła się ich na pamięć.

Ktoś jeszcze inny po każdym pytaniu czeka kilka sekund, jakby chciał się upewnić, że już może mówić. W rozmowie z inną osobą brakuje mi z kolei tych kilku sekund ciszy, bo osoba ta odpowiedź zaczyna zawsze w chwili, w której ja wypowiadam jeszcze ostatnie sylaby pytania.

Z trojgiem Połówek próbuję się umówić na spotkanie grubo ponad rok. Jedno odmawia, potem pojawia się w innych mediach, potem znowu odmawia. Drugie nigdy nie odpisuje, tylko przekazuje przez innych, że może przyjdzie, a może nie. Trzecie odwołuje umówione spotkanie na kilka godzin przed terminem. Dwa razy.

Kiedy w końcu udaje mi się z tymi osobami porozmawiać, są otwarte, wylewne, a tematy nam się nie kończą.

Gdy pytam, czemu tyle nam to zajęło, mówią: „Hm, sam nie wiem”.

Ale czy to ma jakikolwiek związek z autyzmem? Albo to, że Połówki dużo się ze sobą kłóca?

„Nie – powie mi kilkoro z nich – to kwestia dominującego rysu charakteru w grupie”. Na ten rys składają się ich zdaniem dwie cechy: upór i przekonanie, które ma każde z nich z osobna, że jego zdanie jest jedynym słusznym.

Tak było wtedy, kiedy Henrikowi nie spodobał się wystrój mieszkania Amandy.

Albo kiedy jej nie spodobało się to, że on nagle zaczął afiszować się ze swoją wiarą i że jego żona nie pracuje, tylko zajmuje się dziećmi.

Henrik jako jedyny z Połówek jest wierzący, mieszka parę metrów od kościoła. Córki pośle do katolickiej szkoły nieopodal.

O swoich poglądach pisze chętnie na Facebooku. Bjorn ironicznie komentuje jego posty.

Bjorn: – W zasadzie w niczym się nie zgadzamy. Może raz mieliśmy podobną opinię, obaj w konflikcie izraelsko-palestyńskim popieraliśmy Izrael.

Tylko ten jeden raz. Trochę niewiele jak na braci.

Pokłócili się o to, czy zakaz prostytucji jest ograniczeniem ludzkiej wolności.

Henrik mówi: – Jestem przeciwny, to niemoralne. To jest to, w co wierzę, nie zmienię zdania.

O szczepionki, bo Bjorn uważa, że ludzie, którzy nie szczepią dzieci, są głupi, a Henrik, że w tej dyskusji powinien wysłuchać obu stron.

Bjorn: – Co to znaczy „wysłuchać obu stron”? Przecież argumenty jednej są oparte na nauce, a drugiej na niczym.

Bjorn popiera jedynie to, co udowodnione naukowo. Wiara czy chwilowe emocje nie są takie ważne. Może dlatego w pewnej sprawie ma inną opinię niż reszta Połówek. Ta sprawa dotyczy każdego z nich, chodzi o dawstwo nasienia. Bjorn mówi, że mógłby zostać dawcą.

Dla reszty Połówek to nie do pojęcia, za dużo ich przez to spotkało w życiu przykrości.

Pytam Amandę.

Robi wielkie oczy, kiwa grożąco palcem. I mówi: – To temat tabu. Normalne osoby zakładają rodzinę, a nie idą do kliniki, gdzie nigdy do końca nie wiadomo, skąd pochodzi nasienie. Gdybym spotykała się z chłopakiem i powiedziała mi, że jest dawcą spermy, to byłby koniec naszej znajomości. Jako dziecko z dawcy wiem, jak wiele jest z tym kłopotów.

Gdyby jej partner był bezpłodny, nigdy nie poszłaby do kliniki. Wolałaby nie mieć dzieci w ogóle. A może to też kwestia instynktu? Nie ma w niej wielkiej potrzeby posiadania dziecka.

Amanda: – Są kobiety, które myślą tylko o jednym: „Muszę, muszę mieć dziecko!”. Nie wierzę też w humanitarne pobudki dawców. Wielu spośród tych, których poznałam, to dziwacy. Ale czemu o to pytasz, Kamilu?

Nie mów, że myślałeś kiedyś o tym, żeby samemu zostać dawcą spermy?

Mężczyźni przychodzą na film

Zanim sprawdzą, czy moje nasienie ma odpowiednio dużo plemników, pytają: „Jakie są pana motywacje?”. Po to, by wyeliminować te niezbyt godne. Zgłaszają się tacy, którzy chcą oddawać nasienie, bo nie radzą sobie z kobietami. Albo tacy, którzy chcieliby mieć dużo dzieci małym kosztem.

Najbardziej pożądana od sześćdziesięciu lat jest ta sama odpowiedź: Chcę pomagać innym ludziom.

Krótką rozmowę przeprowadzi lekarz, chociaż lepiej byłoby, żeby robił to psycholog.

Lekarz nie zawsze rozmawia w pogłębiony sposób, może wystarczyć mu parominutowa wymiana zdań, spojrzenie w klucz odpowiedzi, mrukliwe potwierdzenie, że wszystko jest w porządku.

Psycholog zauważy więcej. „Odpowiedzi są wzorcowe, ale z tym mężczyzną jest coś nie tak” – może stwierdzić.

Potem jest wywiad genetyczny. Kilka pytań o to, jakie miałem w życiu problemy, czy w mojej rodzinie pojawiały się depresje albo nowotwory.

Następnie badania lekarskie, mocz i krew. Tu sporo może umknąć. Młodzi ludzie są zwykle zdrowi, a holenderskie prawo zakazuje przeglądania prywatnych dokumentów i historii leczenia. Lekarze zbadają moje nasienie pod kątem płodności, ruchliwości plemników, ale też sprawdzą, czy dobrze znosi zamrażanie.

Mówił o tym Jan Karbaat w dokumencie z lat dziewięćdziesiątych:

„Czasem nie mogę użyć najwspanialszej na świecie, najwyższej jakości spermy tylko dlatego, że z jakichś względów źle się mrozi. Mężczyzn dzielimy więc w żargonie na zamrażalnych i niezamrażalnych”.

Nasienie zamraża się nie tylko po to, żeby móc je długo przechowywać, ale i z powodu chorób. HIV ujawnia się dopiero po pewnym czasie, mógłbym przekazać je w nasieniu, choć danego dnia testy pokazują, że jestem czysty.

Dopiero jeśli na badaniach w kolejnych miesiącach okaże się, że wciąż jestem zdrowy, zamrożone niegdyś nasienie będzie można wykorzystać.

Niektórzy dawcy są palaczami. Warto ograniczyć papierosy, tak jak alkohol i narkotyki, ale każda próbka i tak jest przed zamrożeniem indywidualnie sprawdzana. Czasem bardzo zdrowe osoby mają pojedyncze złe próbki, zależnie od tego, co jedzą i robią. Jest za to inna ważna zasada: wstrzemięźliwość przynajmniej na trzy dni przed wizytą. To poprawia ruchliwość plemników.

Przy drugiej i kolejnej wizycie w klinice kontroli medycznej już nie będzie.

Raz na kilka miesięcy zbadają mnie od nowa na okoliczność chorób przenoszonych drogą płciową. Te wykrywalne w moczu testują raz na trzy

miesiące, te we krwi – raz na pół roku.

Następnym razem wystarczy więc, że podejść do recepcji, powiem: „Jestem dawcą, przyszedłem oddać nasienie”, a pani wręczy mi plastikowy kubeczek, podobny jak przy badaniu moczu.

Będę już dobrze wiedział, gdzie mam dalej iść.

Po wyjściu z pokoju medycznego czeka mnie kolejny – ze ścianami pomalowanymi na czerwono. Jeszcze niedawno stała tam sofa, a na stoliczku obok leżało kilka numerów „Playboya” i „Penthouse’a”, ewentualnie magazyn gejowski. Teraz nie ma już czasopism. Zastąpili je małym ekranem na ścianie, pod którym są cztery przyciski z filmikami do wyboru: dwa heteroseksualne, jeden kobieta – kobieta i jeden mężczyzna – mężczyzna.

Kiedy nacisnę przycisk, wyświetli się pięciominutowy filmik – to optymalny czas, żeby nie siedzieć za długo, tylko „zabrać się do produkowania”, jak mawiają dawcy.

Czy jakoś tak.

Bo w sumie to na sto procent nie wiem, czy tak mawiają i czy film trwa pięć minut.

To wszystko opowiedział mi Ties, jeden z dawców.

Ja, nawet gdybym chciał, nie przeszedłbym wstępnej rejestracji w banku spermy – nie mam holenderskiego odpowiednika PESEL-u, więc jestem skreślony na starcie.

– Czy te filmiki ci się nie nudzą? – pytam Tiesa.

– To taka erotyka jak w telewizji, kliniki ewidentnie nie nadążają za tym, co mężczyźni oglądają w wolnym czasie w internecie. Jeśli ktoś ma jakieś konkretne upodobania, to raczej będzie się nudził. Wolę polegać na wyobraźni.

W latach siedemdziesiątych oddawanie nasienia wyglądało inaczej: jeszcze nie badali go pod kątem chorób ani nie mrozili, tylko używali świeżego materiału. Dawca wchodził do toalety, potem podawał słoiczek lekarzowi, a pół godziny później przychodziła para. Lekarz inseminował, para wychodziła.

Ties: – Słyszałem takie historie od par i dawców, że ktoś przyszedł za wcześnie, a ktoś za późno i spotkali się przez przypadek.

U Karbaata dawcy mieli osobne wejście, żeby nie spotykać kobiet.

Opowiadała mi o tym Sonja, matka Amandy. Zapamiętała, jak po którymś zabiegu wyszła z kliniki, szła groblą w stronę samochodu. Podszedł do niej starszy mężczyzna.

– Hej, może chciałabyś, żebym był twoim dawcą? – spytał.

– To w ogóle nie jest zabawne – odpowiedziała wściekła i powiedziała o sytuacji Karbaatowi.

Lekarz przeprosił i obiecał, że usunie mężczyznę z bazy.

– Ciekawe, czy to zrobił? – zastanawia się dwadzieścia pięć lat później

kobieta. – W obietnicach był najlepszy.

Oglądam film, na którym Karbaat instruuje przyszłego dawcę, jak oddawać nasienie.

MATERIAŁ NR 10. FRAGMENT DOKUMENTU O DAWCACH I BANKACH SPERMY, 1995

Jan Karbaat wprowadza nowego dawcę po pokoju do oddawania nasienia.

Karbaat: – Tu stoją słoiczki. Czasami zostaje trochę białego na dnie. Ale to tylko osad wapienny. Po każdym użyciu są wygotowywane.

Dawca: – Czyli spermę tam do środka?

Karbaat: – Spermę do środka. To szklany słoiczek, ale mam też plastikowe, jeśli pan woli. Tych nie trzeba trzymać w rękach. Są różne rodzaje, ten tu skurczybyk ma akurat trochę ostre krawędzie, ale mamy też z delikatniejszymi...

Szuka słoiczka.

Karbaat: – ...ach, jednak nie, niestety ich nie mamy. Idealnie by było, gdyby pan ten słoiczek potem potrzymał w rękach, żeby był ciepły. Temperatura nie powinna spaść poniżej dwudziestu stopni. W zimie kładę je zawsze na kaloryferze, ale teraz jeszcze nie grzeją. Jak tylko będzie pan gotowy, proszę napisać nazwisko na etykiecie i przykleić na słoiczek. Byle nie na pokrywkę! Pokrywki lubią się u nas gubić. Książeczki, te z paniami w środku, ma pan w szufladzie. Niektórzy lubią sobie obejrzyć taki film...

Włącza na starym telewizorze film pornograficzny, scena seksu oralnego.

Karbaat: – ...o, już się włączył, tu pani na ekranie jest zajęta... Pan to może też wyłączyć, jeśli się nie podoba. Niektórzy wolą bez filmu. Kiedy będzie po wszystkim, położy pan słoiczek na stole, a tam po prawej jest telefon. Naciśnie pan klawisz numer dziesięć, wtedy przyjdzie pani z filiżanką kawy. Powodzenia!

Karbaat odchodzi, operator robi zbliżenie na telefon, a potem na wiszący na zewnętrznej ścianie pokoju portret małej płaczącej dziewczynki.

Holenderskie kliniki dbały w latach dziewięćdziesiątych o to, by dawca nie stresował się przesadnie. Organizowały specjalne wieczorki. Przychodzili na nie mężczyźni z różnych grup społecznych: student, nauczyciel, piekarz.

W sali czekał poczęstunek: napoleonki z pomarańczową polewą, orzeszki, kawa, piwo, wino, drinki. Bywało, że jedynie w tym pomieszczeniu w szpitalnym budynku nie obowiązywał zakaz palenia.

Co jakiś czas jeden z panów schodził do piwnicy, do pomieszczenia zwanego „masturbatorium”. Tam, za białą zasłonką, obok leżanki, czekały „Playboye”.

Wracał, jeszcze chwilę pogadał z innymi i zebrał się.

W Lejdzie bank spermy otwarto w budynku, w którym wcześniej był zwyczajny bank. Łatwo było to zauważyć, bo nad drzwiami wejściowymi na kafelkach wciąż widniały symbole monet.

Jednak na swoim nasieniu holenderscy dawcy nie zarabiali nigdy. W grę wchodziło dziesięć, dwadzieścia, czasem sześćdziesiąt guldenów na pokrycie kosztów podróży. Dzisiaj dostają podobną kwotę w euro. Ties uważa za niemoralne, że kliniki w Hiszpanii czy Danii dają po sto euro. Pojawia się wtedy motywacja finansowa, a tak nie powinno być i w Holandii to nigdy nie było dozwolone.

– Dziwi mnie też, że badania są takie pobieżne. W ogóle nie robią testów na choroby genetyczne – mówi Ties.

– Czy to nie byłby krok do przesadnej selekcji najzdrowszych, wysportowanych i inteligentnych dawców? – pytam.

– No tak, jeśli starasz się o dziecko w tradycyjny sposób, często nie wiesz, jaki genotyp ma twój partner. Ale przynajmniej jesteście prawnie i moralnie odpowiedzialni za dziecko, a geny można sprawdzić.

Od 2004 roku wszyscy dawcy w Holandii powinni być jawni. Ties wie, że jego biologiczne dzieci kiedyś mogą zapukać do jego drzwi.

Ale o poszczególnych urodzeniach nie ma już informacji. Może tylko ufać, że klinika dopełni obietnicy i nie będzie ich więcej niż dwadzieścioro pięścioro. Wybrał szpital, który jest za otwartością i pomaga dzieciom w poszukiwaniach.

– Powinien być centralny system, który rejestrowałby, czy klinika nie przekroczyła limitu urodzeń na dawcę – mówi. – Idealnie byłoby, gdyby każdy, kto chce oddawać nasienie, musiał najpierw porozmawiać z matkami, dziećmi poczętymi w ten sposób i innymi dawcami.

Ties wie, co mówi – takich rozmów odbył setki. Jest prezesem fundacji, która walczy o prawa dzieci z dawców. Sam jest jednym z nich, poczętym trzydzieści osiem lat temu w znanej klinice w Groningen.

Pyta mnie, czy kojarzę nazwisko jej szefa, Jana Kremera, który do końca życia stawiał na anonimowość.

– Przewidywał, że prawo w końcu się zmieni. Zmarł w 2001 roku, a przed śmiercią spalił wszystkie dokumenty kliniki. Tłumaczył to lojalnością wobec swoich dawców.

W stosie spalonych kartek była odpowiedź na to, kto jest biologicznym ojcem Tiesa.

– Teraz moją ostatnią nadzieją jest FIOM i ich bank DNA – mówi.

Ale dawca musiałby najpierw sam się zgłosić do Tiesa, a nie zgłasza się już szósty rok. Kim jest? Czy jeszcze żyje? Jeśli nie, to kim był?

Nie wie nic. Jedynie gdy idzie do banku spermy, wie, że robi to samo, co przed laty robił jego ojciec.

– Proszę bardzo – dawna klientka doktora Karbaata i matka dwóch córek kładzie przede mną na stole żółtą słomkę. – Zachowałam sobie jedną w 1993 roku, na wszelki wypadek. Nawet nieotwarta.

Patrzę na ten artefakt. Wygląda jak zwykła plastikowa słomka do picia coca-coli, tyle że nieprzejrzysta.

Jedno oddanie nasienia to dziesięć, może dwadzieścia takich słomek.

Klinika przechowuje je potem w wielkim metalowym baniaku stojącym w ciemnym pomieszczeniu.

– Chce pan rzucić okiem? – proponuje lekarz w jednym z banków.
– Dziennikarze najczęściej pytają właśnie o tę naszą lodówkę.

Otwiera klapę, unosi do góry plastikową platformę z rzędami różnokolorowych słomek. Po pomieszczeniu roznosi się chłodna mgła.

Dużo, naprawdę dużo słomek.

Kobiety za jedną muszą dziś zapłacić od stu do stu pięćdziesięciu euro. Ale bywa i drożej: w Danii kosztują ponad czterysta.

W lodówce jest ich dziesięć tysięcy. Oznacza to, że – choć czuję się dość niezręcznie, robiąc te obliczenia – metalowy baniak, na który właśnie patrzę, jest wart ponad milion euro.

Kiedyś słomki miały 0,15 mililitra, do inseminacji potrzeba było dwóch. Dziś wystarczy jedna, bo słomki mają już standardowo 0,3 mililitra.

Czy to dużo? Mało?

W sam raz, by spełnić marzenie.

Przecież od niego się zaczyna.

Przede mną, w tej okrągłej lodówce, jest ich dziesięć tysięcy – to na nie patrzę.

Na kosztujące ponad sto euro, schowane w kolorowych słomkach, z etykietkami, rozdzielone kratkami, uszeregowane, trzymane w temperaturze minus dwieście stopni, cierpliwie czekające na swój dzień – dziesięć tysięcy odpowiedzi na marzenie.

Maaike patrzy Karbaatowi w oczy

List leżał na biurku.

Bjorn postanowił, że musi ostrożniej dobierać informacje, jakie o sobie zostawia w internecie, bo nie może być tak, że ktoś bez trudu odnajduje jego miejsce pracy, jego biurko, przychodzi tam przed nim i zostawia mu list.

Potem przeczytał list i przypomniał sobie: chodziło o tamto marzenie.

Jedna z gazet spytała Maaike, czy zna kogoś, kto jako dorosły dowiedział się, że jest z dawcy. Ona sama wiedziała to od dziecka, ale poleciła Bjorna.

Po paru tygodniach ukazał się wywiad, w którym Bjorn powiedział, że jego marzeniem jest odnaleźć wszystkich biologicznych braci i siostry.

No dobrze, może nie wyraził się dokładnie tak, ale w sumie po co prostować, skoro dzięki temu napisała do niego telewizja.

Nigdy później nie powiedział producentom, że z tym marzeniem to był tylko żart.

– Jeszcze by się rozmyślili i straciłbym szansę, żeby mieć w telewizji odcinek o sobie – mówi z uśmiechem. – Więc odpisałem: „Wchodzę w to!”

Zanim na stronie programu pojawił się wielki nagłówek *Bjorn szuka 200 sióstr i braci*, minęło parę miesięcy. Naradzili się z Połówkami, bo niedawno byli w programie Amandy, w którym sprawdzała, czy są z Boyem pełnym rodzeństwem. Tam też powtarzali: „Połówki, Połówki”, trzeba uważać, by ludzi tym tematem nie zamęczyć.

Oddzwonił, porównali kalendarze, przyjechali na sesję zdjęciową.

Niestety zdjęcia formatowali ściśle pod program, jasne, radosne, trochę zbyt dziecięce, więc Bjorn ze smutkiem stwierdził, że jako profilowe na Tinderze nie działały zbyt dobrze.

– Przesunęli nas do wiosennej ramówki. Było trochę czasu, ekipa miała przyjechać dopiero w lutym – opowiada. – Zamysł był taki, że spytam, kto z Połówek chciałby pójść ze mną. Wytypowane miałem do tej roli dwie półsiostry.

– Co to znaczy „wytypowane”? – pytam.

– Chciałem pójść z tymi, które są najmniej do mnie podobne. Im więcej rodzajów naszej urody, tym więcej potencjalnych widzów, którzy mogliby dopatrzeć się podobieństwa między sobą a którymś z nas i zgłosić na badania genetyczne. Jedna z tych sióstr nie chciała, więc zaprosiłem Maaike, bo dobrze opowiada.

Nad rzeką w Rotterdamie stoją w trójkę:

Fien. Ta, która udawała Greczynkę.

Maaike. Ta, która wyobrażała sobie ojca jako supermana.

Bjorn. Ten, który był dumny, że jest jednym z dwustu.

Maaïke wahała się, czy pójść. Nie chciała, żeby ludzie mówili: „O nie, to ona, znowu gada o tych dawcach”. Ale ma misję – chce, żeby wszystkim dzieciom KID dać jasny sygnał: odpowiedzi na wasze pytania są bliżej, niż myślicie, warto się zarejestrować.

Podczas zdjęć naradzają się w trójkę, co powiedzieć, a czego nie, konsultują z ekipą. Maaïke i Fien były już kilka razy w telewizji.

– Z pewnym doświadczeniem telewizyjnym już się wie, jak łatwo mogą po swojemu pociąć fragmenty tak, że w internecie będziesz pośmiewiskiem. Zawsze uważam na słowa – mówi Maaïke – kiedy rozmawiam z dziennikarzami, ale przy tamtym nagraniu byłam szczególnie czujna. Czasem celowo powtarzałam jedno zdanie pięć razy – to zwiększa szansę, że wezmą je do odcinka.

Pytam Bjorna, czemu tak bardzo chciał wziąć udział w programie.

Po jego minie widzę, że kompletnie nie wie, czego właściwie nie rozumiem.

– To proste – odpowiada. – Na planie programu, kiedy sprawdzali DNA Amandy, spędziłem kilka godzin. Pokazali najlepsze sceny z Matthijsem. Moich nie, a też mówiłem ciekawe rzeczy. Co gorsza, podpisali Matthijisa jako mnie: „Bjorn, prawdopodobnie brat Amandy”.

Tyle czasu nagrań i nie umieją dopasować jednej twarzy do imienia? No przepraszam bardzo.

Każdy, kto chciał, miał już swój program: Maaïke, Matthijs, Jaleesa, Amanda, Boy, Henrik. Teraz przyszła kolej na mnie.

Ja też chcę być sławny.

MATERIAŁ NR 11. FRAGMENT PROGRAMU *BEZ ŚLADU*

Akcja przenosi się do Barendrechtu, pod klinikę Jana Karbaata. Połówki wchodzą przez bramę.

Bjorn: – To miejsce, gdzie większość z nas, ekhm, powstała.

Maaïke: – Ty, ja i ona.

Wskazuje palcem na Fien.

Fien: – No, może nie każde z nas. Ale prawdopodobnie większość z naszej grupki to dzieci poczęte w tej klinice.

Bjorn: – Nie myślałem, że kiedyś tu przyjdę. Nie było zresztą powodu, dla którego miałbym tu przyjść. Chodźmy do środka i poprośmy o wgląd do archiwum.

Bjorn wie, że ta kwestia brzmiała jak wyreżyserowana, ale to naprawdę był jego spontaniczny pomysł: chodźmy do środka i zobaczmy archiwum.

– Ho, ho, powrót na stare śmieci. – Maaïke uśmiechnęła się sama do siebie, kiedy przekraczali próg.

Budynek wyglądał wciąż tak samo jak wtedy, kiedy przychodziły do niego ich matki. Weszli przez otwartą furtkę na teren kliniki, żeby porozmawiać z doktorem.

Tak kończy się odcinek programu telewizyjnego.

Co było dalej? Tego telewidzowie już się nie dowiedzieli. A ja wiem: drzwi otworzył mężczyzna. Siwowłosa, zgarbiony, chodzący o lasce.

Maaike mówi dzisiaj: – Nie przedstawił się, ale pamiętałam go ze zdjęć. To był on, doktor Karbaat, człowiek, którego przez lata obwiniałam za to, co złe w moim życiu, czarny charakter, którego sobie wyobrażałam. Zmroziło mnie. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Kiedy Karbaat otwiera drzwi, również Fien od razu rozpoznaje jego twarz. Ale nie ze zdjęcia. Dawno temu widziała ją na żywo.

Dwadzieścia lat wcześniej: Fien siedzi w gabinecie razem z matką, która stara się o drugie dziecko. Nie ma niani, więc musi brać córkę ze sobą.

W pomieszczeniu zabiegowym jest ciemno, dziewczynka spogląda tylko czasem w stronę mamy.

Pamięta wziernik do inseminacji, myślała wtedy, że to mikrofon.

Pamięta, że lekarz patrzył jej głęboko w oczy, zmarszczył brwi i powiedział: „To ona nie ma brązowych oczu? Bardzo dziwne”.

Fien ma oczy zielono-pomarańczowe, jako jedyna z Połówek, prawie wszyscy mają brązowe.

Teraz, po dwudziestu latach, jej wzrok i wzrok doktora spotykają się raz jeszcze. Fien zaczyna mówić:

– Czy ma pan dokumenty związane z nami?

– Waszych danych już tu nie ma, są zniszczone – odpowiada lekarz.

Maaike milczy, zbiera się w sobie. Czekala tyle lat, żeby zadać swoje pytania, wreszcie może.

– Dlaczego nie liczył się pan z naszymi uczuciami?!

– Spokojnie – mówi do niej cicho Bjorn. – To niegrzeczne krzyżeć na takiego dziadka.

Bjorn: – Wiedziałem, że jeśli Maaike nie przestanie go naciskać, będzie kłamał, choćby w odruchu obronnym. Powiedziałem jej potem, że mówienie mi miłych rzeczy to jedyny sposób, żeby coś z niego wyciągnąć.

– Czy wiedział pan o autyzmie naszego dawcy? – pytają dalej.

– Nie. Kiedy go spotkałem, był zupełnie normalny, nie widziałem nic niepokojącego. Musiał mnie okłamać.

Fien: – Bujda. Nie wyobrażam sobie, żeby można było się z nim spotykać przez dwadzieścia lat kilka razy w tygodniu i nie zauważyć, że coś jest nie tak. To widać od razu, jego sposób rozmowy, tiki.

Maaike: – Staliśmy i słuchaliśmy tych tłumaczeń. Nawet specjalnie się nie bronił, całą winę przerzucał na naszego dawcę. Cokolwiek powiedzieliśmy, obracał to w drugą stronę. Ale pytaliśmy dalej.

– Czy nie uważa pan, że pozwalał mu pan zbyt często oddawać nasienie?

– Nie tak znowu często, przychodził ledwie parę razy w miesiącu, potem robił przerwę.

Maaïke: – On mówił z taką pewnością siebie, że wszystko wydawało się logiczne. Kiwaliśmy głowami: „OK, brzmi jak racjonalne tłumaczenie”. Poczułam nawet, że trochę niegrzecznie było mu tak zawracać głowę.

Spytałam, czy nie uważa, że z nasienia jednego dawcy mimo wszystko rodziło się w jego klinice zbyt dużo dzieci.

Odpowiedział, że był duży popyt.

„No tak. Duży popyt” – powtórzyłam i raz jeszcze kiwnęłam głową.

Uścisnęłam mu dłoń. To było dziwne, nigdy przedtem ani potem nie pomyślałabym, że będę w stanie podać mu rękę.

Po chwili ocknęłam się. Pomyślałam, że wszystko, co mówi, to wielkie kłamstwo. Jest podstępny. Starał się mówić o dawcy tak, żeby nie musieć tłumaczyć się ze swoich czynów.

Znowu chciałam krzyknąć. Ale nie, przecież na dziewięćdziesięciolatka się nie krzyczy, w dodatku byliśmy z kamerą. Chociaż nie zgadzam się z Bjornem: jeśli człowiek kłamie całe życie, czemu miałby przestać tylko dlatego, że jest się dla niego przez chwilę miłym?

Spojrzelśmy na siebie nawzajem. Zastanowiłam się: on już wie, co zrobił, i wie o konsekwencjach. To ważne dla mnie, nawet jeśli jego to nie obchodzi.

Zrobiłam to, zmierzyłam się z nim. Mogłabym zadać mu tysiące innych pytań, ale tak też jest w porządku.

Popatrzył w oczy kolejnym osobom, do których istnienia się przyczynił.

Jan Karbaat powiedział Maaïke, Fien i Bjornowi, że ich dawca pisze o nich książkę i kręci film. Że uknuł plan, z którym lekarz nie ma nic wspólnego.

Maaïke wie, że kłamał. To proste – gdyby ich biologiczny ojciec pracował nad jakimś projektem, byłby z niego tak dumny, że nie wytrzymałby i od razu by się pochwalił.

Nagrania rozmowy z lekarzem telewizja nie użyła w odcinku. I raczej nie użyje. Połówki mówią, że producenci raczej do niego już nie wrócą.

– Program ma na celu przyciągnąć jak najwięcej naszych półbraci i półsióstr – mówi Maaïke. – Muszą po obejrzeniu czuć się na tyle dobrze, żeby zechcieli się skontaktować. Wrzucenie tam tego człowieka tylko by ich przstraszyło.

Poza tym to nie program śledczy. Chcą raczej, żeby było wzruszająco, wyciskało łzy to, że „Bjorn szuka 200 braci i sióstr”.

Czekamy na wyniki. Kto wie, może do końca roku będzie nas trzydziestka?

– Nie żebym był złośliwy – śmieje się Henrik – ale gdyby producenci przed laty nie odpisali mi, że mają wiele takich historii jak moja, miałby to o kilka lat wcześniej.

Odcinek przyciąga uwagę widzów.

Ktoś pisze, że kiedy Bjorn odnajdzie wszystkich, będzie musiał chodzić każdego roku na dwieście urodzin.

Ktoś inny, że to zabawne, bo przez nieuwagę może poślubić swojego brata lub siostrę. Odpowiedź: *Myszę, że gdyby ci się to przytrafiło, nie wydawałoby ci się to takie śmieszne.*

Ale Boyowi, jednemu z Połówek, jest całkiem do śmiechu. Pisze na Twitterze, że za każdym razem, kiedy lektor w *Bez śladu* wymawiał słowo *donor*, on słyszał *döner*. Teraz przez to ma ogromną ochotę na kebab.

Są opinie, że Połówki szukają rozgłosu na siłę. Maaike odpisuje, że nawet jeśli tak jest, to w słusznej sprawie – żeby kolejne osoby poznały swojego dawcę.

Niezbyt zadowolony z programu jest FIOM – ludzie dzwonią tam i pytają, czy powstała jakaś druga, oddzielna baza danych. Innej stacji kilka lat wcześniej postawili wymóg: jeśli mamy współpracować, nie możecie o wynikach testów DNA informować ludzi po raz pierwszy przed kamerami, to niemoralne.

Producenci *Bez śladu* postanowili badać DNA zgłaszających się osób we własnym zakresie. Żeby zmniejszyć koszty, badania robią tylko na genetyczne pokrewieństwo z Połówkami, czyli wykonują test ojcowski z Dawcą S. To za mało danych, by osoby, które okażą się niespokrewnione z Bjornem czy Maaike, mogły dołączyć do bazy ogólnej. Nie wiadomo też, czy telewizja będzie chciała takie dane przekazywać. Odrzuceni przez telewizję prawdopodobnie będą musieli zbadać się po raz kolejny we FIOM.

Jaleesa martwi się, jak to będzie z tym rozrastaniem się grupy. Przeskok z trzech osób do siedmiu był już duży, to widać podczas spotkań, jest coraz głośniejsze, coraz trudniej się pomieścić. Niektóre Połówki mają problemy z przyjmowaniem naraz dużej liczby bodźców, dźwięków. Im większa grupa, tym będzie gorzej.

Maaike też nie wyobraża sobie odnalezienia dwustu braci i sióstr. Nawet jeśli, to nie będzie możliwe utrzymywanie kontaktu ze wszystkimi.

– Już teraz jest to problem... – mówi mi w swoim domu, pochylona nad komputerem. Po chwili robi zdziwioną minę i krzyczy: – Jest, udało się!

– Kogoś znaleźli? – pytam.

Nie, nie znaleźli. To nie o program chodzi, ale o konkurs, w którym wzięła udział.

Duża sieć supermarketów ogłosiła zabawę. Do wygrania był trzydniowy pobyt z noclegiem w parku rozrywki dla dwunastu osób. Wystarczyło napisać, kogo się weźmie ze sobą i dlaczego.

„Ten pobyt brzmi jak bajka! Opowiedzcie, kogo byście zaprosili, a stanie się ona waszą rzeczywistością!”, zachęcali organizatorzy.

Wzięłabym siostrę, szwagra, ich cztery córki oraz męża, jesteśmy małżeństwem dopiero od kilku dni! Do tego brata i osiemdziesięciosześcioletnią

babcię!, napisała Charlene ze Schiedam i wkleiła zdjęcie czterech uroczych dziewczynek.

Mariska z Landgraaf zaprosiłaby „swoje dziewczyny”. Kiedyś wyjeżdżały razem co weekend, a potem miały baby boom, sześcioro maluchów w ciągu roku, i już nie spędzają tyle czasu razem.

Marijn z Lejdy wymyśliła własną bajkę, ze znajomymi w roli głównej: ten jest wilkiem, tamten krasnalem.

Maaike z Utrechtu pomyślała, że co jak co, ale ona żadnej bajki wymyślać nie musi.

Jej post brzmiał tak:

Od jakichś czterech lat mam kontakt ze swoimi półsiostrami i półbraćmi. Nazywamy się Halfjes, Połówki, mieliśmy tego samego dawcę. Zaczęliśmy w siódemkę, a w międzyczasie zrobiło się nas szesnaścioro. Jeszcze nigdy nie udało nam się wyjechać całą grupą gdzieś na weekend, jesteśmy w podobnym wieku i prawie każdy jeszcze studiuje. Byłoby super, gdybyśmy mogli pojechać do leśnego parku rozrywki. To, że odnaleźliśmy się nawzajem, naprawdę brzmi jak bajka, a to, że mamy ze sobą taki dobry kontakt, to magia.

Organizatorzy napisali, że ta opowieść naprawdę brzmi jak bajka, i przyznali Maaike nagrodę.

Była w tym parku już wiele razy: jest tam baśniowy las, kolejki górskie, kolorowe bajkowe postaci. Jeśli nie uda jej się zdobyć pracy w Disneyu, mogłaby równie dobrze pracować właśnie tam.

Ale i tak jest smutna.

No bo kto ma do tego parku pojechać z nią? Ma powiedzieć o tym wszystkim Połówkom czy tylko niektórym? Wybrać jedenastkę sama? Co wtedy z czterema pozostałymi osobami?

Sytuacja klaruje się szybciej, niż myślała.

Jaleesa mówi, że ma remont domu i nie może pojechać na cały weekend, ale ponieważ ma do parku karnet, nie musi korzystać z nagrody. Dołączy do nich na kilka godzin tak czy siak.

To wciąż o trzy osoby za dużo.

Henrik mówi, że nie pojedzie bez żony i dzieci. Dziwna reakcja, komentują niektórzy, ale Henrik przypomina, że nikt oprócz niego w grupie nie ma własnych dzieci – nie wiedzą, jak to jest.

To wciąż o dwie osoby za dużo.

– I co teraz? Wszyscy inni chcą jechać. Dwanaście miejsc, czternastu chętnych, a przecież zanim wybierzemy termin, może nas być jeszcze o kilka osób więcej – kręci głową Maaike, bo jest przekonana, że ich grupa będzie się już tylko powiększać.

Bardzo się myli.

Dwie osoby do wyrzucenia z rodziny

Niby to dwa kliknięcia na komputerze, a uczucie takie, jakby uruchomiła gilotynę – mniej więcej tak pomyślała Maaïke, a następnie, zgodnie z planem, jak również za wiedzą i zgodnie z wolą pozostałych Połówek, ostrzegając zawczasu zainteresowanych, tłumacząc, jakie były powody, czytając wyjaśnienia, nie zmieniając jednak pod naporem tych wyjaśnień zdania, w samo południe usunęła z grupy dwie osoby: Nele i Noacha.

Nele to siostra Henrika z jednej matki. Do grupy dołączyła razem z nim, kiedy lekarze połączyli DNA Henrika i Boya, ale sama się nie przebadła, a oni założyli, że w takim razie Amanda i Nele też są Połówkami.

Amanda przebadła się później w telewizji, Nele nie.

A może powinna, mówią niektórzy, bo Karbaatowi nie można ufać, mieszał nasienie, kłamał, nie mówił matkom o zmianie dawców, Nele jest blondynką, nie przypomina pozostałych Połówek, no, może i jest trochę podobna, ale to dlatego, że jest podobna do Henrika, a Henrik do reszty.

Więc nie ma pewności.

Kiedyś mówiła, że nie stać jej na badanie. Potem kilkakrotnie opuściła możliwość zrobienia testu DNA za darmo, ostatnią szansę miała niedawno, mogła iść do *Bez śladu*, sprawdzić, czy jest półsiostrą Bjorna, nie zrobiła tego.

Dlaczego?

Ze strachu, że nie jest w pełni siostrą Henrika, odpowiadała.

Powiedzieli jej: Nele, przykro nam, nie można mieć ciastka i zjeść ciastka, być Połówką, nie wiedząc, czy jesteś z tego samego dawcy co Henrik. Henrik jest potwierdzony, a ty nie. Wyobraź sobie, że dołączą kolejne osoby, mówimy im: cześć, to my, wszyscy jesteśmy z jednego dawcy, tak jak ty, no, może oprócz dwóch osób, które się jeszcze nie przetestowały, bo nie chcą, ale zostały w naszej grupie właściwie nie wiadomo dlaczego.

Powiedzieli też: wyobraź sobie, że przyjmujemy kolejne piętnaście osób, będziemy restrykcyjnie prosić je o test DNA, a gdy dołączą, to dowiedzą się, że nie wszyscy się przebadaliśmy. Jak im to wytłumaczymy?

To Nele. Z Noachem było trochę inaczej.

Skontaktował się z Maaïke po jednym z programów telewizyjnych. Powiedział, że oddał DNA do bazy FIOM i czeka na wyniki. Jedna półsiostra wyglądała trochę jak on. Parę osób stwierdziło, że chociaż nie mają pewności, dodadzą go do grupy.

Kiedy pojawił się na jednym z ich spotkań z dawcą, niektórym się to nie spodobało. Powiedzieli: Noach, poczekaj na wynik testu.

Ale Noach tłumaczył się, że FIOM działa zbyt wolno, a on bardzo chciał już poznać i ich, i dawcę. Poza tym wyniki będą niedługo.

Maaike często spotykała się z Noachem, mieszkają w sąsiedztwie. Ale kiedy pojawiły się wątpliwości, ograniczyła kontakt.

– Co, jeśli powstanie między nami więź, a potem okaże się, że nie jest jednym z nas? – zapytała mnie, kiedy Noach był jeszcze w grupie.

– Możecie zostać przyjaciółmi – odpowiedziałem.

– To trudne. Mamy tak dużo osób. Amanda przed programem nie wiedziała, czy na pewno jest naszą siostrą. Zastanawiała się, czy jeśli nie jest, mogłaby wciąż przychodzić na nasze spotkania. Tak, mogłaby. Ale myślę, że w końcu wszystko by się samo urwało, bo nie byłaby rodziną. Rodzina. To duże słowo, ale też jedyne, co mamy.

Henrik mówi, że chodzi o bezpieczeństwo w grupie:

– Dyskutujemy o delikatnych sprawach, takich, o których gadasz tylko z bratem czy siostrą. Są wśród nas osoby czułe na tym punkcie: ktoś opowie prywatną historię, a potem okaże się, że zaufał osobie, która wcale nie jest z nim spokrewniona.

Bjorn patrzy na to technicznie:

– Spodziewaliśmy się, że po *Bez śladu* będzie nas więcej, więc musieliśmy ustalić raz na zawsze jedno kryterium, które nas łączy. Sposób, w jaki ostatecznie wyselekcjonujemy członków grupy. Wybraliśmy zgodność DNA, która sprawia, że jesteśmy dla siebie kimś więcej niż ludźmi o podobnych przeżyciach.

Ale zmniejszenie grupy było pomysłem Amandy:

– Widziałam, że dużo osób o tym myśli, ale nikt nie proponował, bali się, że inni potraktują to jako małostkowe. Kiedyś było nas mało i nawet nie zwracaliśmy uwagi na ścisłe zasady. Ale kiedy dowiedzieliśmy się, że klinice w Barendrechcie nie możemy ufać za grosz, stało się jasne, że niczego nie możemy być już pewni.

Musimy zaostrzyć wymagania, przefiltrować, postawić chociaż jeden warunek. Jesteśmy grupą, której członkostwo opiera się na więzach krwi, pokrewieństwie, to jakaś podstawa. Jeśli nie każdego w tej grupie łączyłyby te więzy krwi, równie dobrze moglibyśmy przeprofilować się na klub szydełkowania! A Połówki to już powoli marka.

Dlatego dla mnie to jest jasne: nie potwierdziłeś DNA – wylatujesz.

W międzyczasie do grupy dołączyła Joyce i jeszcze jedna dziewczyna. Spytali wreszcie Noacha: „Co się dzieje, masz już te wyniki, jesteś potwierdzony?”

Odpowiedź ich zadziwiła.

Napisał, że musi powtórzyć badanie, bo jest ludzką chimera, która powstała z nasienia dwóch różnych dawców. Dlatego część jego organizmu wykazuje pokrewieństwo z jednym dawcą, a część z innym i stąd brak zgodności.

Ale wśród Połówek są przecież biotechnolodzy, biolodzy, pielęgniarki.

Naradzili się.

Bjorn stwierdził, że to kompletna bzdura:

– Musiałby, po pierwsze, być z ciąży bliźniaczej, po drugie, z dwóch różnych dawców, a jedno z dzieci musiałyby wchłonąć drugie w życiu płodowym. Był kiedyś taki przypadek, ale nie przy zapłodnieniu z dawcy. Oczywiście wiemy, że Karbaat mieszał nasienie, ale szansa na chimeryzm jest astronomicznie mała, statystycznie niemożliwa. Pisałyby o tym wszystkie gazety.

Przyszła ten dzień.

Amanda spytała najpierw pozostałych o zgodę na usunięcie tej dwójki z grupy na Facebooku. Zgodzili się wszyscy, oprócz Henrika, bo chodziło o jego siostrę.

Nele i Noachowi złą wiadomość przekazała Joyce.

Trochę ich wkurzyło, że zrobiła to akurat ona. Była nowa, dołączyła do grupy najpóźniej ze wszystkich. Z drugiej strony jest też najstarsza, kiedy przyszła, Henrik śmiał się, że został pozbawiony tronu.

Wiele miesięcy później niektórzy powiedzą mi anonimowo, że to całe wyrzucenie było trochę zbyt brutalne. Czy Amanda chciałaby tego doświadczyć, gdyby w programie okazało się, że nie jest Połówką?

Może to zaczęło się wcześniej, od biletów do leśnego parku rozrywki?

Od momentu, kiedy Maaïke napisała, że ma tylko dwanaście miejsc i nie wie, kogo wybrać?

Ktoś sugerował, że można za dwie dodatkowe osoby dopłacić, ale pomysł upadł. Rozwiązanie było proste: pojedzie dwunastka nie tylko chętnych, ale i potwierdzonych genetycznie.

Bjorn: – Noacha nie żał mi w ogóle. Wymyślił historyjkę, opowiadał bardzo skomplikowane kłamstwa. Mówił, że rezultaty FIOM nie są dla niego wiążące.

To samo mówi Fien: – Noacha wyrzuciliśmy za brak szczerości, nie można było mu już ufać.

Jednak Nele było Bjornowi żal, wolałby, żeby zrobiła test i została. Bo nie wiadomo, czy jeśli kiedyś test dowiedzie, że jednak jest Połówką, zechce wrócić do grupy, która tak ją potraktowała.

Ostatnie dwa ruchy myszką wykonała Maaïke.

Naciska jeden krzyżyk, drugi krzyżyk i już. Po sprawie.

Od tamtej pory Nele i Noach więcej się do nich nie odezwą.

Ale Noach nie zmyślił wszystkiego.

Nie on.

Przed laty Jan Karbaat zostawił u notariusza dokument poświadczający, że Noach jest biologicznym synem Dawcy S. To dlatego chłopak nie mógł uwierzyć, gdy zobaczył negatywny wynik z FIOM.

Postanowił przebadać się po raz drugi. Koszt badania pokrył biologiczny ojciec Połówek, czyli Dawca S. Napisał wtedy do reszty grupy:

Drodzy Maaike, Fien i Bjornie!

Tworzycie sztucznie jakąś elitę, do której można dołączyć tylko z pozytywnym wynikiem testu. Noach to dobry chłopak. Lubię go i uznaję za swojego syna. Pozwólcie mu być częścią grupy. Strasznie jesteście restrykcyjni z tą waszą procedurą.

Kiedy pytam o ten list, Fien parska śmiechem: – Złap je wszystkie, POKEMON! On idzie w ilość. Tłumaczył, że Noach jako jedyny z nas ma takie powieki jak on. Aha – mruga Fien – taa, powieeeeeki.

Bjorn: – Twierdzi, że Noach ma jego oczy, że przypomina jakichś dwóch wujków, więc musi być jego dzieckiem. To samo mówił o moim młodszym bracie Kjeldzie. Bzdura, nie ma szans.

Jaleesa śmieje się, kiedy ją o to pytam: – Przekonanie go o tym, że ty też jesteś jego dzieckiem, zajęłoby ci dwie minuty. A tak długo z jednej tylko przyczyny: jesteś z Polski, a nie z Holandii.

Maaike: – Trudno mu jest pogodzić się z tym, że uznał kogoś za dziecko, a ten ktoś nim nie jest.

Bjorn w przyływie emocji wysłał biologicznemu ojcu mejl. Sformułował go tak logicznie, jak tylko mógł, by tamten zrozumiał. Przekonywał dawcę, że wstawianie się za Noachem nie ma najmniejszego sensu:

Zrozum, jeśli wypierasz negatywny wynik testu Noacha, nie ma tym samym powodu, żebyś uznawał wynik pozytywny wszystkich pozostałych! Uważasz, że jesteś moim ojcem biologicznym? A może nie? Może jestem kimś przypadkiem do ciebie podobnym? Świat jest duży, siedem miliardów ludzi, na pewno znajdzie się jeszcze ktoś, kto mnie przypomina. A że nie był dawcą nasienia, że nie zgadza się z nim nasze DNA? Co z tego, skoro zdążyłeś to już podważyć.

Bjorn wspomniał, że list pisze jako biotechnolog, dla którego wynik testu jest naukowym dowodem. Ale nie tylko.

Piszę to również jako chłopak, dla którego ogromną wartość ma nowa rodzina, tak niedawno odnaleziona. To, co robisz, jest podkopywaniem jedyne go fundamentu, na którym ona się opiera – więzów krwi. Zrób, proszę, krok w tył i popatrz na sytuację obiektywnie, porzuć swoją obsesję.

Maaike jest czasami smutno, że dawca ma takie podejście, że chce mieć jak najwięcej dzieci bez względu na wszystko. Mówi: – Przecież my, Połówki, to nie koszyk, do którego wrzuca się kolejne jabłko.

Dawca ucieszył się, kiedy obejrzał Bjorna w *Bez śladu*. Od razu wysłał im mejl. Świetnie, napisał, że szukają nowych Połówek wszelkimi dostępnymi metodami i że liczy na dobry połów po programie.

Kiedy Maaike czytała to po raz pierwszy, myślała, że chodziło mu o „dobry odbiór”. Ale nie, powtórzył to jeszcze kilka razy, wyraźnie – „liczy na dobry połów”. Jakby byli rybami w morzu.

Bjorna to nie zdziwiło: – To kolekcjoner, który chciałby odnaleźć wszystkie dzieci, a moje poszukiwania to wielki krok w tym kierunku.

Dawca S. wpadł też na pomysł, że skoro widzowie tak dobrze zareagowali na Bjorna, Maaike i Fien w programie *Bez śladu*, to może on sam ujawni swoją twarz i nazwisko, wystąpi w programie?

Powiedzieli mu: – Wykluczone.

Posłuchał. Ale Maaike czuje w takich momentach, że to oni, Połówki, w pewnym sensie swojego biologicznego ojca wychowują. Brak wglądu Dawcy S. w uczucia i zamiary innych ludzi sprawia, że ciągle komuś się naraża.

Kiedyś nie autoryzowała jednego z artykułów o Połówkach i pod jej zdjęciem pojawiło się słowo, którego nie powinno tam być. Dawca je przeczytał, a ponieważ bierze wszystko dosłownie, użył go wobec Maaike. Obraziła się.

Świetnie, znowu to ja zrobiłem coś nie tak! – napisał sfrustrowany, kiedy mu to wypomniała.

– Maaike, no jakie to słowo? – pytam.

– Nazwał mnie swoją córką.

XIII

Dawca S. staje się Louisem

Przy którejś rozmowie Maaike dziwi się, kiedy używam sformułowania „Dawca S.”.

– Czemu tak go nazywasz? – pyta.

– Tak przedstawił się w artykule, z którego się o was dowiedziałem. Dawca S. „jak superfacet, superogier” – tłumaczę.

– Nie słyszałam, żeby kiedykolwiek tak o sobie mówił – stwierdza Maaike.

– To on? – pokazuję jej zdjęcie młodego mężczyzny, które ktoś zamieścił przy angielskim tłumaczeniu artykułu. Tego, o którym ktoś pisał, że „wygląda jak sprzedawca lemoniady pogryziony przez pszczoły”.

Ale człowieka na zdjęciu Maaike widzi pierwszy raz w życiu.

– Dawca S.? Brzmi jak z *Gwiezdnych wojen* – Henrik śmieje się jeszcze głośniejszym głosem niż Maaike, po czym obniża teatralnie głos. – Wiesz, wyobrażam sobie Dawcę S. w stroju Lorda Vadera, który pojawia się na ekranie i powoli zdejmuje maskę. „Henrik, I am your father!”. A ja mówię: „Mój Boże, to on! To mój tata”.

– To jak mam go nazywać? – pytam.

– Louis. Ma na imię Louis.

Mimo że Louis po tym, jak odwołałem spotkanie, nie był zbyt chętny na kolejne, wysłał mi list z historią swojej rodziny.

Oprócz imienia znam więc nazwisko.

Wydaje się ono szczególnie ważne dla Louisa: jest częścią historii rodziny, jedynej sprawy, która pasjonuje go tak mocno, że może opowiadać o niej godzinami. Ogłosił nawet, że jeśli ktokolwiek z Połówek zechce jego nazwisko przyjąć, przepisze na tę osobę cały swój majątek.

Pytam każdego z nich na osobności, czy tego nie rozważali. Odpowiadają solidarnie – nigdy! Zmiana nazwiska dla pieniędzy, wyłamanie się z grupy? Wykluczone.

Spędzam kilka nocy na ustalaniu, czy nazwisko Louisa coś znaczy.

Kiedy w 1863 skończyło się w Surinamie niewolnictwo, setki tysięcy ludzi potrzebowały nazwisk. Urzędnicy i dawni właściciele niewolników wymyślali je naprędce, używając różnych znanych sobie języków.

Do dziś przeciętny Holender odróżni, które nazwisko zostało wymyślone w dziewiętnastym wieku dla byłego niewolnika. Brzmiały one obco, czasem zabawnie.

Interesujących przykładów jest wiele: Aüsterlitz, Egalité, jak francuska równość, l’Espérance, jak nadzieja, czy Alliance, jak sojusz. Niektórzy dostawali nazwiska jak przydomki: Skarżypyta, Niesforny, Powolny, Lwica, Indianin,

Cynamonowe Serce.

W sprawie nazwiska piszę do dwóch językoznawców. Obaj zapewniają, że cokolwiek mi odpowiedzą, będzie to jedynie spekulacja.

Jeden spekuluje więc, że takie nazwisko mógłby ktoś nadać słabemu, chorowitemu dziecku, z życzeniem, żeby mimo niesprzyjających okoliczności przeżyło wiele lat.

Drugi spekuluje, że ta teoria jest zbyt romantyczna. Pewnie ktoś dwieście lat temu bawił się słowami.

Surinamskie nazwiska to słowa, w których litery dodawano, przestawiano sylaby. Na przykład jeśli właściciel niewolników nazywał się Lyons, jego ludzie mogli dostać nazwiska Lyonel, Lons, Lyos czy Snoyl.

Tak pewnie było i u Louisa. Odwracam więc jego nazwisko, przestawiam sylaby, litery, sprawdzam kolejne warianty.

W książce go podać nie mogę. Jest rzadkie i Połówki obawiają się, że jego ujawnienie spowoduje problemy.

Ale kiedy siedzę wieczorem nad tą lingwistyczną szaradą, odkrywam, że w jednym z języków nazwisko to po odpowiednim przestawieniu liter coś znaczy.

Jest w nim płomień, który będzie się tlił i nie zgaśnie. Jest łańcuch, do którego ktoś wciąż doczepia nowe ogniwa.

Jest powieść, która nigdy się nie kończy.

Louis pisze zbyt długi list

Nikt dziś nie pisze tak długich listów, to lektura na kilka podejść.

Dostaje go od Louisa każda osoba, która po potwierdzeniu przez FIOM zgodności DNA okazuje się jego biologicznym dzieckiem.

Wcześniej nie wiedzą nic. List jest pierwszym kontaktem. Może być też ostatnim: dzieje się tak wtedy, gdy ktoś z nich nie zechce spotkać się z Louisem na żywo i woli poprzestać na liście.

Czytam z uwagą. Odmówił mi raz spotkania, więc być może to dla mnie jedyna okazja, by poznać go bliżej.

Szanowny członku rodziny!

Z tego, co rozumiem, jesteś zainteresowany swoimi przodkami ze strony ojca.

Może dlatego, że kiedy stajesz przed lustrem, zastanawiasz się: Po kim, do cholery, mam ten łeb?! Jeśli wyglądasz tak, jak myślę czy może jak na to liczę, mogę udzielić ci na to pytanie odpowiedzi.

Ta twarz to konsekwencja zestawu dziedzicznych cech przekazywanych dość kompletnie przez wiele pokoleń. Niniejszym spróbuję Ci to zilustrować za pomocą kilku zeskanowanych przeze mnie zdjęć.

Zacznę od siebie. Załączam aktualne zdjęcie i drugie, z rodzicami, na którym mam dwa miesiące.

Urodziłem się w Holandii, ale gdy miałem osiem miesięcy, przeniosłem się wraz z rodzicami do surinamskiej wioski nad rzeką. Była w niej fabryka, w puszczy wydobywano surowiec do produkcji aluminium – boksyt (...). Mój ojciec pracował tam jako lekarz. Nie był to szczęśliwy czas. Małżeństwo rodziców było w rozsypce, a matka miała problemy ze zdrowiem. W połowie lat pięćdziesiątych przeprowadziła się ze mną na rok do Holandii, potem wróciliśmy na dwa lata do Surinamu, aż pewnego wrześniowego dnia wróciłem z nią do Holandii ostatecznie. Rodzice rozwiedli się w 1958 roku, ojciec został w Surinamie jeszcze kilka lat.

W 1962 roku matka wyszła ponownie za mąż za Willema, wdowca, który szukał kobiety, żeby zastąpiła jego najmłodszemu synowi zmarłą matkę. Chłopak też miał na imię Willem i wiekowo dzieliło nas (i dalej dzieli) siedem tygodni. Ta rodzina była dość szczęśliwa. Sympatyczni ludzie, z którymi dobrze się dogadywałem. Potrafiliśmy się razem śmiać, a to dla mnie bardzo ważne (...).

W 1964 również mój ojciec ożenił się po raz drugi. Z jego żoną się nie dogadywałem (...). Poza tym ojciec, jego żona oraz moja ciocia i babcia, czyli rodzina ze strony ojca, NIE ŚMIALI SIĘ z moich żartów. Dlatego przebywałem z nimi niechętnie i kontaktowałem się tylko dlatego, że musiałem (...).

Szkoła nigdy nie była przyjemna. Stres spowodowany problemami rodzinnymi sprawiał, że przez wiele lat miałem słabe oceny. Pomimo to ukończyłem liceum (dziś myślę, że było w tym więcej szczęścia niż rozumu). Ponieważ nie miałem zielonego pojęcia, kim chciałbym zostać, poszedłem na ekonomię – najmniej nieinteresujący kierunek, jaki był wówczas do wyboru. Nie było wtedy jeszcze uczelnianych dni otwartych ani akademickich tutorów, którzy mogliby coś doradzić.

Po paru latach miałem tego dość, poszedłem do pracy biurowej w banku w Rotterdamie, ale nigdy nie zrobiłem kariery (...). Jako dziecko czas spędzałem sam. Byłem jedynakiem, kiedy mieszkaliśmy w Surinamie, w sąsiedztwie nie było nikogo w moim wieku, więc nie miałem z kim się bawić. Stąd pewnie braki w umiejętnościach społecznych i zaległości w rozwoju, których nigdy już nie nadrobiłem.

Chyba dlatego wciąż jestem samotny. Miałem wprawdzie kilka dziewczyn, ale nie takich, z którymi chciałbym wziąć ślub.

Była jednak pewna zaleta tej sytuacji. Mogłem bez ograniczeń oddawać nasienie jako dawca i robiłem to wytrwale przez lata.

Popatrz na to w ten sposób: gdybym żył z jakąś kobietą, pewnie i tak zostałbym dawcą spermy, ale zdecydowanie nie na taką skalę.

Prawdopodobnie Ciebie nie byłoby wtedy na świecie.

Jak napisałem, jestem samotny. Nigdzie nie wychodzę wieczorem, znam bardzo niewiele osób (...). Zdecydowanie mam poczucie humoru i świra na punkcie gier słownych, szczególnie po angielsku. Często robię sarkastyczne uwagi.

Oczywiście nie każdy rozumie i ceni sobie mój humor.

Mam pewną dozę kreatywności. Dla szefa w banku stworzyłem kiedyś projekt designu do formularzy. Dla mojego klubu pisałem artykuły o grach planszowych, kiedyś napisałem nawet opowiadanie.

Cieszę się dobrym zdrowiem. Mój najslabszy punkt to uzębienie. Dość dużo plomb i ukruszonych zębów, ale dzięki koronkom da się jakoś żyć. Z tego, co wiem, nie przechodziłem żadnych chorób dziecięcych, jedyny raz w szpitalu byłem w 1954 roku, gdy wycinali mi migdałki.

Grypa? Nigdy w życiu. Przeziębiam się tylko raz w roku, to coś jak coroczne oczyszczenie, gdy jesienią spada temperatura. Nieuniknione, ale dzięki saunie i medycynie naturalnej niezbyt uciążliwe.

W ostatnich kilku latach miewam kołatania serca, ale łykam na to tabletki, działają dobrze.

Pomimo to – kilka ostrzeżeń.

W rodzinie występuje cukrzyca, na szczęście łagodnego typu. Mimo wszystko ostrożnie z ilością cukru. Wydaje się to szkodliwe dla trzustki.

Oprócz tego musisz uważać na wagę. Mój ojciec i ja nie mieliśmy specjalnych problemów, ale kobiety w obu liniach rodziny były grubaskami!

Możliwe, że będziesz cierpieć na żylaki. One też pojawiały się po obu stronach rodziny.

Teraz coś poważniejszego. Babcia i ciocia chorowały na raka piersi. Obie były operowane i po wycięciu nowotworu żyły jeszcze wiele lat. Według lekarza z dalszej rodziny to dziedziczne, ale najprawdopodobniej ja nie mogę przekazać tego genu. Dziedziczenie odbywa się poprzez chromosom X, którego jako syn babci nie otrzymałem.

Jednakże moja mama i jej siostra zmarły na raka, a ich matka oraz jej najmłodsza siostra miały raka szyjki macicy. Babcia była operowana i przeżyła grubo ponad osiemdziesiąt lat. Ciocia zmarła z powodu nowotworu, ale mniej więcej w tym samym wieku.

Dla porządku: NIE WIEDZIAŁEM TEGO WSZYSTKIEGO, GDY BYŁEM DAWCĄ NASIENIA. Usłyszałem o tym wiele lat później, gdy postanowiłem zdobyć więcej informacji o mojej rodzinie.

Mimo to nie ma powodów do niepokoju. Wprawdzie moi rodzice zmarli w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, ale wielu członków rodziny dożyło osiemdziesiątego, a często też dziewięćdziesiątego roku życia.

Mówią, że jestem znany jako osoba uparta i przemyślana. To oczywiście brednie. Po prostu robię rzeczy na Swoj Sposób. Szkoda tylko, że to zwykle taki sposób działania, którego inni ludzie nie rozumieją.

Nauczyłem się zwracać innym uwagę na swoje granice. Nikomu nie pozwalam wchodzić sobie na głowę. Moje „nie” jest i pozostanie „nie”, nieważne,

jakie będą tego konsekwencje.

Również tego ludzie często nie rozumieją.

Louis dodaje do opowieści zdjęcia rodziny i swoje własne w dwóch wersjach: sprzed siedemnastu lat z brodą i dzisiaj, bez niej. Prosi adresata listu, by ocenił samodzielnie, w której wersji wygląda przystojniej.

Potem przedstawia drzewo genealogiczne. O swoich rodzicach pisze „babcia” i „dziadek”. Uznaje, że jego biologiczne dzieci tak właśnie by się do nich zwracały. Podaje dziesiątki szczegółów dotyczących każdego z przodków.

Babcia Grietje: holenderska pielęgniarka; na misji w Surinamie poznała dziadka Fransa; harcerka; chodziła do kościoła; nie lubiła wizyt towarzyskich; chętnie opowiadała historyjki i pokazywała przeźrocza. Na jej pogrzebie była tylko rodzina.

Dziadek Frans: surinamski lekarz; Louis był jego jedynym dzieckiem; ślub z babcią Grietje wziął tuż po wojnie; rozwód w 1958; po przeprowadzce do Holandii był doradcą w kasach chorych; miał wielu znajomych, którzy często u niego nocowali; zmarł na zawał. Na jego pogrzebie była spora grupa przyjaciół.

Moi rodzice byli chyba ludźmi, którzy nie potrafili dać drugiej osobie ciepła, choć sami go szukali. Nigdy nie doświadczyłem z ich strony uczuć. Pewnie sam ich w sobie nie mam. Brzmi znajomo? – pyta Louis.

Zależy mu, żeby Maaïke, Henrik, Amanda czy każde inne biologiczne dziecko mogło obejrzeć zdjęcia i portrety.

By mogło poznać ich wszystkich.

Ciocie Marie, surinamską nauczycielkę, która podczas wojny przekazywała jedzenie potrzebującym, po wojnie wyjechała do Holandii i nigdy nie wyszła za mąż, a na której pogrzebie było tłoczno, zobaczył tam sporo nieznanych surinamskich krewnych, których nigdy później nie spotkał.

Babcię Lucię, córkę surinamskiego aptekarza, której zależało na statusie społecznym i wstydziała się swoich czarnych korzeni, nigdy nie zajmowała się gospodarstwem domowym, ale świetnie haftowała.

Kolejną babcię, która malowała krajobrazy. Kolejnego dziadka, który był nauczycielem francuskiego.

Louis opisuje ich, bo uważa, że każdy będzie chciał się dowiedzieć, „po kim, do cholery, ma ten łeb”.

Choć zakładam z góry, że mnie przypominasz, może być zupełnie inaczej. Dlatego chciałbym ci pokazać zdjęcie rodziców mojej matki. Ta babcia ma twarz, która występuje w naszej rodzinie często. Nie znam natomiast nikogo, kto przypomina dziadka, za to wiem, że miał rude włosy. To też mogłeś odziedziczyć. (...) Naturalnie to bardzo możliwe, że jesteś podobny nie do mnie, ale do mojej matki. Jako dziecko była typem rudzielca z mnóstwem piegów, choć włosy miała ciemne. Tuż przed śmiercią ufarbowała je, nawiasem mówiąc, na rudobrzozowo.

A ja zawsze miałem słabość do piegowatych kobiet o ciemnych włosach.

Załączam jej zdjęcie, kiedy miała sześćdziesiąt pięć lat. Jest na nim z moim ojczymem, który był wtedy o dziesięć lat starszy.

Na kolejnych stronach Louis opisuje najdawniejsze korzenie swojej rodziny.

Opowiada o praprababci Luci, surinamskiej niewolnicy, która w wieku dziewiętnastu lat dowiedziała się, że pan zapisał jej w testamencie wolność. Niestety, nie miała pieniędzy i żeby opłacić koszty administracyjne, musiała jako niewolnica przejść na kilka lat do pewnego Żyda.

Kiedy miała wystarczającą sumę, porzuciła służbę i wyjechała z urodzonym w tym czasie synkiem Isaakiem. Było oczywiste, że ojcem tego dziecka był pan domu (...), można więc założyć, że płynie w nas również krew żydowska (kibicujesz może Ajaxowi Amsterdam? czy nie?).

Wskazywałaby na to również opinia niektórych osób, że mam semickie rysy, oraz to, że moja babcia opowiadała z ogromnym oburzeniem o „obrzydlivościach, które Żydzi robili ze swoimi niewolnicami”. (...) Lucie zmarła w roku 1840, a jej synowie poszli do sierocińca. Isaac otrzymał specjalną opiekę, prawdopodobnie ze względu na swojego ojca. Zdobył dobre wykształcenie i dorobił się posady naczelnika kilku surinamskich dystryktów, czyli odpowiedników gmin lub powiatów.

Całkiem nieźle jak na dziecko niewolnicy.

Niewolnicze korzenie Louis podkreśla kilkakrotnie. Omówienie swoich przodków kończy apelem do każdego z biologicznych dzieci:

Pochodzimy od surinamskich niewolników. Od ludzi, którzy zostali wywiezieni z Afryki, przetransportowani w piekielnych warunkach do Surinamu, gdzie byli wykorzystywani z pokolenia na pokolenie. Chociaż moi pradziadowie już przed 1863 rokiem byli wolnymi ludźmi, to świętowanie 1 lipca Keti Koti, rocznicy zniesienia niewolnictwa, obowiązuje również nas!

Kolejna część listu dotyczy zespołu Aspergera. Louis potwierdza, że cierpi na tę przypadłość, i tłumaczy, jak sobie z nią radzi.

Oznacza ona w moim wypadku, że:

- jestem bardzo racjonalny,*
- jestem wprawdzie świadomy moich uczuć, ale naprawdę odczuwam je, tylko kiedy są bardzo silne. I to tylko te nieprzyjemne,*
- mam trudności z relacjami,*
- jestem bardzo przywiązany do struktur, spisów, kontroli i bezpieczeństwa,*
- mój dom jest moją bezpieczną strefą, więc nigdy nie wyjeżdżam na wakacje,*
- jestem nudny, ponieważ mam jedynie ograniczone zainteresowania, hobby, których nie dzielą ze mną inni ludzie.*

Ale nauczyłem się, jak obchodzić się z ludźmi i jak muszę się komunikować.

Nie powinienem niepytany:

– dawać innym rad,

– przedstawiać, jakie jest moje zdanie,

– wyrażać aprobaty (Mam tak samo! Wiesz... bla, bla, bla).

Nauczyłem się trzymać język za zębami, nie narzucać się i nie dominować w dyskusji. Mimo to rzadko idę do kogoś z wizytą.

Moi rodzice również musieli mieć aspergera. Ale przede wszystkim (Twój dziadek odgrywał swoją rolę perfekcyjnie, tak że nikt tego nie widział.

Po dwóch latach i spotkaniu kilku Połówek dopisuje w liście do nowych potencjalnych dzieci:

W międzyczasie dowiedziałem się, że również pośród Was występuje asperger. Przepraszam, jeśli też go masz, ale trzydzieści lat temu takie rzeczy w ogóle nie były brane pod uwagę. (...) Jest jeszcze jedna rzecz, która mi się nie podoba. Zarówno mój pradziadek, dziadek, ojciec, jak i ja dorastaliśmy po części bez ojca. Zdarzało się to również wiele razy w rodzinie ze strony babci.

Jeśli na przykład jesteś dzieckiem dwóch matek, również nie miałeś nigdy ojca. Uważaj i postaraj się nie powtórzyć tego w przyszłości, bo wygląda to na jakąś klątwę.

Louisa szokuje, że z dziesiątki dzieci, które poznał, nikt nie ma typowej dla jego rodziny twarzy, rysów i spojrzenia:

To prawda, jest wiele innych podobieństw. Kolor oczu, ich oprawa, stopy (pokaźny rozmiar dużego palca u nogi), dość długi palec wskazujący, usta, uszy. I przede wszystkim: sposób bycia.

Odnotowuje, że część Połówek ma śniadą skórę, a część prawie białą. Niektórzy mają jego brązowe oczy, ale są tacy, którzy odziedziczyli niebiesko-brązowe po babci Grietje.

Najbardziej dziwi go jednak co innego: dlaczego oni są bardziej podobni do siebie nawzajem niż do niego?

Po ośmiu stronach wypełnionych danymi, datami, nazwiskami i zdjęciami list kończy się tak:

Mam nadzieję, że odnalazłeś w tym tekście informacje, które Ci się przydadzą. Może punkty rozpoznawcze.

W każdym razie, JEŚLI mnie przypominasz, wiesz już, po kim masz swoją twarz.

Historia tej twarzy sięga przynajmniej cztery pokolenia wstecz. Mam nadzieję, że Ty będziesz w stanie dodać do niej kolejne. Oczywiście metodą naturalną, ona jest jednak naprawdę najprzyjemniejsza.

Liczę, że prędko Cię spotkam. Czekam na to z dużą ciekawością.

Z pozdrowieniami

Twój przodek Louis

listopad 2011

PS

Możesz powiększyć załączone zdjęcia, przeciągając punkty na ekranie. Tekst napisany jest czcionką Arial, rozmiar 10.

Numer 2432 poznaje 1236

Dla Amandy list Louisa to tylko rezultat autystycznej fascynacji samym sobą. Przeczytała kiedyś parę linijek, pomyślała, że nic jej z opisanymi ludźmi nie łączy. Zresztą czy to takie fajne dowiedzieć się, że w biologicznej rodzinie ktoś chorował na raka piersi? Gdyby tego nie wiedziała, nie żyłaby z myślą, że ma większą szansę na nowotwór.

Bjornowi list się spodobał. Przypomniawszy mu zadanie domowe z dzieciństwa, kiedy nie mógł zmusić się do zebrania informacji o rodzinie swojego ojca. Gdyby wiedział wtedy, że jest z dawcy, i miał ten list, nie musiałby się męczyć.

– Każdy dawca pisze list powitalny? – pytam Hansa van Hooffa z FIOM, który od pięciu lat zajmuje się łączeniem zgłaszających się mężczyzn z ich biologicznymi dziećmi.

– Mamy zestaw informacji, które proponujemy przekazać dzieciom. Dłuższy list to już inwencja indywidualna – odpowiada. – Spotkanie twarzą w twarz to z kolei nieobowiązkowy dodatek, choć do tej pory wszyscy dawcy, którzy odnaleźli dzięki nam dzieci, zgodzili się też na spotkanie. Dawcy z dziećmi widzą się zwykle raz. To ważne dla ustawowych rodziców. Bezpłodni ojcowie dostają w ten sposób sygnał, że dawca nie jest dla nich zagrożeniem. A dawcy sygnał, że to nie będą ich dzieci. Przynajmniej w teorii. Do przekazania informacji potrzebna jest wola obu stron. Gdy w dowolnym momencie dawca zechce wypisać się z bazy, musimy wykasować jego dane.

– Dlaczego ktoś miałby się wycofywać? – pytam.

– Nasi pracownicy widzą, że niektórzy dawcy przy kolejnych dzieciach mają coraz mniejszy entuzjazm. Mówią, że to uciążliwe tak przychodzić i przychodzić – nigdy nie wiadomo, kiedy zadzwonimy, że oto odnalazło się kolejne dziecko. Pierwsza informacja o tym, że znaleźliśmy zgodność, jest ekscytująca. Ale wiadomość, że odnalazło się dwudzieste biologiczne dziecko, dla niektórych może być...

– Przeróżająca?

– Nie – śmieje się van Hooff. – Raczej nudna.

Kiedy przypisanych do jednego dawcy dzieci przybywa, pojawiają się trzy problemy.

Pierwszy to powtarzalność: opowiadanie tej samej historii, zawsze te same pytania. Rzadko różnią się od standardowych: kim jesteś? gdzie pracujesz? czemu zostałeś dawcą?

Drugi to różnica entuzjazmu: dawca może mieć za sobą tyle spotkań, że na myśl o kolejnym ziewa, ale nowo odnalezione dziecko jest tak samo podekscytowane lub zdenerwowane jak pierwsze. Po prostu później się zgłosiło, może było młodsze? Powinno mieć podobne szanse na poznanie biologicznego ojca.

Trzeci problem to proza życia: im więcej czasu dawcy poświęcają na takie spotkania, tym bardziej cierpią ich obecne rodziny. Przykład: małżeństwo nie ma dzieci z powodu bezpłodności żony, a mąż odkrywa, że ma dwóch synów z dawstwa, i dzieli się radośnie tą informacją z żoną. A przecież nigdy jej nie powiedział, że był dawcą spermy.

Nawet jeśli mężczyzna nie założył rodziny, ma rodziców, którzy nie zawsze dobrze reagują na fakt, że przybywają im nowe biologiczne wnuki i wnuczki.

Dlatego FIOM wymyślił film.

Podczas pierwszego spotkania dawca nagrywałby podstawowe informacje i odpowiedzi na pytania, które zwykle padają: zdrowie, wykształcenie, inne dzieci, małżeństwo, rodzina. Kolejne zgłaszające się biologiczne dzieci zobaczą w ten sposób twarz, usłyszą głos, sprawdzą, czy są podobni fizycznie. I to nawet w wypadku, gdy dawca już nie żyje.

– Wciąż zastanawiamy się, jak rozwiązać kwestię prywatności – opowiada van Hooff. – Nie chcemy, żeby taki film dostał się w niepowołane ręce albo wylądował na Facebooku. Starsi dawcy nie wiedzą, jakie piekło może się rozpętać, kiedy nagranie pójdzie w świat. Ich też musimy trochę chronić. Planujemy, żeby osoba, która ma zgodność z danym dawcą, mogła obejrzeć wideo, ale kopii filmu nie dostanie ani nie będzie jej wolno nagrywać nic na komórkę.

Spytaliśmy już pierwszych dawców, czy chcieliby przygotować takie wideo. Jesteśmy przecież świadomi, że w wypadku niektórych dzieci, które zarejestrują się w przyszłości, to może być jedyny sposób, żeby poznać dawcę.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo dziś wiemy już, że niektórzy dawcy mogą mieć dwie setki dzieci – uśmiecha się van Hooff.

Siedzimy w biurze FIOM w Den Bosch.

Magiczne laboratorium, w którym dwie sekwencje DNA w przezroczystej maszynie odnajdują się po latach rozłąki, wyskakuje napis „ZGODNOŚĆ”, pojawia się kolorowa łuna, może coś wybucha – tak to sobie wyobrażałem.

A tu tylko metalowe szafki, szuflady, stopy segregatorów wypełnione dokumentami, w których każdy człowiek ma numer. Laboratorium w Nijmegen wysłało do Den Bosch informację, że oto numer 2432 wykazuje zgodność z 1236. I po magii.

Badania trwają niekiedy miesiącami, ludzie się niecierpliwią.

– Dzisiejsza młodzież – śmieje się van Hooff – chciałaby mieć wszystko od

razu i najchętniej za darmo. Nawet biologicznego ojca. Moja odpowiedź jest prosta: my tylko pomagamy, a wy powinniście lobbować u polityków, w rządzie. To oni obcinają nam fundusze.

Zgłaszający się narzekają też na ceny. Niby sto pięćdziesiąt euro dla dawcy i dwieście pięćdziesiąt dla dziecka za pewność o biologicznym pochodzeniu to niedużo. Ale ludzie nie rozumieją, dlaczego mają płacić za zaniedbania klinik sprzed lat. Najbardziej kontrowersyjne jest to, że dzieci urodzone po 2004 roku, kiedy wprowadzono prawo znoszące anonimowość, dostają refundację wszelkich kosztów. Urodzeni przed 2004 muszą płacić.

Pierwszym celem bazy danych DNA było połączenie spokrewnionych ze sobą osób. Po przebadaniu setki osób pracownicy zauważyli, że gdy zgłaszają się rodzeństwa z jednej matki, nie zawsze występuje zgodność.

Oznaczało to, że mimo obietnic lekarzy dzieci miały różnych dawców. Tak było w wypadku aż dwudziestu czterech z trzydziestu czterech osób.

„Nie nazwałbym tego dezinformacją kobiet. Kliniki leczenia niepłodności w Holandii najzwyczajniej w świecie robiły je w balona!” – grzmiał wtedy szef FIOM w jednym z programów telewizyjnych.

– Nie wycofuje się pan z tych słów? – pytam.

– Szefowie klinik krytykowali mnie za to. Ale niczego nie cofam: takie sytuacje odkryliśmy w każdym z banków nasienia, które zbadaliśmy. Inna sprawa, że część klinik występuje na naszej liście raz, może przypadkiem, a część ma więcej na sumieniu.

– Są duże różnice?

– Jest jedna klinika, która przoduje na każdej takiej liście. Zna pan jej nazwę – uśmiecha się.

Pytam wprost o plotkę, którą słyszałem od kilku osób z grona dzieci dawców.

– Czy zakładacie, że ojcem biologicznym jednej z grup dzieci w bazie może być Jan Karbaat?

Hans van Hooff rozkłada ręce.

– Rozumie pan, że oficjalnie nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Monique szuka kryminalisty

Kelnerka w pełnym skupieniu, patrząc uważnie na tacę, podmienia mi pustą już szklankę miętowej herbaty na kawę i ciastko. Nie planowałem tego ciastka. Ale kiedy powiedziałem, że nie chcę nic do jedzenia, dziewczyna w czarnym służbowym fartuszkowi zrobiła minę w podkówkę, wyraźnie nie umiając ukryć rozczarowania.

– Może jednak? – puszcza oko Monique, bo to z nią się tu spotkałem. Zamawiam więc czekoladowe ciastko.

Monique ma ciemnorude włosy z równiutką grzywką, oczy koloru bardzo smutny błękit, ale uśmiech łobuzerski. Szczególnie wtedy, gdy pokazuje mi kolaże, które robi w wolnym czasie – do zdjęć dorysowuje szczegóły i komiksowe dymki.

Zdjęcie doktora Karbaata z dorysowanymi słómkami w dłoni, napisem „wyprzedaż” i dymkiem: *Pani kochana, tylko dziś! Jedną kupujesz, trzy otrzymujesz! Na miejscu czy na wynos?*

Kadr z filmu, na którym Karbaat ze współpracownicą wybierają dla kobiety dawcę z katalogu. Dymek: *Weźmy tego... użyłem jego nasienia ledwie sto razy, w dodatku jest zupełnie niepodobny do męża tej pani!*

Zdjęcie Karbaata z zafrasowaną miną. Dymek: *Archiwum, mówi pani? Nie, nic na ten temat nie wiem.*

– Sądzisz, że to już obsesja? – uśmiecha się Monique i trzepocze rękami.

Niektórzy tak by to nazwali. Bo kto zrozumie kobietę po trzydziestce, która zamiast w wolnym czasie, powiedzmy, biegać, uprawiać jogę, oglądać seriale, podróżować lub robić cokolwiek innego, czym zajmują się w Holandii jej rówieśnice, siedzi nocami w internetowych archiwach prasowych, czytając kolejne artykuły, w których pojawia się Jan Karbaat?

Kto zrozumie, że zamiast planować wakacje albo umawiać się na randki, można ustalać, w którym roku Karbaat awansował na dyrektora szpitala w Rotterdamie? kiedy zdał na medycynę? o czym opowiadał w wywiadach? Przeplatać te poszukiwania z rzadka jakimś spotkaniem z osobami, które same zostały poczęte w Barendrechcie?

Kto?

Ja. Bo zajmuję się od półtora roku dokładnie tym samym.

Słyszałam o Tobie od innych dzieci z dawców. Czekałam, kiedy się odezwiesz – odpisała na pierwszą wiadomość.

Teraz siedzimy przy stoliku, nadprogramowe ciastko znika z mojego talerza, a Monique opowiada:

– Moja mama wzięła ślub z chłopakiem z sąsiedztwa, miał na imię John, ale

małżeństwo się nie układało, bo, jak mawiała mama, „John był kryminalistą”. Wymuszenia, handel bronią, znikanie na całe dni z domu. W końcu wpadł za kradzież, dostał cztery lata. Ona, naiwna, czekała. Wiedziała od ludzi, że kilkakrotnie ją zdradził, ale czekała. Potem mówiła, że to teściowa wywierała na nią nacisk. Ale cztery lata? To chyba było fatalne zauroczenie.

Był drugi powód – zawsze chciała mieć dzieci.

Dlatego kiedy tylko John wyszedł, zaczęli się o nie starać i, ups, niestety okazało się, że jest bezpłodny! Karbaata polecił jej ginekolog. Zapewnił, że to najlepszy specjalista w kraju. Był 1979 rok, więc trafiła jeszcze do szpitala Zuiderziekenhuis, gdzie był dyrektorem.

„Jeśli za rok będę chciała kolejne dziecko, dostanę tego samego dawcę?” – spytała. „Tego samego” – zapewnił Karbaat i serdecznie się uśmiechnął.

Umiał rozmawiać z kobietami. Mama zapamiętała, że komplementował jej paznokcie, ładny lakier. Minęło trzydzieści pięć lat, a ona wciąż na myśl o tym komplemente błogo się uśmiecha. Urodził się Erik, mój brat. Po roku chciała mieć kolejne dziecko, pojechała do szpitala, ale on już tam nie pracował. Szukała, szukała, aż znalazła Centrum Medyczne Bijdorp.

– Dostała paszport dawcy? – pytam.

– Nie, dała mu tylko gotówkę do ręki. Nie wydał jej nawet paragonu, choć było to obowiązkowe. Ale nie wnikała głębiej, przecież lekarz wie, co robi. Przekonał ją też bez problemu, by nigdy nam nie mówiła, że jesteśmy z dawcy.

Do pewnego momentu tak właśnie było.

Z Johnem żyła jeszcze dwa lata, gość żerował na jej pensji. Kiedy się urodziłam, już nawet z nami nie mieszkał, przychodził tylko czasem pożyczać pieniądze. Któregoś razu mama wkurzyła się i spytała, czy jeśli mu da tysiąc guldenów, to sobie wreszcie pójdzie i nigdy więcej nie wróci.

Poszedł i nigdy więcej nie wrócił.

Ale ja, niestety, zawsze byłam tego faceta ciekawa.

Wiedziałam, że mieszka w Bredzie. Poprosiłam koleżankę z tego miasta, żeby skopiowała mi lokalną książkę telefoniczną z numerami na takie nazwisko jak jego. Wybierałam po kolei numery. I dodzwoniłam się do jednego faceta. Spytałam: „Czy to John?”, a kiedy odpowiedział: „Tak!”, z wrażenia się rozłączyłam. Poszukiwania skończyły się tak, że kopię książki telefonicznej znalazła mama.

„Czy chcesz o czymś porozmawiać?” – spytała.

„Nie, nie, zapomnijmy o tym” – zbyłam ją, bo bałam się powiedzieć prawdę, że chcę poznać mojego ojca!

Niedługo potem przyniosła mi magazyn z artykułem o dziewczynie, która była poczęta z nasienia anonimowego dawcy.

„Po co mi dajesz do czytania takie pierdoły?” – spytałam.

Tak się czasem odpowiada matce, jak się ma szesnaście lat. Wtedy powiedziała mi wprost, że jestem z dawcy, a mnie opadła szczęka.

To kto jest moim ojcem? Nie John?

Powiedziała, że o dawcy wie tyle, ile powiedział jej Karbaat.

– Czyli co dokładnie? – pytam Monique.

– Że był podobny do Johna, którego nawet nie widział. Może jeszcze to, co innym: ciemnobrązowe oczy, południowa Limburgia, dwójka dzieci, praca w banku...

– ..., „nie popiera niczego, co jest wbrew naturze”? – cytuję z pamięci fragment paszportu Louisa.

– Tak jest w tych paszportach? Ten dowcipniś Karbaat wciąż mnie zaskakuje – uśmiecha się. – Napisałam do kliniki, żeby spytać, czy są dokumenty dotyczące mojej mamy i dawcy.

– Co odpisał? – pytam, choć już wiem, co odpowie Monique.

– „Przykro mi, ale wszystkie dane zostały zniszczone rok temu, to nie Pani wina, takie było prawo”. Nie napisał tego Karbaat, tylko jego najmłodsza córka, pracownica kliniki. Trochę mnie zdenerwowało, że na tak ważne pytania udziela odpowiedzi jeden z domowników. Ale zadałam jej kolejne pytania:

Czy gdybym zgłosiła się wcześniej, mogłabym dostać dokumenty mamy? Dlaczego niszczyliście dokumentację, zanim dziecko dowiedziało się, że jest z dawcy? Co, jeśli dawca zmieniłby dzisiaj zdanie i chciał się ujawnić? Czy dawcy byli zwykle lekarzami i studentami medycyny, czy też mieli różne zawody? Czy dostawali wypłaty, czy tylko zwrot kosztów podróży? Poznałam chłopaka, który jest do mnie podobny, ale poczęty w innej klinice – czy to możliwe, że dawcy oddawali nasienie w kilku klinikach?

Córka Karbaata odpisała, że jeśli dawca chciałby Monique poznać, już by to zrobił. Dane były tajne i nie można ich zdradzać. Dawcy pochodzili z różnych środowisk, ale nie słyszała, żeby ktoś zmienił zdanie co do anonimowości. Każda kobieta mogła dostać paszport dawcy, jeśli o to poprosiła. „Widocznie Pani matka nie wiedziała, że mogła go dostać”, zakończyła.

– Trochę później odnalazłam Johna – mówi Monique. – Moja mama nie wiedziała nic, więc wzięłam sprawę w swoje ręce. Słyszałam o nim od mamy jedynie złe rzeczy: że to łajdak i kryminalista.

Musiałam sprawdzić, czy to prawda. Wiem, wiem, komu by się chciało tak długo szukać. Ale to kwestia uporów, wytrwałości, masz to w sobie albo nie masz. Taki wewnętrzny głos, który mówi: „Idź do przodu, nie zatrzymuj się”.

Znalazłam w internecie ogłoszenie podpisane jego nazwiskiem. Autor postu chciał wynająć adres do korespondencji, coś w rodzaju skrytki pocztowej przypisanej do domu, w którym nie mieszkał.

Brzmi jak łajdak i kryminalista, uśmiechnęłam się do siebie. Napisałam mu

wiadomość, że może wynająć moją skrzynkę pocztową, podpisałam nawet swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

Jakoś nie powiązał faktów.

Postanowiłam dać mu szansę: *Czy moje nazwisko z czymś Ci się nie kojarzy?*

Tak, oczywiście! Twój ojciec miał taki mały bar, chodziłem tam..., napisał.

Niezupełnie, John, odpowiedziałam i parę dni później byłam już spakowana, żeby pojechać do niego do Belgii.

Czekali na mnie we dwoje, on i jego młodsza o kilka lat partnerka o wyglądzie małego, wystraszonego chłopca.

Więc to on. Po dawnych rudych lokach Johna nie było śladu. Przedemną stał siwiutki pan w okularach, z lekką nadwagą.

Mieszkali w apartamencie należącym do rodziców kobiety.

Pomyślałam: Oj, cwaniaczku, żyjesz sobie na koszt kolejnej, i miałam rację. Opowiadał, że zanim się poznali, był żonaty z jakąś inną bogatą kobietą.

Przeszliśmy przez garaż, w którym walało się mnóstwo mebli, które John naprawiał i sprzedawał. W salonie na górze wisiały abstrakcyjne obrazy, to ona je namiętnie kupowała. Krzesła i brązowa kanapa śmierdziały kocimi szczynami. Koty biegały po tarasie, który wyglądał jak wielka szklana klatka.

Powiedział, że z tym barem to mnie tylko testował. Sprawdzał, czy ja to ja, bo nie uwierzył, że mogłabym chcieć go odnaleźć.

Spytałam, czy nie sądzi, że jest strasznym dupkiem, który zostawił żonę i dwójkę dzieci.

Tadam! I to było to, szach mat. Blask z przeszłości, jakby zamkniętą dawno książkę ktoś otworzył mu tuż przed oczami.

Rozpłakał się. Mówił, że się starał, że to nie jego wina. Że chciał mieć z nami kontakt, nawet zabierać nas na weekendy, ale jak zabierać, skoro policja i Interpol ciągle obserwowały jego dom?

Uniosłam brwi, a on mówił dalej.

Że jest poszukiwany. Może przyjechać kiedyś do mojego miasteczka na rowerze, pójdziemy do dowolnego komisariatu i zobaczą, że policjanci od razu go zamkną! Tylko muszę najpierw obiecać, że na czas aresztu popilnuję tego roweru, bo mu ukradną.

Chciał mi zaimponować gangsterskimi historiami, jak to był handlarzem broni, brał udział w strzelaninach, jak policja poprosiła go o pokazowy napad na bank.

Popatrzyłam najpierw na kobietę, z którą mieszkał. Od początku spotkania złapała kolejne piwa, teraz zasnęła nad szklanką. Potem przyjrzałam się jeszcze raz jemu, dokładnie. Na prawej ręce miał więzienny tatuaż, serce przebite mieczem.

Na koniec powiedział, że moja mama kłamie i na pewno jestem jego biologiczną córką. Nie chciał przyznać, że jest bezpłodny, to przecież takie mało

gangsterskie.

Cóż, typowa męska logika. Dlatego właśnie jestem singielką.

Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie, pożegnałam się i sobie poszłam.

– Późnym latem 2014 roku zadzwoniłam do Karbaata. Inna dziewczyna spłodzona w klinice pisała na wspólnej grupie, że telefon odbiera zwykle jego żona i mówi, że Karbaat jest już stary, chory i nie będzie rozmawiał.

To ciekawe, bo ze mną jakoś porozmawiał i nie brzmiał jak umierający, pomyślałam.

– Pojechałam tam, zobaczyłam, jak ogrodnik odjeżdża z posesji, postanowiłam, że najpierw zatelefonuję, bo kiedyś znalazłam do niego numer. Odebrał, a gdy spytałam, czy jest w domu, powiedział, że jest na wakacjach w Zelandii, gdzie ma domek letniskowy.

„A w jakiej sprawie dzwonisz?” – spytał.

Zagrałam głupią: „Bardzo bym była wdzięczna za jakiegokolwiek informacje o moim biologicznym ojcu”.

„Mogłabyś wysłać mi list?” – poprosił i obiecał, że jeszcze raz zajrzy razem z asystentką do archiwum.

Dziwne, kilka lat wcześniej jego córka napisała, że dokumenty są zniszczone.

Napisałam list, załączyłam fotografie, moje i mojego brata. Opisałam, co wiem od mamy, w jakich latach była w klinice, poprosiłam jeszcze raz o pomoc. Nawet jeśli dokumenty są zniszczone, może pamięta cokolwiek na temat naszego dawcy.

„Naszego”, tak napisałam. Wtedy byłam jeszcze pewna, że ja i mój brat mamy tego samego, tak obiecał mamie Karbaat.

Poczekalam kilka dni, długo nie odbierał, aż nieoczekiwanie oddzwonił.

„Spędziłem ponad trzy godziny w archiwum i nic nie znalazłem” – zapewniał.

„To chyba zostaje tylko rejestracja w bazie FIOM, co, panie doktorze?” – zapytałam. – Sporo dawców z pana kliniki już się tam zapisało”.

„Tak? A to ciekawe” – powiedział.

Fajnie nam się gadało, bardzo przyjacielsko: ja udawałam kompletną idiotkę, on udawał kompletnego idiotę.

Jeszcze do ciebie wrócę, przyjacielu, pomyślałam.

Na początku 2015 roku zarejestrowałam się we FIOM, po paru miesiącach namówiłam brata. Pracownik socjalny, który do mnie oddzwonił po kilku miesiącach, miał łagodny, lekko zaniepokojony, bardzo współczujący głos, kiedy wypowiadał to zdanie: „Pani brat nie jest pani pełnym bratem”.

Niefajne uczucie. Okazało się, że mamy innych dawców, żaden z nich nie zapisał się jeszcze do bazy. Dla mnie to było potwierdzenie wszystkiego, co

wiedziałam od dawna. Dla mojego brata – szok. Zadzwoiłam do mamy, powiedziała: „Ech, tak czułam, że macie innych biologicznych ojców. Ale łudziłam się, że to jednak nieprawda”.

Po tygodniu zadzwonili znowu. Co jest, sprawdzają, czy nic sobie nie zrobiłam po tej ostatniej informacji, pomyślałam zniecierpliwiona.

A tu – niespodzianka! Powiedzieli, że znaleźli moje dwie półsiostry. Kilka tygodni później – że już cztery.

Zabawne, jeszcze niedawno miałam jednego brata, a teraz nie mam żadnego, za to mam cztery półsiostry i jednego półbrata.

Poznałyśmy się we FIOM, był ciepły dzień. Wzięłam ze sobą brata, trochę dla wsparcia psychicznego, ale też aby wiedział na przyszłość, że to wszystko może przydarzyć się i jemu.

Wtedy pomyślałam, że choć dopiero po trzydziestu trzech latach nagle z brata stał się moim półbratem, w jakiś sposób czułam to wcześniej.

Nasze poglądy: on bardziej w prawo, ja na lewo. Jako nastolatki: on obcięty na łyso, z holenderską flagą na rękawie i kumplami wierzącymi w Białą Siłę. Ja zawsze w towarzystwie ciemnoskórych, Marokańczyków, Indonezyjczyków. Chętnie wyjeżdżałam za granicę, on robił to tylko, kiedy musiał. Słucha hardkorowego house’u, ja raczej r’n’b i hip-hopu. Przez lata nie mogliśmy wytrzymać razem w jednym pokoju bez kłótni. I nagle to, że jesteśmy z innych dawców, pomogło nam jakoś to zrozumieć.

Wspólne poszukiwania naprawdę nas połączyły: oboje zostaliśmy postawieni w tej samej sytuacji, tak samo przez nią zaskoczeni. Co z naszą rodziną? Jak pogodzić ciekawość korzeni z lojalnością wobec mamy? Co się stanie, kiedy już znajdziemy?

Dorośliśmy. I chyba nigdy wcześniej nie byliśmy tak bardzo rodzeństwem.

– Kiedy weszliśmy do budynku – kontynuuje opowieść Monique – zażartował po chamsku z siedzącej w poczekalni dziewczyny.

„Zamknij się, to może być moja siostra” – szturchnęłam go, ale nie odważyłam się nawet spojrzeć jej w oczy, porównać. Pracownik podszedł do mnie i dziewczyny i spytał, czy możemy pójść z nim na górę.

„Razem? – spytałam. – Czy ona jest moją siostrą?”

„To jeszcze nikt wam nie mówił? Tak, jesteście półsiostrami” – odpowiedziała.

Nie wiesz, jak się czuć, nie wiesz, co mówić. Zdobyłam się na najgorszy small talk, jaki można sobie wyobrazić.

„To co, jesteście siostrami?” – spytałam.

„Tak. Szaleństwo, nie?” – odpowiedziała i dalej siedziałyśmy w ciszy.

Brat został na dole, pił kawę. My czekałyśmy na trzecią siostrę, przynieśli herbatę.

Kiedy przyszła, atmosfera się polepszyła, wymieniliśmy się zdjęciami, opowieściami o naszych matkach. Odkryliśmy, że wszystkie urodziłyśmy się w 1982 roku, lubimy gotować. Różnimy się temperamentami, ja jestem chyba najbardziej entuzjastyczna.

Wróciłam do domu, jeszcze raz przejrzałam ich zdjęcia. Nagle coś mi błysnęło.

Porównywałam fotografie z fotografiami, filmy z filmami. Pokazałam bratu, kilku znajomym. Nie tylko ja to widziałam.

Kształt twarzy, krzywe zęby na zdjęciach z młodości – mamy to wszystkie. Ten nos, zadarty, jedną z sióstr wyróżniało to z całej jej rodziny.

Czy to możliwe?

Czy to jest, do cholery, możliwe, że moim biologicznym ojcem jest doktor Jan Karbaat?

Boże Narodzenie według Karbaata

To, że Jan Karbaat mógł sam oddawać nasienie w swojej klinice, to tylko plotki. Holenderska dziennikarka zajmująca się niegdyś bankami spermy mówi mi, że w środowisku lekarzy krążyły one już dwadzieścia lat temu.

Pewien mężczyzna, który był dawcą w kilku klinikach, mówi, że te pogłoski o Karbaacie słyssał przed laty w innych bankach spermy.

Dowodów nie było.

Przecież nie może być żadnym dowodem wyznanie jednej z poczętych w klinice kobiet, że gdy odwiedziła Karbaata w 2010 roku, przyznał jej się do spółdzenia sześćdziesięciorga dzieci. Było to ponoć w początkowych latach Barendrechtu, gdy dawców brakowało, a kobiety o wszystkim wiedziały, cieszyły się nawet, że będą miały wykształconego dawcę.

Nie może być dowodem to, że kiedy kobieta poczęta w klinice przyszła do niego po latach i spytała, czy jest jej ojcem, spojrział badawczo na jej dłonie, jakby coś sprawdzał. I że piętnaście lat wcześniej w filmie dokumentalnym w podobny sposób porównywał dłonie swojej małej córeczki z własnymi, żeby pokazać, jak działa dziedziczność. Oboje mieli krótkie, szerokie palce i paznokcie.

„Zaraz dostanie pani ode mnie świeże nasienie” – mówił przed laty Karbaat i wracał po chwili z kubeczkim. Takie pogłoski wymieniają dziś między sobą niektóre matki, rozgoryczone tym, co już wiadomo: że ich dzieci nie są z jednego dawcy, a paszporty nie miały nic wspólnego z prawdą.

Ale gdy próbuję ustalić źródło plotek, mówią mi, że „gdzieś to słyssały”.

Sprawa elektryzuje niektóre dorosłe dzieci z dawców. Przekonane o tym, że Karbaat jest ich ojcem, są czasem osoby, które w bazie FIOM nie wykazują zgodności genetycznej pomiędzy sobą nawzajem. Nie są więc z jednego dawcy i ktoś z nich na pewno nie ma racji.

A może nikt jej nie ma?

Może Karbaat nigdy dawcą nie był?

Bez wyroku sądu nie można nikogo zmusić do testu DNA.

A przecież nie jest żadnym dowodem to, że zapytany o możliwość porównania jego DNA z tymi w bazie odpisał, że „za dużo widział w życiu szwindli dotyczących takich badań, by chcieć brać w tym udział”. Albo to, co powiedział ponoć innej osobie: że może i odda materiał do badań, ale tylko jeśli sam go pobierze.

Trochę głupio pisać o takich plotkach i pomówieniach.

O tym, że na koniec spotkania z kobietą, której rzekomo powiedział o sześćdziesięciorgu dzieciach, zapytał ponoć: „Co by miał zmienić taki test? Będziemy razem spędzać Boże Narodzenie?”.

Kiedy kolejna osoba zapytała go mejlowo, czy nie jest biologicznym ojcem jednej z kobiet poczętych w klinice, odpisał jedynie:

Nie wiem, ile dokładnie lat ma pani, o której mowa, ale od 1991 roku jestem kompletnie bezpłodny (z powodu wieku). Na tym chętnie zakończyłbym korespondencję, bo nie mogę Pani już w niczym pomóc. Życzę wytrwałości i powodzenia.

Pani, o której mowa, urodziła się w 1981 roku, na początku działania kliniki.

Ale co z tego?

Nikt nie zabrania lekarzowi, który nie używał przy inseminacjach własnego nasienia, odpisać na pytanie o ojcostwo właśnie w ten sposób.

Louis pisze wyjątkowo krótki mejl

Mejl od Dawcy S., czyli od Louisa. Jednak zgadza się na rozmowę.

Spotkamy się za trzy tygodnie przy przeszklonych drzwiach wejściowych dworca głównego, w środku tygodnia, równo o drugiej po południu.

Od kiedy napisałem do niego pierwszy raz, wymieniliśmy kilkanaście listów. Lubię z nim korespondować. Każdy mejl zaczyna i kończy pozdrowieniami, jeśli zadam mu ponumerowane pytania, odpisuje zgodnie z numeracją, w punktach. Dba o schludne formatowanie wiadomości. Kiedy odpisuje, zawsze wysyła nową wiadomość z tematem nawiązującym do mojego mejla. Na odpowiedź nie czekam dłużej niż kilka godzin.

A teraz zgadza się na spotkanie.

Pyta, czy mógłbym wysłać mu zawczasu pytania. Chce się dobrze przygotować, bo kiedy odpowiada spontanicznie, zapomina połowę rzeczy. Listę pytań wydrukuję, położy między nami na stole, będzie skreślał te już zadane.

W ten sposób będzie miał pewność, że niczego nie pominęliśmy.

Karbaat stawia kreskę w literze „t”

Srebrny peugeot podjeżdża pod dworzec. Kiedy widzę, że na klapie od bagażnika ma przyklejoną nalepkę *DONORKIND*, czyli *DZIECKO Z DAWCY*, wiem, że to na ten samochód czekałem.

– Gotowy na przygodę? – woła do mnie Monique przez uchylone okno po stronie kierowcy.

Jedziemy do Barendrechtu. Ale najpierw otworzymy bagażnik i Monique pokaże mi specjalną przesyłkę dla doktora Karbaata.

Tort.

Okragły, na spodzie ma biszkopt, potem krem śmietanowy, na wierzchu pokruszone czarne ciasteczka oreo.

– Żeby wyglądało jak żyzna ziemia – tłumaczy.

Na żyznej ciasteczkowej ziemi położyła marchewki z marcepanu, a obok z kilku zrobionych z ciastek kopczyków wystają marcepanowo-lukrowe nóżki i ogonki królików. Wierzch tortu wygląda więc jak pole uprawne, w którym kopią cztery króliki zagrzebane po pas w ziemi.

– To subtelna wiadomość: „Doktorze, ja tylko próbuję dokopać się do moich korzeni” – śmieje się Monique. – Liczę – mówi do mnie – że oddasz w książce moje znakomite poczucie humoru.

Jedziemy autostradą, rozmawiamy. Monique oglądała ostatnio swoje drzewo genealogiczne ze strony matki, sięgało kilku pokoleń. Dobrzy, przyzwoici ludzie, głównie rolnicy z jednego z regionów Holandii. Ale jednak trochę nuda.

Lekarz? No, to byłoby ciekawsze.

Ostatnio dla zabawy porównywała swoje zdjęcia z fotografiami członków rodziny Karbaata, które znalazła w internecie. Miał ponoć kilka żon i kilkanaścioro własnych dzieci, materiał do porównań jest spory.

– Trochę po to, żeby znaleźć coś, co wykluczy ostatecznie podobieństwo między nim a mną. Na razie nic takiego nie znalazłam – mówi. – Miałam swój czas szoku, smutku, czas wyparcia. Teraz czekam bez nerwów na to, co się okaże. Na spokój ducha.

Monique działa aktywnie w grupach dyskusyjnych dla dawców i ich dzieci. Rozmawiała już kiedyś z innym mężczyzną, do którego była trochę podobna. Nie wprost: „Może jesteś moim dawcą?”, ale ucieszyła się, kiedy powiedział, że zapisał się do bazy FIOM. Zgodności nie było, znalazł za to dwie inne biologiczne córki.

Nie jest tak, że Karbaat to jej stuprocentowy pewniak.

Ale to jednak on wybierał dla jej matki dawcę, on jeden wie, kim był ten mężczyzna, jeśli sam nim nie był. Dlatego chciałaby z doktorem porozmawiać. Byłoby to zamknięcie, ostatnie spotkanie w tej sprawie.

Na razie rozmawia nie z nim, tylko o nim, ze mną.

Porównujemy, co wiemy. Oboje spędziliśmy trochę czasu, próbując dowiedzieć się czegoś o byłym szefie Centrum Medycznego Bijdorp.

Kiedy w 1980 roku rusza klinika w Barendrechcie, Karbaat ma już pięćdziesiąt trzy lata. Poprzednie piętnaście spędza jako dyrektor szpitala Zuiderziekenhuis w Rotterdamie.

W skrócie: naprawia, buduje, tworzy.

Rok po objęciu przez niego szpitala burmistrz miasta uroczyście ogłasza budowę nowego budynku zabiegowego. Prowadzony przez Karbaata najstarszy w mieście szpital czekał na taką inwestycję dwadzieścia lat – udało się wraz z przyjściem nowego dyrektora.

Przed szpitalem Karbaat stawia ławki, we wnętrzu dla poprawy estetyki wiesza sto obrazów. Pacjenci nie cieszą się nimi długo, bo ławki ktoś tnie na części, a kilkanaście obrazów znika po kradzieży. Karbaat nie zniechęca się. Twardo negocjuje z lokalnymi władzami kolejne inwestycje.

Jeden z polityków narzeka na łamach gazety na dwugodzinne oczekiwanie w kolejce do chirurga szczękowego. Karbaat cieszy się, że zauważa on problemy szpitala, i ma nadzieję na większe wsparcie finansowe.

Buduje nowy pawilon oddziału położniczego i chorób kobiecych, otwiera neonatologię. Z dumą opowiada, że dzięki użyciu nowej technologii budowlanej wydał na nowe sale pięć razy mniej publicznych pieniędzy niż w innych placówkach.

Efektywność to jego dewiza.

„Każdy krok pielęgniarki z mojego szpitala jest skrupulatnie wyliczony i kosztuje pieniądze” – mówi w wywiadzie.

Dzięki wymyślonemu przez siebie systemowi leczenia ambulatoryjnego utrzymuje przez lata obłożenie szpitalnych łóżek na równym poziomie osiemdziesięciu sześciu procent, bo zejście poniżej tego progu grozi zmniejszeniem dotacji.

W 1968 roku dostaje ofertę stworzenia od podstaw szpitala dla NATO w Niemczech: wybudowanie, urządzenie, zatrudnienie personelu. Szpital ma mieć dwa tysiące miejsc, czyli trzy razy więcej niż ten w Rotterdamie, ambitne zadanie na kilkanaście lat pracy. Podejmuje je i prosi o zmianę warunków w macierzystej placówce: od tamtej pory każdego miesiąca trzy tygodnie pracuje w Zuiderziekenhuis, a jeden tydzień w Niemczech.

Nadzoruje siedemdziesięcioro lekarzy, personelu nie zaniedbuje.

„Mamy cholerne niedobory pielęgniarek” – mówi dziennikarzom po kilku latach pracy i nie tylko zatrudnia ich więcej, ale też oferuje płatne staże przyuczające chętne kandydatki do zawodu. Dobrze pracuje mu się z kobietami. Zarówno w szpitalu, jak później w Barendrechcie bardziej chwali sobie współpracę z lekarkami niż z lekarzami.

Dziennikarce piszącej reportaż o pielęgniarkach pozwala przez jeden dzień popracować w swoim zespole. Jego zdaniem szpital traci najwięcej pielęgniarek

przez to, że wychodzą za mąż i zakładają rodziny. Pozostanie w domu uważa za błąd. „Próbuję je przekonać, żeby wróciły choćby na część etatu, kiedy po trzydziestym piątym roku życia odchowają dzieci” – opowiada.

Wnioskuje o większe pieniądze na kardiologów. Specjalistów od złamań nóg i rąk wysyła raz w roku do szpitala przy zimowym kurorcie w Davos.

W 1978 roku w jednym z pomieszczeń szpitala zapada się podłoga. Karbaat zirytowany pisze do radnych, że sale są przestarzałe, ambulatoriów jest mało, trzeba powiększyć parking, oddział intensywnej terapii i SOR, gdzie kolejka do lekarza sięga codziennie dziesięciu osób. Nie podoba mu się, że w dwuosobowych pokojach stoją po cztery łóżka. Mówi, że po latach rozwijania świadczeń medycznych przyszedł czas na zadbanie o warunki dla pacjentów. Połowa pacjentów w ankiecie przyznaje, że wolałaby leczyć się w innej placówce.

„Tak dalej być w moim szpitalu nie może” – oświadcza Karbaat.

Remontuje pierwsze piętro. Na drugie i trzecie nie starcza mu już czasu, bo w 1979 roku, po piętnastu latach pracy, rezygnuje z funkcji dyrektora. Mówi się o konflikcie z personelem. Specjaliści chcą mieć na swoich oddziałach więcej miejsc dla lekarzy rezydentów. Łóżka dla nich nie mogłyby być używane przez pacjentów z innych oddziałów. Karbaatowi nie podoba się pomysł, żeby łóżka stały puste.

Oficjalnie odchodzi z powodu zdrowia, którego stan nie pozwala mu zarządzać tak dużą placówką. Otwiera więc mniejszą – klinikę leczenia niepłodności w Barendrechcie, która wygląda jak żółty baśniowy domek.

Właśnie pod niego podjechaliśmy, o czym ostrym, gulgoczącym niderlandzkim zawiadomiła nas samochodowa nawigacja Monique. „Jesteś u celu”.

Z daleka widzimy bociana na dachu. Kiedy podchodzimy bliżej, słyszymy kury.

– Już tu kiedyś byłam, jako komórka jajowa połączona z plemnikiem. Ewentualnie zmieszana z jajkiem – śmieje się Monique, bo oglądała ten sam reportaż telewizyjny sprzed lat co ja. Ten, w którym Karbaat opowiada, jak miksuje nasienie z żółtkiem.

Reaguję na jej szyderstwo z jajka. Pytałem już innych lekarzy – to była powszechna i skuteczna metoda, niestosowana dzisiaj tylko z powodu ryzyka salmonelli.

Brama jest, o dziwo, otwarta. Wchodzimy.

– Kici, kici – Monique głaszcze kota, który wyszedł nam naprzeciw. – No gdzie ten Karbaat? Nie ma się czego obawiać. Przecież nie przyszłam po zaległe trzydzieści cztery lata kieszonkowego – mruga.

– Nie wzięłaś tortu! – mówię.

Ale to nieważne, bo nikt nie otwiera drzwi. Wychodzimy bramą, spacerujemy, rozmawiamy.

– Wiesz, że mama zaszła w ciążę ze mną po pierwszej inseminacji, a przy moim bracie wystarczyły dwie? – mówi Monique. – Piękny wynik.

Słyszałem to od wielu kobiet: w Barendrechcie w ciążę zachodziło się szybko.

Zamiłowanie do efektywności zostaje Karbaatowi nawet po odejściu ze szpitala w Rotterdamie.

W banku spermy, który prowadzi, zatrudnia kuriera na motorowerze. W każdy poniedziałek, środę i piątek odwiedza on dawców w ich domach, by odebrać od nich świeże nasienie. Inne kliniki nie prowadzą takich usług.

W latach osiemdziesiątych jako członek zarządu kliniki aborcyjnej Karbaat przekonuje, że kobiety nie trzeba przyjmować aż na pięć dni, żeby zastanowiła się przez ten czas nad decyzją o usunięciu ciąży. Tego chcieliby w tamtym czasie niektórzy politycy płci męskiej. Tłumaczy, że wystarczy uważny wywiad lekarski i po dwóch godzinach można przystępować do zabiegu.

Ale nie pozostawia pacjentów samych sobie. Ma podejście do ludzi, dba o ich komfort. Zarówno we wspomnianej klinice aborcyjnej, jak i później w banku spermy każda odwiedzająca osoba ma zagwarantowane wygodne miejsce do siedzenia, dogodny czas rozmowy, filiżankę kawy.

Zdarza się, że gdy któraś kobieta dłużej nie może zająć w ciążę, Karbaat nie bierze pieniędzy za kilka kolejnych inseminacji.

Do wielu po porodzie wysyła własnoręcznie podpisane kartki z gratulacjami.

– Kreskę w literze „t” stawia wysoko – śmieje się Monique. – Według grafologów tak robią osoby pewne siebie i przekonane o swojej racji.

W 2001 wspiera listownie mieszkańców jednej z gmin, których władze próbują eksmitować z domków letniskowych. W domkach osoby te mieszkają na stałe, ale nielegalnie.

Jesteście Państwo zbyt dobrzy i zbyt prawdomówni. Choć to wspaniałe ludzkie cechy, bywa, że szkodzą ludziom, którzy je posiadają, a przykładów na to jest w historii najnowszej wiele – pisze i podpowiada, jak wykorzystywać luki w prawie budowlanym. I na koniec dodaje: *Radzę Państwu nie ustępować ani o włos przed urzędnikami, którzy mają klapki na oczach i nie widzą niczego poza wymyślonymi przez siebie regułkami.*

Regułki, zasady. Karbaat w swoich medialnych wypowiedziach z upodobaniem zdrabnia te słowa. Jakby były małe i niepotrzebne. „Nienawidzę regulek” – mówi.

Po spacerze dzwoniemy do drzwi jeszcze raz – bez skutku.

– Zostawiamy prezent na progu? – pytam.

– Żeby pomyślał, że jest zatruty? – puszcza oko Monique.

Monique, ja i tort wracamy więc do zaparkowanego z boku samochodu. Poczekamy, popatrzymy w lusterka, czy nikt nie nadchodzi.

Porozmawiamy jeszcze chwilę. Obejrzymy kawałek naszego ulubionego ostatnio filmu dokumentalnego.

W 1995 roku młoda reżyserka filmów dokumentalnych postanawia zająć się nieopowiedzianym do tej pory tematem: czy w Holandii istnieje dawstwo spermy wśród mniejszości etnicznych? ilu jest ciemnoskórych dawców?

Reportaż ma tytuł *Czarne nasienie*.

Po kilku wstępnych spotkaniach dokumentalistka wie już, że jest jedno miejsce, do którego na pewno powinna się udać – Centrum Medyczne Bijdorps w Barendrechcie.

W reportażu telewizyjnym jeden z zagadniętych przez nią lekarzy opowiada, że holenderskie banki spermy mają trudności z pozyskaniem nasienia od ciemnoskórych dawców. To dlatego współpracują z kliniką w Barendrechcie, która ma ich najwięcej w kraju.

W rekrutacji takich dawców specjalizuje się szef kliniki Jan Karbaat.

„Kiedy przeciętny Holender – mówi w filmie Karbaat – widzi ciemnoskórego mężczyznę lub ciemnoskórą kobietę, ma trudności z ustaleniem, z jakiego są kraju. Ja poznaję w zasadzie w ciągu sekundy, skąd ktoś jest. To u mnie tak silne, że potrafię rozpoznać nie tylko konkretny kraj, ale jeszcze określić szczegółowo. Na przykład jeśli chodzi o Archipelag Malajski, wydaje mi się, że wiem, z której konkretnie wyspy pochodzą niektórzy mieszkańcy Moluków”.

Na pytanie, co robi klinika, kiedy biała para prosi o nasienie ciemnoskórego mężczyzny, jej dyrektorka, dziś żona Karbaata, odpowiada, że nie przypomina sobie takiej prośby. Jeśli jednak jakaś matka BOM życzyłaby sobie tego i dobrze prośbę umotywowwała, na przykład tym, że ma dużo ciemnoskórych znajomych – nie byłoby problemu.

Karbaat siedzi obok, ale nic nie mówi.

„Dlaczego nie mogłaby chcieć tak po prostu, bez powodu?” – pyta dziennikarka dyrektorkę.

„Bo uważamy, że dziecko powinno identyfikować się z rodzicem – odpowiada. – Weźmy na przykład Surinamczyków. Jedzą inaczej, inaczej traktują punktualność, mają inne zainteresowania, są o wiele bardziej ruchliwi. Jeśli dziecko ma taką swobodę ruchów, a nie wychowuje się w kręgu podobnych mu osób, może to być dla niego trudne”.

– Nie wiedziała o Louisie czy kłamała? – zastanawia się Monique, kiedy oglądamy w samochodzie scenę z tego filmu.

Zna Połówki, więc wie, że kiedy dokument powstawał, większość z nich była już na świecie.

Wprawdzie były takie kobiety, jak matka Henrika czy Fien, którym było obojętne, jakiego pochodzenia będzie dawca. Część jednak słyszała w Barendrechcie wyraźnie: będzie biały, podobny do partnera, a przy drugim

dziecku ten sam.

– Mam jego numer telefonu – mówi nagle Monique. – Spytamy, czy jest w domu.

Dzwoni. Dwa razy z rzędu nikt nie odbiera. Monique idzie do bramy jeszcze raz, tym razem z tortem. Po minucie wraca.

– Zamknięta. Ktoś musiał cały czas być w środku, podejść do bramy i ją zamknąć – mówi.

– Widziałem tam kiedyś sąsiada, który wyciągał listy ze skrzynki i naprawiał bramę – opowiadam.

– Jak wyglądał?

– W średnim wieku, ciemnoskóry.

– To nie sąsiad. To ogrodnik z Surinamu.

– Skąd wiesz, że z Surinamu?

– „Poznaję w zasadzie w ciągu sekundy, skąd ktoś jest. To u mnie tak silne...” – chichocze Monique.

Odjeżdżamy.

Ale będziemy w tej sprawie rozmawiać i pisać do siebie jeszcze przez wiele miesięcy.

– Każdy musi mieć w życiu jakieś hobby. Śledzenie osiemdziesięcioośmiolatka nie jest może najnormalniejszym, ale bywa gorzej – podsumuje Monique.

Opowiadam reporterowi śledczemu o tym, że nie mogę dotrzeć do doktora Jana Karbaata. Czy powinienem spróbować kontaktu przez rodzinę albo dawnych współpracowników?

– Wykluczone, po co osaczać człowieka. Co innego, kiedy wprost ci odmówi, a co innego, kiedy to tylko tobie się wydaje, że on nie chce rozmawiać. Próbuj dalej, aż usłyszysz odmowę.

– Co jeśli odmówi, kiedy będę przy bramie? – pytam.

– To świetnie, masz pięć minut rozmowy. Jeśli przyjmie cię w drzwiach – piętnaście minut, a kiedy wpuści cię do korytarza, możecie rozmawiać nawet pół godziny. Jeśli pozwoli ci usiąść w środku na kanapie – idealnie, wtedy posiedzisz już, ile zechcesz.

– A co, jeśli nie porozmawia nawet przez pięć minut?

– Wtedy napisz do niego list. Ale odręcznie.

Po tym, jak odwiedziliśmy z Monique Barendrecht, spędzę w Holandii jeszcze jeden dzień. Ładny, słoneczny, w sam raz na siedzenie w gazetowych archiwach.

To wtedy cofnę się w czasie dalej niż do 1965 roku, kiedy to Karbaat został dyrektorem szpitala Zuiderziekenhuis. Miał wtedy trzydzieści osiem lat, wcześniej w tym szpitalu nie pracował. Co robił przedtem?

Znajduję to, czego szukałem. Recenzja doktoratu Karbaata, obronionego w latach sześćdziesiątych, podpowiada, gdzie mieszkał wcześniej.

Trop wiedzie do szpitala wojskowego położonego tysiące kilometrów od Rotterdamu. To tam był dyrektorem placówki, zanim przejął szpital Zuiderziekenhuis.

Dziś to niecałe dziewięć godzin samolotem. Kiedyś – kilkanaście dni podróży na pokładzie transatlantyckiego statku.

Trop wiedzie do kraju, jak głosi ludowa piosenka, „mocnych prądów morskich i dumnych drzew, gdzie handel kwitnie bujnie, a ludzie bogacą się”.

Do Surinamu.

Mały leśny szpital znika

Ale najpierw popłynę w dziewiętnastowieczny rejs śladami przodków Louisa.

Jakiego koloru była koszula tego mężczyzny w czerwcu 1894 roku? Nie wiadomo, bo zdjęcie z transatlantyckiego rejsu jest czarno-białe.

Statek po dwudziestu dniach rejsu dobił do Hawru. Na pokładzie „Księcia Maurycego” jest ledwie kilkunastu pasażerów, reszta wsiada dopiero tu, we Francji.

Załoga wyładuje część towarów, zabunkruje węgiel, bo to parowiec, z bunkrownią. Statek popłynie dalej, zabierze pasażerów do Amsterdamu. Trzy osoby zostaną w Hawrze, pozostałych czeka trzydniowy postój.

Jednym z pasażerów jest mężczyzna ze zdjęcia. Isaac ma sześćdziesiąt lat, przenikliwe brązowe oczy, lekką łysinę. Urodził się w Surinamie jako niewolnik, ale jest pierwszym z całego rodu, który w dorosłość wkroczył jako wolny człowiek.

Czyli wolność niesie go dalej i dalej od słonecznego Paramaribo?

Na pokładzie jest ze swoją drugą żoną i dwójką najmłodszych dzieci.

Pük balik neföro binon saidik, czyli „Jeden język nigdy nie wystarcza” – powtarza im być może zdanie w sztucznie stworzonym języku volapük. Właśnie zdał certyfikat językowy, który ma tylko kilka tysięcy osób na świecie, w tym chyba tylko jeden Surinamczyk. Isaac dużo czyta, kończy udaną karierę naczelnika gminy, w przyszłości chce jeszcze podróżować. Może w tym momencie, patrząc na fale z pokładu „Księcia Maurycego”, rozważa, do czego przyda mu się nowo poznany język.

Tego statku już nie ma. Po czterech latach uderzy o brzeg gdzieś w pobliżu Wenezueli. Nikomu nic się nie stanie, a pasażerowie odzyskają majątek pozostawiony na pokładzie. Wrak kupi ktoś za czterysta dolarów, na tym urwie się ślad w gazetach.

A zdjęcie wciąż jest. Na nim Isaac, po lewej jego córka, u stóp obojga siedzi syn. Są jeszcze inne, nieznane dziś nikomu osoby. Brakuje żony, może to ona fotografowała? Brakuje też dwóch innych synów, najstarszego Freda i średniego Charlesa Louisa. Nie wypłynęli na tę wyprawę, są już dorośli, mają swoje sprawy.

Charles Louis rzucił studia nauczycielskie, jest teraz urzędnikiem celnym, co gwarantuje lepsze zarobki. Nie wie jeszcze, że dziesięć lat później ruszy w podobną, roczną podróż statkiem do Europy.

Nie wie jeszcze, że zaręczy się dwa razy, że dwa razy nic z tego nie wyjdzie, a za trzecim razem się uda. Poślubi śliczną dziewczynę, nauczycielkę o brązowych oczach i chłodnym spojrzeniu. Dziewczyna będzie umiała pięknie szyć, przeżyje

dziewięćdziesiąt pięć lat, zdąży uszyć wnukowi szatkę na chrzciny – w rodzinnym albumie zachowa się z tego dnia zdjęcie.

Nie wie, że będzie miał tego wnuka, że wnuk dostanie jego imię. Nigdy się nie dowie, bo umrze przed jego narodzinami.

Na razie Isaac, ojciec Charlesa Louisa i Freda, wraca ze zdjęciem do Surinamu. Syn Fred schowa je do portfela, a ono pozostanie w nim trzydzieści lat.

Dla synów Isaaca los przewidział dwa przeciwstawne scenariusze. Fred doczeka późnego wieku, ale młodo umrą jego dzieci. Charles Louis z kolei umrze przed swoimi sześćdziesiątymi urodzinami. Zostawi dwójkę dzieci, które będą żyły długo. To dlatego kiedy umrze Fred, jego portfel znajdzie syn Charlesa Louisa, Frans. Fransa też widzę, na innym zdjęciu. Kawałek papieru fotograficznego bywa trwalszy niż człowiek.

Ubrany w służbowy kitel wycina ciemnoskóremu mężczyźnie kawałek skóry z kolana. Przy operacjach sekundują mu pielęgniarki. Jedna z nich to Holenderka, Grietje. Przyjechała tam niedawno, jest misjonarką.

W małym leśnym szpitalu, gdzie się poznali, pacjentami są głównie maronowie, potomkowie afrykańskich niewolników, niegdyś siłą przewiezionych do Surinamu z Afryki. Dawni kolonizatorzy mówili o nich pogardliwie *bosnegers*, leśne czarnuchy. W tamtym czasie zakaz niewolnictwa trwa już prawie sto lat. Do Surinamu, wciąż holenderskiej kolonii, przyjeżdżają misje humanitarne, budują kościoły i szpitale.

Co widzą Frans i Grietje w drodze na swój szpitalny dyżur? Tuż obok jest stacja kolejki przyjeżdżającej z portu w Paramaribo. Powstała na początku dwudziestego wieku, w czasie gorączki złota. Złóża okazały się mniejsze, niż sądzono, ale kolejka została. Lokomotywa ma dwa reflektory i sprzęg pośrodku. Jeśli spojrzeć na jej przód, wygląda jak zdziwiona twarz. Reflektory – jak oczy. Sprzęg – jak otwarte usta.

Dalsza trasa kolejki zaczyna się dopiero na drugim brzegu, trzeba przeprowić się gondolą. Czy Frans i Grietje jeżdżą nią razem? Pracują przecież pośrodku lasu.

To do lasu uciekali przez lata niewolnicy z plantacji. Tam ukrywali się, zakładali wioski, stawiali budynki, lepiej niż holenderscy żołnierze znali bagna i dżunglę, wiedzieli, jak mylić tropy. Wieczorami jedli maniok, siedzieli przy ognisku. Opowiadali legendę o Królu Łgarzu i księciu, którego myśliwska torba odbijała wszystkie kule wystrzelone przez wrogów. O tym, jak on i porwana przez niego księżniczka przemienili się w kaczki i uciekli wpław przed złym królem.

Nocami zakradali się z powrotem do niewolniczych plantacji, żeby odbić kolejnych braci. Bywało, że na prowizoryczne, dzikie wioski uciekinierów napadali z bronią żołnierze. Strzelali, palili uprawy. Maronowie przenosili się w nowe miejsca, zakładali nowe wioski, stawiali w nich nowe domy.

Jedna z wiosek przetrwała, rozrosła się w dżungli. Był w niej drewniany

kościół braci morawskich, obok niego palmy. Był pagórek, z którego czubka rozciągał się widok na okolicę. Był wreszcie mały szpital otoczony lasem, w którym wiele lat później poznali się Frans i Grietje.

Droga z pracy – spacer po lesie. Droga do pracy – spacer po lesie. Zaręczają się szybko, po niecałym roku znajomości.

Nie pracują razem zbyt długo. Grietje choruje na malarię, tuż przed wojną misja odsyła ją z powrotem do Holandii. Frans wyjeżdża do Holenderskich Indii Wschodnich, chce dokończyć studia medyczne. Grietje dołącza do niego, przeprowadza się do Batawii (dzisiejszej Dżakarty) w roku 1941, tuż przed wkroczeniem Japończyków do miasta.

Część ludności cieszy się: może to wkracza wolność? Ale nie: to bomby, strzały, gwałty. Frans ma szczęście – nie uczestniczy w walkach. Z powodu studiów nie odbył służby wojskowej, poza tym jest Surinamczykiem, nie Holendrem. On i Grietje pobierają się. Dzięki temu i ona nie bierze czynnego udziału w wojnie.

Podczas japońskiej okupacji leczą ludzi z gruźlicy. Znow są razem. Pocieszają się, że Japończycy czują lęk przed chorobami zakaźnymi i będą trzymać się od ich szpitala z daleka (tak właśnie się stanie).

O czym rozmawiają?

Może Frans opowiada znow o tym, jak został lekarzem? Marzył mu się zawód inżyniera, a mimo to poszedł na medycynę. Był to jeden z niewielu prestiżowych kierunków, jakie mógł wtedy studiować w Surinamie, a na naukę w Holandii nie było go stać.

Może opowiada o dniu, w którym dostał się na studia medyczne? Takie dni się pamięta. Tamtego dnia w kinie w Paramaribo wyświetlali *Trader Horn*, pierwszy w historii Hollywood film fabularny nakręcony w Afryce. Lokalna gazeta zorganizowała pokaz dla dwóch plemion ciemnoskórych mieszkańców pobliskiego lasu. Dziennikarze pytali, czy rozumieją afrykański język. Czy po setkach lat, od kiedy ich przodkowie zostali siłą przywiezieni do Surinamu z Afryki, rozumieją choćby słowo. Nie rozumieli.

Nie wiadomo, czy Frans mówi Grietje o tym, że pochodzi od niewolników. Wielu członków jego rodziny próbowało to ukryć, może i on nie opowiadał o tym otwarcie.

O czym mówi mu Grietje? Tak jak Frans straciła młodo ojca, tak jak on nie planowała leczyć ludzi. Miała jedenaście lat, gdy ojciec, nauczyciel francuskiego, zginął w wypadku. W domu brakowało pieniędzy, więc została pielęgniarką, choć zawsze marzyła o szkole teatralnej.

I ona, i Frans nie mieli jednego z rodziców. Oboje nie pracowali w wymarzonych zawodach i dlatego się spotkali. Ich syn podkreśli wiele lat później, że te dwie rzeczy ich połączyły, być może tylko one.

Wojna się skończyła, znów można robić zdjęcia.

Jak tamto: obok Fransa stoi jego żona Grietje, na rękach trzyma dziecko, patrzą na nie oboje. Ciemne kręcone włosy Fransa, uczesane z równym przedziałkiem, pasują do schludnego ubrania: biała koszula, krawat, marynarka. Z kieszonki marynarki wystaje długopis. Ile wypisał nim recept?

Syn patrzy na nich z rozdziawioną buzią. Na głowie ma figlarny loczek, jakby skopiowany z ojcowskiego.

To chyba jego chrzest, szatkę dla dwumiesięcznego chłopca uszyła babcia, niegdyś śliczna dziewczyna o chłodnym spojrzeniu. Ta dziewczyna, w której zakochał się dziesiątki lat wcześniej Charles Louis.

Ale zaraz, jak ma na imię to dziecko?

Dostaje je po dziadku. Może było tak, że Frans i Grietje spojrzeli w błyszczące, brązowe oczy synka, może na głowie miał już ten loczek? Wspomnieli dziadka Charlesa, jego drugie imię.

Zdecydowali: „Louis. Na imię damy mu Louis”.

Dziś nie ma już małego leśnego szpitala, w którym się poznali, nie ma nawet lasu. Kawałek papieru fotograficznego bywa też trwalszy niż drzewa, pod którymi ludzie przysięgają sobie miłość, bywa nawet trwalszy niż miłość.

Kłóćą się często. W 1956 roku Grietje wyjeżdża z synkiem do Holandii, dokumenty rozwodowe podpiszą dwa lata później.

Minie kilka lat, Frans też opuści Surinam i do końca życia tam nie wróci. Nie zobaczy więc, co stanie się z miejscem, w którym poznał Grietje. Wioska zniknie pod wodą. Razem z nią znikną budynki i tory kolejowe. Powstanie wielki zalew, jeden z największych na świecie, przy nim elektrownia i huta aluminium. Lasu nikt nie wytnie. Inwestor uzna, że to zbyteczny wydatek, i zaleje żywe drzewa.

Dwa tysiące maronów, potomków dawnych mieszkańców lasu, porzuci domy, przeniesie się do nowych. Będą małe i ciasne, bo inwestor uzna, że duże i przestronne to też zbyteczny wydatek.

Dawni mieszkańcy podpiszą stosowne umowy, na pocieszenie dostaną po sześć guldenów. Po czasie zrozumieją, że było to bardzo niewiele i że inwestor nie potraktował ich uczciwie.

Elektrownia wodna zasili lokalną hutę, w pobliżu będą wydobywać boksyt. Boksyt zmieni się w aluminium, aluminium zmieni się w budynki, statki, pociągi. Posłużą ludziom, choć już nie tym samym.

Od teraz w miejscu, gdzie kiedyś była wioska, będzie tylko woda, ziemia i stara, niepotrzebna nazwa – stacja kolejki. Do dziś nikt tego nie zmienił na mapie, choć żadnej stacji już tu nie ma. Nie ma lokomotywy ze zdziwioną miną, nie ma drewnianego kościoła, w którym bracia morawscy odprawiali msze.

Frans i Grietje nie mieli więcej dzieci. Umarli, nie zostawiając także wnuków, przynajmniej tak sądzili. Ich syn Louis nigdy nie związał się z nikim na

poważnie.

Ale gdyby miejsce, w którym poznali się Frans i Grietje, chciały dziś zobaczyć ich wnuki, mogłyby jedynie stanąć na brzegu i popatrzeć w wodę.

Gdyby wynajęły łódkę, żeby popływać po zalewie, przewodnik ostrzegłby ich: „Uważajcie. Płynąc, łatwo uderzyć o czubki drzew, które wciąż wystają z wody”.

Frans po wyjeździe z Surinamu porzuci pracę lekarza, poślubi drugą żonę, umrze na serce.

Jego syn Louis przyjedzie uporządkować mieszkanie. W rzeczach ojca znajdzie stary portfel wujka Freda, w nim zdjęcie dziadka Isaaca z rejsu do Holandii. Portfel odda swojemu kuzynowi, zdjęcia nawet nie zauważy. Kuzyn otworzy portfel, odkryje fotografię. Spojrzy w oczy pradziadka, zeskanuje, wyśle rodzinie, w tym Louisowi.

Louis przekaże zdjęcie dalej pocztą elektroniczną. I sto dwadzieścia jeden lat od powstania fotografii ukaże się ona na ekranie mojego komputera w Warszawie.

W odpowiedzi na mejl przesyłam Louisowi wycinek starej gazety, a w niej informacje o pewnym czerwcowym dniu, w którym Isaac dobił do portu.

„Dziękuję! Od dziś znam datę tego rejsu”, odpisze mi Louis.

Przyjeżdża młody lekarz

Kiedy Frans i Grietje coraz częściej się kłócą, a trzyletni Louis bezskutecznie szuka na podwórku dzieci, z którymi mógłby się pobawić, do Paramaribo w Surinamie przybywa z Hagi młody lekarz wojskowy.

Jest świeżo po studiach, w planach ma doktorat.

Jako internista zajmuje się żołnierzami. Pomaga w aklimatyzacji, przypomina o koniecznym uzupełnianiu soli – nieprzyzwyczajone do tropików ciała tracą ją wraz z potem. Ostrzega, żeby tabletki z solą rozpuszczać w wodzie, a nie połykać w całości, bo od tego boli żołądek.

Pracy jest tyle, ile chorób. Szczekający kaszel – to błonica. Wrzody i gorączka – leiszmanioza. Zaburzenia świadomości – encephalitis.

Dbą też o ich kondycję psychiczną. Holenderscy żołnierze w Surinamie rozmawiają z lekarzami o tęsknocie za domem, o nudzie i zawiedzionych nadziejach na przygodę życia, o seksie, o kobietach.

Tych, które zostawili za oceanem.

Tych, o które biją się po pijanemu w głośnych barach Paramaribo.

Tych, do których za namową kolegów marynarzy wiozą ich taksówkarze, a które po wszystkim częstują ich penicyliną, żeby nie zachorowali na rzeżączkę.

Zdjęcie z tamtych czasów: tłum ludzi stoi w trawie, pod drzewem. Są ubrani jednakowo, noszą mundury i lekko szpiczaste czapki. Mają różny kolor skóry, w dolnym rzędzie jest trzech czarnoskórych mężczyzn i jeden Azjata, w rzędzie

górnym kilka kobiet. Nie ma rzędu środkowego, w środku jest w zasadzie jeden biały mężczyzna, pozostałe osoby na zdjęciu są albo w rzędzie nad nim, albo pod nim. Kuca pomiędzy nimi, jakby nie chciał ustawić się równo. Mężczyzna nie nosi czapki, choć na zdjęciu ma ją prawie każdy. Patrzy w prawo, choć na zdjęciu prawie każdy patrzy w obiektyw. W oczy rzuca się jego lekki, miły uśmiech.

To młody lekarz, który w szpitalu wojskowym zarządza trzydziestoosobowym personelem, współpracuje z dwoma równymi stopniem kolegami.

Każdy z nich ma własnego szofera. Lokalni kierowcy przydają się szczególnie na początku, zanim Holendrzy przyzwyczają się do miejscowych dziurawych dróg i agresywnego stylu jazdy surinamskich kierowców. Bywa, że na drodze trzeba wymusić pierwszeństwo.

Ale młodemu lekarzowi szofer przyda się do czegoś jeszcze. Do kierowcy wzdychają wszystkie pielęgniarki w szpitalu. Ujmuje je urodą. To rzadkość, żeby czarnoskóry mężczyzna miał tak piękne błękitne oczy.

– Pomożesz dwóm kobietom w potrzebie? – pyta w 1957 roku młody lekarz szofera.

– Jasne, doktorze Karbaat – odpowiada mężczyzna. – O co chodzi?

– Potrzebowałbym twojego nasienia.

Mój list do Karbaata

Szanowny Doktorze Karbaat,

Od dłuższego czasu pracuję nad reportażem, w którym dużą rolę odgrywa Pańska klinika. Do tej pory nie udało mi się z Panem spotkać, ale nurtuje mnie kilka pytań. Pozwolę sobie niektóre z nich przytoczyć:

Jaki był w Barendrechcie limit dzieci na jednego dawcę?

Dlaczego klinika już nie działa?

Czy myślał Pan przed laty o tym, jak będzie wyglądało życie dzieci poczętych w Pana klinice? Co myśli Pan obecnie?

Jak to się stało, że zaczął Pan się zajmować płodnością ludzi?

Co Pan sądzi o regulach i regulacjach? Czy są potrzebne?

Czym jest dla Pana wolność?

Czy pamięta Pan moment, kiedy odnalazł ją Pan po raz pierwszy?

Z poważaniem,

K.B.

Producent z telewizji doradza jeden wątek

– Musisz mieć mocny temat, bez niego ani rusz. Historia o tym, że chłopak rusza na poszukiwanie dwóch setek braci i sióstr, jest mocna. Mamy to.

Jak masz mocną historię, bohater musi chcieć się pokazać. Że niby czemu miałby nie chcieć? Zdziwiłbyś się, ile osób po pierwszym telefonie mówi: „Oj, to ja jednak poszukam innych sposobów”.

Chce się pokazać? Okej, mamy to.

Mocna historia jest, bohater z motywacją jest, to teraz sprawdzasz, jak opowiada story. Bywa, że story jest świetne na papierze, ale bohater duka albo się płacze. Stary, z życiem! z werwą! – myślisz i od razu widzisz, że nic z tego nie będzie.

Ale jak trafi się wygadany, to w porządku, mamy to.

Historia naszego programu to historia Holandii w pigułce.

Zaczynaliśmy w radiu i szukaliśmy rodziców dzieci, które zagubiły się podczas drugiej wojny światowej, zaginionych członków rodzin i osób podmienionych w dzieciństwie.

Potem poszliśmy w adopcje. W latach siedemdziesiątych Holendrzy adoptowali dużo ubogich dzieci z innych kontynentów. Dwadzieścia lat później te dzieci dorosły i razem z nami szukały biologicznych rodziców.

Potem były dzieci gastarbeiterów. W latach osiemdziesiątych mężczyźni z Hiszpanii, Francji i Grecji przyjeżdżali do Holandii pracować sezonowo, poczynali dzieci i wyjeżdżali. Ich też dzieci szukały wespół z nami.

Jedną z ostatnich fal są dzieci z dawców nasienia. Mieliliśmy chyba sześć takich odcinków, ten z Bjornem jest najnowszy.

Ale jasne, mamy też zwyczajne zgłoszenia: „Szukam człowieka, o którym wiem tylko, jak miał na imię i że spłodził mnie w jednym z pubów w Hadze”, to taki nasz standardzik.

Po latach w tej branży masz już nosa, czujesz, co podgrzeje widzów, a co nie. Ktoś nie jest najlepszą postacią, ale jest szansa, że odnaleziony członek rodziny będzie lepszy. Zestawiamy wtedy ze sobą dwie albo cztery sceny, znajdujemy podobieństwa, patrzymy, jak się prezentują, i będzie z tego solidny materiał.

W historii Bjorna ważny był jego wygląd: jest śniady, rozpoznawalny, nie ma typowej holenderskiej urody. To zwiększa szansę, że ludzie, którzy wyglądają tak jak on, popatrzą na ekran, pomyślą: Ten kolor skóry, te loczki, może to ja jestem zaginioną Połówką, której szuka Bjorn?

Program istnieje ponad piętnaście lat, w dzisiejszej telewizji to rzadkość. Sprzedaliśmy format do wielu krajów. Do was też, prowadziła Anna Maruszczyńska,

ale chyba się nie przyjęło.

Nie rozumiem, jak taki format może się nie przyjąć. Zanim zacząłem tu pracę, oglądałem go z wypiekami na twarzy.

Ekipa przez lata się nie zmienia. Uzależniająca robota, bo risercz, odnalezienie bohaterów i rozwiązanie sprawy trwają kilka miesięcy lub lat. Jak w wydziale kryminalnym – masz otwarte sprawy i czekasz na przełom.

Działamy bez policjantów, detektywów, opieramy się na własnym doświadczeniu. W Holandii, Belgii i krajach anglojęzycznych szukamy sami, w innych – mamy swoich ludzi. Internet wszystko uprościł: wiesz o kimś, że jest kibicem Feyenoordu i znajomym niejakiego Thomasa, łączysz te fakty i masz gościa na talerzu.

Nasi widzowie to wierna grupa, oglądają program od lat i wiele widzieli. Dlatego liczy się zaskoczenie. Schemat jest prosty – ktoś szuka kogoś, tu zaskoczenia nie będzie. Ale to, co się okazuje na końcu, bywa nie do uwierzenia nawet dla doświadczonych producentów.

Parę lat temu mężczyzna szukał krewnych w Kolumbii. Znalazł dawno niewidzianą matkę, zrobiliśmy test DNA i szok – nie była jego matką. Ustaliliśmy, że kiedy jako chłopczyk leciał z Kolumbii do Holandii, podróżowało z nim ośmioro innych dzieci i ktoś zamienił je na pokładzie.

Gdzieś była więc matka naszego bohatera i prawdziwe biologiczne dziecko naszej bohaterki.

Dotarliśmy do danych o lotach, nazwisk matek i chłopców. Drugi miał rzadkie nazwisko, więc nie było trudno go wytropić. Znalezliśmy też prawdziwą matkę mężczyzny w Kolumbii. Porównaliśmy DNA matek i synów, była zgodność. To te momenty, kiedy do człowieka dochodzi, że zajmujesz się sprawami nierealnymi, które nie miały prawa się zdarzyć. A jednak się zdarzyły.

Tak samo jest z Bjornem i jego dawcą: istnieje ktoś, kto jest biologicznym ojcem dwusetki dzieci. Nie do wiary. O sprawie przeczytałem w lokalnej gazecie, tak się zaczęło.

Były wątpliwości, czy to się uda. Nawet jeśli ma dwusetkę dzieci, to ile spośród nich wie, że jest z dawcy spermy? W Holandii to mały procent, wciąż króluje anonimowość. Nie wiedzieliśmy, czy kogoś znajdziemy. Kalkulowałem: może dwadzieścia osób z dwustu wie, że jest z dawcy, z czego może dziesięcioro dowie się o programie, a ośmioro może się zarejestruje.

A tu niespodzianka, zgłosiło się pięćdziesiąt osób.

Przejechaliśmy z kolegą cały kraj, spotkaliśmy się ze wszystkimi, każdemu pobraliśmy fragment DNA. Zajęło nam to kilka tygodni. Długie, gorące dni spędzone w aucie. Kiedy na koniec zbierania zgłoszeń napisało jeszcze kilkanaście osób, trzeba było zgęścić ruchy i w niektóre dni zdobywaliśmy nawet pięć czy sześć pakietów DNA.

Pytasz, czemu nie współpracowaliśmy z FIOM. Wiesz, my robimy telewizję. Dlatego chcemy, żeby to w naszym programie, przed kamerą ludzie dowiadywali się, jaki jest rezultat badań ich DNA.

Mówiliśmy uczestnikom otwarcie: szukamy zgodności z konkretnym dawcą i grupą Połówek od Bjorna. Przy okazji sprawdzamy, czy pomiędzy zgłaszającymi się jest jakaś nieoczekiwana zgodność DNA.

I tu druga niespodzianka.

Kilka osób z grupy Bjorna miało inne DNA niż on, ale udało się znaleźć zgodność z inną osobą, która się zgłosiła. W ten sposób odnalazły się półsiostry, mimo że niespokrewnione z Bjornem. Ludzie mogli dowiedzieć się czegoś o swoim biologicznym pochodzeniu, uszczęśliwiliśmy kilka osób więcej niż te dwa miliony widzów przed telewizorami.

Materiału mieliśmy nadmiar. Bjorn znalazł dwanaście osób, a czas antenowy nie jest z gumy.

Dlatego do odcinka wybraliśmy dwie energiczne dziewczyny spod Rotterdamu, obie okazały się Połówkami. Miały ciekawą rodzinę: dwie matki i one, dwie siostry.

Tyle jest rodzin z matką i ojcem, że fajnie pokazać, jak ktoś mówi, że dla niego standardowa rodzina to dwie matki i dawca. Ładna historia do opowiedzenia w reportażu telewizyjnym.

Mieliśmy fajne obrazki, jak dziewczyny robią empanadę, kroją pieczarki, wychodzą z psem. Jak oglądają zdjęcia z dzieciństwa i opowiadają, że przez całe życie ludzie pytali je, skąd pochodzą. O momencie, w którym uznały: wow, jesteśmy podobne do Bjorna. O tym, jak Karbaat mówił ich matkom, że dawca pochodzi z Włoch, a przecież już wiemy, że to kłamstwo.

A właśnie, u Karbaata też byliśmy, to było w pierwszym odcinku. Spontaniczna akcja, nie wiedzieliśmy, czy otworzy, więc nie wyrobiliśmy się z nagrywaniem. Poza tym kolega uznał, że ta rozmowa nie miałaby wartości dodanej dla naszej historii, bo doktor Karbaat nie jest jej bohaterem.

Ale z tego, co opowiadasz o tej swojej książce, to tobie Karbaat by się do historii przydał. Spróbuj jeszcze raz do niego podejść.

Czekaj, nie wyłączaj jeszcze nagrywania! Powiem ci coś dobrego do puenty.

Sam jestem dawcą spermy.

Wprawdzie nie w klinice i nie mam dwóch setek dzieci. Para lesbijek spytała mnie dziewięć lat temu, czybym zechciał. Urodziła się dziewczynka, mam z nią kontakt od dziecka, zna mnie.

Reakcja mojej dziewczyny? Byłem dawcą dla tych kobiet, zanim ją poznałem, i dość szybko jej o tym powiedziałem. Więc kiedy urodził nam się synek, szybko złapał wspólny język z tą ich córką, bardzo się lubią.

Dziś, gdy znam więcej historii dzieci, które przez dawstwo dorastały

w niepełnej rodzinie, trochę inaczej na to patrzę. Ale wtedy chciałem po prostu pomóc kobietom, żeby mogły mieć dziecko, tylko to się liczyło.

Wierzę, że wielu dawcom też przyświeca taka myśl, choć na pewno są tacy, którzy nie mają własnych dzieci i chętnie zrobiliby cokolwiek, żeby móc powiedzieć: a jednak jestem ojcem.

W sensie: trochę ojcem. Nie rodziny, ale biologicznym.

Mimo wszystko pomysł tego całego Louisa to jednak grube przegięcie.

Spotkałem go przy pobieraniu DNA do porównania, facet wydawał się w porządku. Ale wiesz, mamy dużą widownię, ludzi o różnych poglądach. Gdybyśmy go pokazali w telewizji, byłby straszny hejt, chcieliśmy mu tego oszczędzić.

Poza tym Bjorn nam odradzał – w programie mieliśmy szukać siostr i braci, nie każdy z nich chciałby spotkać dawcę. Może gdyby Louis wystąpił, byłoby mniej zgłoszeń? Może widzowie przełączyliby kanał?

Pracujemy na delikatnych przypadkach, trzeba zachować przyzwoitość. Odcinek musi powstać, ale nie za wszelką cenę.

Czasem, zanim przekazemy komuś ważną wiadomość, ostrzegamy: „Zadzwoń do ciebie jutro, chcę coś uzgodnić, opowiedzieć ci, jakie są postępy w twojej sprawie. O której? Sam wybierz, nie pośpieszamy”.

Wtedy ta osoba wie, że coś się wydarzyło, i może wybrać godzinę, o której będzie w domu z kimś bliskim, żeby mieć wsparcie. Jest w tym trochę misji.

Mam świadomość, że to jest czyjeś życie. Ale jeszcze lepiej wiem, że dla widzów to coś w rodzaju serialu. Może być ciekawy i go oglądasz, albo nudny i masz go gdzieś.

Są badania, które pokazują minuta po minucie, kiedy telewidzowie przełączają kanał i po ilu minutach wracają, żeby dać odcinkowi drugą szansę. Musisz utrzymać uwagę, przedstawiona historia nie może być zbyt długa, ważne są zwroty akcji.

Mam podać przykład? Oj, trudno tak z marszu wymyślić.

Jeden facet mówi: „U mnie było tak”, po paru minutach odzywa się drugi: „U mnie było inaczej”. Potem pokazujesz, jak pierwszy mówi, że jego hobby to motory. Zaraz potem pokazujesz drugiego w pędzącym samochodzie. Widz myśli wtedy: A to dopiero zbieg okoliczności! Tu motor, tu szybkie auto, coś jest na rzeczy! Wchodzi reklama, potem wracasz z wywiadem.

Z Połówkami nie trzeba było tak kombinować. Dużo bohaterów, różne ujęcia, kilka odcinków, rozmowy przez Skype’a. Dla nas taki przypadek był odświeżający sam w sobie.

Ale masz rację, ludzie pisali, że odcinek, w którym Bjorn odnajduje kilkanaścioro nowych Połówek, trochę ich wynudził. Spodziewałem się tego, to jednak niestandardowa historia, ludzie nie są przyzwyczajeni i trudno im się

skupić.

Widzom najlepiej się ogląda, kiedy nie muszą śledzić zbyt wielu wątków. A tu: Bjorn opowiada swoje, Maaïke swoje, Fien swoje, w tle jeszcze ten Louis i Karbaat.

Widzom najlepiej się ogląda, jeśli mogą się z kimś utożsamić, wyobrazić sobie, że sami to przeżywają. A tu, powiedzmy sobie szczerze, kto potrafi sobie wyobrazić, że ma dwie setki braci i sióstr?

Wiesz, Kamilu, bo optymalnie byłoby mieć historyjkę, rozwiązanie i tyle. Jeden jeździ na motorze, drugi jeździ na motorze, spotykają się, robią test DNA, okazuje się, że są braćmi, i koniec odcinka.

Ludzie kochają proste opowieści. No więc, bracie, masz trochę problem.

Więc powodzenia z tą książką, a ja tymczasem wracam do roboty.

XVIII

Przypływają nowi

„Też w to nie wierzę, ale jesteś moim bratem!” – krzyczy Bjorn przez telefon do swojego brata.

Ale może po kolei.

W pierwszym odcinku *Bez śladu* Bjorn ogłosił, że szuka dwustu Połówek. Maaike i Fien pomagały mu przedstawić tę historię i poszły z nim do Karbaata.

W drugim Bjorn, Maaike i Fien usłyszeli opowieści osób, które zgłosiły się do testu DNA po ich apelu. Producenci dostali pięćdziesiąt dwa zgłoszenia. Fien przeraziła się: jeśli wszyscy okażą się Połówkami, na spotkania będzie trzeba wynajmować całą salę.

– To niemożliwe! – rozemocjonowała się Fien.

– Co niemożliwe? – spytał Bjorn.

– Tyle dzieci z jednego ojca!

Bjorn odpowiedział jej, że to jak najbardziej możliwe, byli przecież świadomi tej możliwości, bo jeśli szuka się dwustu osób, a do tej pory było ich piętnaścioro, to dzięki *Bez śladu* mogło się znaleźć nawet sto osiemdziesiąt pięć. Tak jej to wytłumaczył, prosta matematyka.

Fien rozśmieszyło, że Bjorn omawia to tak chłodno. Bo wyliczenia to jedno, ale gdy okazują się prawdą i te osoby rzeczywiście istnieją, jest to jednak szokujące.

Kilka miesięcy później Bjorn jedzie na nagranie trzeciego, finałowego odcinka *Bez śladu*, w którym przed kamerami się dowie, ile ma nowego półrodzeństwa. Ale gdy już jest w drodze, niespodziewanie dzwonią do niego nie producenci, lecz pracownicy FIOM: jest zgodność z jego bratem. Tym rodzonym.

Bo Bjorn ma młodszego brata, Kjelda. Kjeld cierpi na autyzm, w dzieciństwie nie bawili się razem prawie nigdy, jedyna wspólna zabawa polegała na tym, że Bjorn budował coś z klocków Lego, a Kjeld to burzył. Poza tym brat Bjorna nie wyczuwał ironii, nie wiedział, czemu dowcip powtórzony pięć razy nie jest śmieszny, w ogóle trudno było z nim rozmawiać, więc nie rozmawiali.

Kiedy do autyzmu Kjelda doszła inna, poważniejsza choroba, a kolega powiedział Bjornowi: „To jest ten czas, kiedy powinienes przez chwilę stać się prawdziwym starszym bratem, wesprzeć go”, Bjorn nie wiedział nawet, jak miałby to zrobić. „Nie czułem, że powinienem. Uznałem, że lepiej trzymać się z boku i nie przeszkadzać. Na szczęście wyzdrowiał – opowiadał mi Bjorn kilka miesięcy wcześniej.

– Naprawdę nic nas nie łączy. Może tylko to, że Kjeld jest dzieckiem z dawcy, ale prawdopodobnie innego. Wcale nie jest do mnie i pozostałych

półbraci podobny, mogę ci pokazać fotkę”.

Fotkę pokazał – faktycznie niepodobny.

To dlatego Bjorn się zdziwił, kiedy jechał na nagranie *Bez śladu* i FIOM potwierdził, że biologicznym ojcem Kjelda jest jednak Louis. Kjeld zostaje więc szesnastą Połówką, ostatnią przed spodziewanym wielkim rozszerzeniem grupy.

Na plan przyjeżdża też Maaike. Przez większość finałowego odcinka będzie nad rzeką razem z Bjornem oglądać na laptopie materiały filmowe przygotowane przez producentów, w których kolejne zgłaszające się osoby opowiadają o swoim życiu. Później Bjorn i Maaike spotkają się z tymi spośród nich, których DNA wykazało zgodność. Jeszcze nie wiedzą, ile to będzie osób. Mają chwilę, żeby porozmawiać, sporo się ostatnio wydarzyło.

Bjorn: – Mój odcinek przyciągnął milion widzów. Zrobiłem to dla sławy, ale teraz widzę też pewien większy sens: ludzie dowiadują się, że dzieci z dawców istnieją, interesują się fundacją FIOM. Może jestem dla niektórych symbolem nadziei? To dużo dla mnie znaczy. Niektórzy dawcy usłyszeli po raz pierwszy o problemach, które pośrednio mogli spowodować.

Są Połówki, które obawiają się, że przez program grupa będzie zbyt duża. Sugerują, że może warto ją zamknąć, powiedzieć nowym, żeby założyli sobie drugą.

Jaleesa: – Powiedziałam im, że wprawdzie zgłosili się pierwsi, ale to nie znaczy, że są jacyś ważniejsi. Ludzie! Gdzieś tam w kraju jest nas dwusetka, pogódźcie się z tym wreszcie.

Bjorn: – Zamykanie grupy nie byłoby w porządku. Przecież osobiście tych ludzi zaprosiłem, i to za pośrednictwem telewizji. Zresztą ci, którzy się zgłosili, też muszą mierzyć się z nową sytuacją. Słyszeliśmy od producentów o rodzicach, którzy dosłownie przed telewizorem, po obejrzeniu naszego odcinka, powiedzieli dziecku, że jest z dawcy. A więc takiej osobie moje pójście do telewizji wywróciło do góry nogami całe życie.

Na planie Bjorn i Maaike dowiadują się, że nie wszyscy przetestowani są Połówkami. Nie znaczy to jednak, że osoby te nie znalazły półrodzeństwa. Wśród tych, których DNA nie wykazało zgodności z Bjornem i Maaike, pojawiła się druga grupa, genetycznie między sobą zgodna. Jednym z nich okazuje się usunięty wcześniej z grupy Połówek Noach. Dzięki zgłoszeniu się do telewizji odnajduje ósemkę nowych półbraci i półsióstr.

„Macie dwanaście nowych zgodności” – słyszą Bjorn i Maaike. Maaike liczy coś pod nosem. Mina Bjorna zdradza lekki niedosyt. Ale dwanaście osób to i tak dużo. Kamera przedstawia kilka z nich po kolei, potem nowi wsiadają razem na motorówkę, która zabierze ich do Bjorna i Maaike.

Spotykają się w porcie, przed kamerami. Dołączają Amanda i Joyce, kilkanaście osób wymienia uściski dłoni.

– Jestem Joyce – przedstawia się z uśmiechem Połówka numer piętnaście ciemnoskóremu chłopakowi.

– Jestem Joy – odpowiada chłopak i oboje wybuchają śmiechem.

Potem wszyscy siadają w kółku. Posiedzą długo, bo tematowi do rozmowy nie ma końca. Każda nowa Połówka ma osobną historię, często taką, o jakiej w dotychczasowej szesnastoosobowej grupie jeszcze nie słyszeli.

Po pierwsze – do grupy dołączają Połówki wychowane w związkach homoseksualnych. Ariane i Simone mieszkały od dziecka z dwiema matkami. Jordy też był z początku synem dwóch matek, ale z czasem jedna z nich odeszła od rodziny. Joy, policjant z Rotterdamu, ma bardziej skomplikowaną sytuację: jego matka urodziła pierwszą córkę i syna, będąc w związku z mężczyzną, później związała się z kobietą i urodziła Joya z dawstwa, po czym ze związku z kolejnym mężczyzną urodziła dziewczynkę. Joy jest więc jedynym dzieckiem w tej rodzinie, które urodziło się w związku homoseksualnym matki.

Po drugie – ponieważ wszystkie nowe Połówki zostały poczęte w Barendrechcie, na jaw wychodzą kolejne kłamstwa doktora Karbaata. Matka dwóch nowych Połówek przed laty usłyszała od lekarza, że dawca będzie miał jedynie szóstkę dzieci i że pochodzi z Włoch. Matka Joya usłyszała z kolei, że był Egipcjaninem. Było to o tyle dziwne, że ona sama jest Surinamką i nie miałaby nic przeciwko, gdyby dowiedziała się, że dawca pochodzi w połowie z jej macierzystego kraju.

Eva, nauczycielka plastyki z Amersfoortu, była jedną z tych nowych Połówek, które o tym, że są z dawstwa, dowiedziały się z powodu programu. Jej rodzice zobaczyli Bjorna w telewizji i uznali, że nie mogą dłużej trzymać tej sprawy w tajemnicy. Eva w jednej chwili dowiedziała się, że jej ojciec nie jest jej biologicznym ojcem, a jego córki z pierwszego małżeństwa, z którymi utrzymywała kontakt, nie są jej siostrami przyrodnymi, tylko niespokrewnionymi z nią osobami.

– Dla mojego taty związek z mamą był drugim małżeństwem – mówi Eva.
– Z pierwszego miał te dwie córki, potem poddał się wazektomii, ale gdy poznał mamę, chcieli mieć razem dzieci. Wazektomii nie udało się cofnąć, więc pojechali do Barendrechtu. Urodziłyśmy się my, moja siostra i ja.

Producenci programu przekazali Evie jeszcze jedną, trudniejszą wiadomość: jej starsza siostra ma innego dawcę niż ona.

– Musiałyśmy – ciągnie opowieść Eva – zapewnić się nawzajem, powiedzieć na głos, że wciąż jesteśmy siostrami, że nie chodzi o pełną zgodność genetyczną, tylko o relację, którą budowałyśmy dwadzieścia trzy lata. Później ja dowiedziałam się, że jestem Połówką, a siostrze powiedzieli z kolei, że też ma w bazie zgodność z jedną dziewczyną. Cieszyłam się, że obie jesteśmy w podobnej sytuacji, tylko mojego półrodzeństwa jest o dwadzieścia sześć osób więcej niż jej. Co się, do

cholery, robi z tyloma braćmi i siostrami?!, pomyślałam i do dzisiaj nie do końca umiem sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Bilans Połówek po programie: dwadzieścia osiem osób.

– Przydałoby się zrobić spis inwentarza – śmieje się Joy w odcinku *Bez śladu*, kiedy autorzy programu opowiadają mu o rezultatach poszukiwań.

– Na dotychczasowe poszukiwania Bjorna żywiłowo reagował Louis, choć nie tak, jak chciałyby tego Połówki. Zaproponował – mówi Maaike – że skoro tylu ludzi wypowiada się pozytywnie na temat poszukiwań Bjorna, on też chciałby wystąpić w telewizji: „Cześć, jestem waszym dawcą, pozwólcie się odnaleźć!”. Powiedziałam mu, że to fatalny pomysł, nie zgadzamy się.

Połówki uważają, że gdyby Louis pokazał się w odcinku, mogłoby się zgłosić mniej osób, a ujawnienie jego twarzy przed milionową widownią mogłoby też być niebezpieczne dla niego samego.

– Spytał – opowiada Maaike – czy może należeć do grupy Połówek na Facebooku. Odpowiedziałam: nie, Louis, to nie twoja sprawa, nie jesteś częścią naszej grupy. Napisał, że nie rozumie, czemu nie chcemy się z nim widywać.

Bjorn pisze Połówkom długą wiadomość o tym, dlaczego jego zdaniem szansa na zbudowanie z ich biologicznym ojcem jakiegokolwiek więzi jest mała: Po pierwsze, związki emocjonalne są ważniejsze niż biologia, a Louis z powodu braku empatii nie interesuje się Połówkami jako osobami. One z kolei nie interesują się jego genealogią. Dla Bjorna relacja jest więc niemożliwa z powodu niezgodności zainteresowań. *Poza tym – pisze Bjorn – w historii rodziny Louisa każdy z nas jest tylko zapiskiem na marginesie. W historii naszych rodzin jesteśmy głównymi wątkami: dziećmi, wnukami, a w przyszłości rodzicami i dziadkami, nawet jeśli nie łączą nas z tymi rodzinami wspólne geny.*

Tylko Henrik nazywa Louisa tatą. Kiedy odnaleźli się z Amandą i Boyem jako pierwsze trzy Połówki, po jakimś czasie Henrik zadzwonił do nich i użył właśnie tego słowa: „Znaleźli tatę!”.

– Wkurzyłam się – mówi Amanda. – Dla mnie i reszty Połówek Louis jest dawcą. Moim ojcem był Beri, to on zmieniał mi pieluszki, nauczył jazdy na rowerze i bawił się ze mną lalkami Barbie. A z Louisem łączy mnie tylko DNA, nic więcej. Ale Henrik to co innego, on miał miejsce na ojca wolne.

– Czuję wobec ojca ustawowego, czyli byłego męża mojej mamy, pewne zobowiązanie – mówi Jaleesa. – Wprawdzie nie zasłużył się niczym szczególnym, uciekł, kiedy miałam rok, zerwał kontakt, kiedy miałam sześć lat. Ale Louis zrobił jeszcze mniej!

Większość ze starych Połówek spotkała się z Louisem chociaż raz. Za to spośród dwunastki, która dołączyła do nich po programie *Bez śladu*, kilka osób mówi mi, że nie ma tego nawet w planach. Szczególnie ci, których rodzice wciąż są razem.

– Karbaat za wszystko odpowiadał i to on ponosi największą winę – uważa Eva. – Ale ja w duchu jestem bardziej wściekła na Louisa. Może dlatego, że coś mnie z nim łączy? Mam jego geny, muszę opowiedzieć się po jakiejś stronie: zdecydować, czy chcę go spotkać, czy nie.

– Co sądzisz o jego liście? – pytam.

– Jakim liście? – dziwi się Eva.

– Tym, w którym opowiada wam o swojej rodzinie.

– Nie dostałam go, bo do Połówek dołączyłam poprzez program i nie jestem zarejestrowana we FIOM. Louis nie ma pojęcia, że istnieję. To mój mały rewanż. Nie zamierzam sprawiać mu radości, być kolejnym dowodem na to, że jego plan się powiódł. Nie będę jego trofeum.

Dwie nowe Połówki, Eva i Jetske, tłumaczą mi, że zgłosiły się do programu po to, żeby odnaleźć półrodzeństwo, a nie ojca. Louis może ich nigdy nie poznać, bo w przeciwieństwie do FIOM program *Bez śladu* nie informuje go o nowych zgodnościach – producenci w założeniu szukali półrodzeństwa Bjorna i Maaïke, a nie dzieci Louisa. Nie pokazali też twarzy niektórych nowo odnalezionych, jeśli osoby te nie wyraziły zgody.

– Co by mi dało spotkanie z nim? – zastanawia się Jetske. – Spodziewam się drugiego dziecka, mam pracę, swoje sprawy, szkoda mi czasu. Poza tym mam ojca, nie brakuje mi tej postaci w życiu. Połówki przekazały mi historię rodu na papierze. Przeczytałam z przyjemnością, zrozumiałam, skąd mam ciemniejszą skórę. Ale nie czuję potrzeby spotkania się z biologicznym ojcem.

Jetske opowiada mi to w swoim domu w Den Bosch. Z zawodu jest prawniczką, więc sporo rozmawiamy o tym, jak zmieniało się w Holandii prawo dotyczące dzieci z dawców. Przez całą rozmowę patrzy mi prosto w oczy, dlatego pamiętam je jeszcze długo po spotkaniu: intensywnie brązowe i duże, nawet w porównaniu z innymi Połówkami.

Poczuję déjà vu, gdy niemal identyczne oczy spojrzą na mnie kilka dni później, kiedy mój wzrok spotka się po raz pierwszy ze wzrokiem Louisa.

Louis zaczyna opowiadać

Ubiegł mnie. Siwy mężczyzna po sześćdziesiątce, z wysokim czołem i cienkimi okularami na nosie. Raczej śniady niż ciemnoskóry.

Kiedy umawiam się z kimś na rozmowę, przychodzę zwykle kwadrans przed czasem, z daleka wyglądam zbliżającego się rozmówcy. Jednak dziś to nie wystarczyło: Louis czeka już przy wejściu na dworzec.

W kawiarni zamawiamy herbatę miętową. Po paru zdaniach widzę jego lekkie tiki i kląskanie.

Kląsk.

Dziwny, mlaszczący dźwięk, który wydaje z siebie co jakiś czas. Czytałem, że niektórzy aspergerowcy w ten sposób się relaksują. Nie umieją siedzieć bezczynnie, w ich głowie myśl goni myśl, więc szukają sposobu, żeby się odstresować i od tych myśli uwolnić. Jedni pukają rytmicznie w ścianę, inni kopią nogę od stołu. Louis kląska.

Poza tym mówi jednostajnym tonem i trochę za głośno. Zwykle czeka, aż skończę pytanie, ale zaczyna odpowiadać niemal w tej samej sekundzie, kiedy milknę.

Jeśli chodzi o pytania, umówiliśmy się na listę, ale zapomniałem ją wydrukować. On wydrukował, leży przed nim na stoliku.

– Aspergerowcy mają pewne reguły, którymi się kierują, i podoba im się, kiedy druga osoba ich nie łamie. Masz takie? – pytam.

– Jasne, że tak – odpowiada.

– Zdradzisz? Może będzie się nam lepiej rozmawiało.

– Nie, bo przeszedłem terapię. Parę lat temu zauważyłem, że gdy tłumaczę ludziom te zasady, a oni się z nimi nie zgadzają, denerwują się. W rozmowie nigdy nie wiedziałem, co mam myśleć i co mówić. Mówiłem coś tylko dlatego, że to pierwsze przyszło mi do głowy, a wydaje mi się, że inni ludzie mówią tylko rzeczy odpowiednie do sytuacji. Ja nie wiem, co to znaczy „odpowiednie do sytuacji”. Przez większość życia tego nie rozumiałem, ale jeśli dziś dowiem się dokładnie, co robię źle, umiem to poprawić. Więc hamuję się, choć kiedyś potrafiłem na głos wygłaszać głupie uwagi, przeklinać i nie widzieć, że komuś to przeszkadza.

Pytam Louisa o przykład.

– Proszę bardzo. Gdybym nie trenował zachowań społecznych, to teraz powiedziałbym ci to, co sobie pomyślałem: że twoja praca reportera to żadna praca, raczej coś jak wakacje. Jeździsz za granicę za kasę wydawnictwa, piszesz bzdury, nikt tego nie czyta, dostajesz kupę pieniędzy.

– Nieprawda! – protestuję.

– No widzisz, po co pytałeś? – śmieje się. – Ale dobrze, szkoda czasu. Mamy całą listę pytań do przerobienia.

– Jak zaczęło się... – próbuję zadać pierwsze, ale nawet nie kończę zdania, bo Louis poruszony z hukiem stawia szklanę z herbatą na stole i mówi:

– OK, słuchaj, po kolei.

To było tak.

1.

– Moje dzieciństwo niewiele wnosi do sprawy, nie ma związku z dawstwem.

Może ważne jest to, że wtedy nie wiedziałem o moim autyzmie, dokładniej aspergerze, a właśnie z tego powodu cierpiałem. Jako dziecko nie rozmawiałem z nikim, siedziałem cicho. Ojciec wymagał, żebym miał dobre oceny, ale jak, skoro w szkole nic mnie nie interesowało? Czemu mam uczyć się matematyki albo francuskiego? Czy nie mogę po prostu czytać komiksów? Albo uczyć się tylko biologii? Nie rozumiałem tego.

Potem rodzice się rozwiedli. Matka wzięła ślub, ojciec wzięł ślub, przeniósłem się do innej szkoły. To byłoby trudne dla normalnego dzieciaka, a co dopiero dla mnie. Miałem słabe oceny.

Babcia powiedziała, że dopóki ich nie poprawię, nie dostanę kieszonkowego. Zatrzymywała pieniądze, zbierała je, ale nigdy mi nic nie oddała. Z ojcem też nie było dyskusji, wiecznie tylko: „Louisie, to twoja wina, nie starasz się wystarczająco”, „Louisie jesteś leniwy, to jedyny powód”.

Kłask.

– Pewnie miałeś problemy z kolegami z klasy? – pytam.

– Nie, nie miałem żadnych – odpowiada.

– Żadnych problemów? – dziwię się.

– Żadnych kolegów – precyzuje. – Siedziałem z boku, nauczyciel i inne dzieci mnie ignorowali. Ale nie ukrywam – bardzo mi to pasowało.

2.

– Jestem świadom swoich uczuć. Nie czuję ich, ale wiem, że są. Mój autyzm przejawia się w tym, że abym mógł świadomie zarejestrować uczucie, musi mieć określoną intensywność i charakter. Czuję tylko te mocne i niestety jedynie negatywne. Robię wszystko, żeby mnie nie dopadły.

Mam dwa takie najgorsze wspomnienia.

Jako chłopiec poszedłem z ojcem do hali targowej w centrum miasta. Było tam stoisko z modelami statków i łódek. Malutkie, metalowe, piękne modele. Niestety drogie, po dwadzieścia pięć guldenów, a ja nie dostawałem kieszonkowego, więc sam nie mogłem nic kupić. Poprosiłem ojca. Powiedział, że kupi mi łódkę, jeśli poprawię oceny.

Cały rok miałem w głowie tylko te małe łódeczki, codziennie. I wreszcie się udało, pierwszy raz w życiu przyniosłem wzorowe świadectwo. Spytałem tatę, czy teraz dostanę chociaż jedną łódeczkę. „Nie” – odpowiedział, a ja poczułem, że coś we mnie pęka.

– Pęka? To znaczy?

– Mówiłem, że trudno mi wyrażać uczucia. Ale spróbuję. Jest taki poemat z XIX wieku, *Pani na Shalott*, o kobiecie, która może patrzeć na świat tylko przez lustro. Lustro się rozbija i od tej chwili na kobiecie ciąży klątwa. Agatha Christie zrobiła z tego motto jednego z kryminałów. To leci tak:

*Zerwana nic jak cienki włos,
Zwierciadło pęka w odłamków stos,
Klątwa nade mną, woła w głos
Pani na Shalott.*

Ojciec kupił mi wtedy brzytwę do golenia. Uwierzysz? Nie kosztowała nawet pięciu guldenów. To był czas, kiedy zarost powoli pojawiał się na mojej twarzy. Innym razem kupił mi buty, bo uważał, że każda rzecz, jaką mi da, musi być praktyczna. A ja przecież lubiłem komiksy, książki, ale nie, na to nigdy nie było pieniędzy. „Poczekaj na urodziny”, „Poczekaj na święta” – mówił. To było dużo czekania, bo między moimi urodzinami a świętami jest dziewięć miesięcy.

Dalej nie rozumiesz, o co chodzi z tym pękniętym lustrem? To może inna angielska rymowanka?

*Humpty Dumpty na murze siadł.
Humpty Dumpty z wysoka spadł.
I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie
Złożyć do kupy nie byli go w stanie.*

To właśnie to uczucie. Po rozwodzie rodziców mieszkałem z mamą i ojczymem, raz w miesiącu odwiedzałem w weekend ojca i jego nową partnerkę. Był na to ustalony dzień i godzina. Ale raz przyjechał po mnie niezapowiedziany, pojawił się nagle na chodniku przed domem.

Nie znoszę zmian i nieprzewidywalności, chciałem dokończyć oglądanie telewizji. Powiedziałem: „Tato, umówiliśmy się na konkretną godzinę, teraz oglądam”. Ojciec nic sobie z tego nie robił, powiedział tylko: „Idziesz ze mną”.

Mama wzięła jego stronę, dostałem szlaban za złe zachowanie. Mimo że byli już po rozwodzie, mimo że miałem rację i nikt nie ustalał wcześniejszego terminu.

Nigdy nie zapomniałem im tych sytuacji. Matce niesłusznego szlabanu, ojcu tego, że nie kupił łódeczki, choć obiecał.

Zwierciadło pękło w odłamków stos i nic nie było w stanie złożyć go do kupy.

3.

Jako dziecko nie wiedziałem, kim chcę zostać. Zwykle zawody, jak strażak, pilot, żołnierz, normalne prace dla normalnych chłopców, dla mnie były niedostępne. Nikt by nie zatrudnił takiego dziwaka. Wiedziałem tylko, że zostanę w tym samym mieście, bo nie zniósłbym przeprowadzki.

Kiedy po szkole musiałem wybrać, co chcę dalej robić, przypomniałem sobie interesujące historie, które opowiadał mój nauczyciel ekonomii. Coś o holdingach, jak firmy stają się nawzajem swoimi właścicielami. Wybór kierunków był słaby, dzisiaj jest tego więcej. Poszedłem na ekonomię, najmniej nieinteresującą rzecz, jaka była do wyboru.

Uniwersytet był weekendowy, sobotni, dostawałem pracę domową i nikogo nie obchodziło, czy ją zrobiłem, czy nie. Trzy lata wakacji, tak to widziałem. A jednak nie było fajnie. Okazało się, że na ekonomii opowiadają mało interesujące historie, jest za to dużo nudnej matematyki. Do tego pokłóciłem się z ojcem o pieniądze na studia. Rzuciłem je.

Znalazłem pracę w banku, tam było podobnie jak w szkole. Nawet trochę gorzej, bo pierwsze stanowisko to była obsługa klienta.

Kiedyś miałem na linii męczyznę, który chciał załatwić natychmiastową płatność teleksem. Był spóźniony, zależało mu na czasie. Dziś problemu by nie było, to parę kliknięć w komputerze. Ale wtedy ja obsługiwałem teleks i powiedziałem mu:

„Proszę pana, takie rzeczy robi się dzień wcześniej, nie czeka się do ostatniego momentu. Mogę panu pomóc, ale to będzie trwało jeden dzień dłużej”.

„Jak to dzień dłużej? – zapytał. – Ciężarówka z towarem stoi już na granicy”.

„Co z tego? Co mnie to obchodzi? To pan się spóźnił” – odpowiedziałem.

Szybko odsunęli mnie od kontaktów z klientami. Odkryłem, że nie rozumiem pojęcia stosowności. Że mówię rzeczy, które dla innych są w danej sytuacji nie do pomyślenia.

Kiedy dzisiaj wspominam tamtą rozmowę, wciąż uważam, że miałem rację. Zrozumiałem jedynie, że pewnych rzeczy nie warto mówić na głos.

4.

Nie jestem dobrym człowiekiem. Jak może być dobry ktoś, kto nie umie współczuć?

Kiedy jeden z szefów, który był dla mnie niemiły, poważnie zachorował, ucieszyłem się. Ktoś mi powiedział, że tak nie można. Ale dlaczego? Przecież go nie lubiłem. Podobno w marynarce wojennej mówią: „Nie ma większej radości niż radość z cudzego nieszczęścia”.

Rozumiesz to powiedzenie czy to jest po polsku nieczytelne?

Mówię bez przerwy, każdy musi mnie słuchać, irytuję tym ludzi. Mam

sąsiada, którego dziecko jest wrażliwe na suche powietrze. Chciał, żeby cała wspólnota zainstalowała wentylację. Powiedziałem mu, żeby sam sobie zainstalował te wentylatory, bo to jego dzieciak i jego sprawa.

Byłem z kolegami z pracy w chińskiej restauracji. Nie smakowało mi, więc powiedziałem głośno, że w sklepie można dostać coś smaczniejszego. Podobno to też nie było właściwe, potem żałowałem.

Ale każda wada ma swoją zaletę. Tak przynajmniej mawiał sławny trener piłki nożnej Johan Crujff.

Jestem wytrwały, nieugięty. Jeśli coś mi się powierzy albo coś sobie postanowię, zawsze doprowadzę to do końca. Jestem na miejscu i zawsze na czas, bo odwiedzanie nowych miejsc nie sprawia mi radości. Nie choruję, więc nie biorę wolnego.

Mój kolejny szef w banku był wspaniałym człowiekiem. Nie wnikał w to, co robię, miałem wykonywać obowiązki i nie przeszkadzać. Idealne rozwiązanie: zajmowałem się rzeczami, które lubię, na przykład wymianą wzorów formularzy. No i miałem wreszcie własne miejsce: kawałek podłogi w kącie, moje biurko, przy którym mogłem pracować tak, jak chciałem. Nie zmieniłem biurka przez ponad trzydzieści lat. Wreszcie miałem swój mały świat, gdzie to ja byłem szefem.

W pracy wciąż jednak mówili, że mam niewyparzoną gębę.

Kolejnym szefom nie podobało się to, że przeszkadzam innym, mówię dziwne rzeczy. Jakie? Gdybym wiedział, tobym ich przecież nie mówił. Trzeba mnie nauczyć: tego się nie mówi, a to się mówi. Ale w pracy nikt nawet nie próbował. „Siedź w kącie, rób formularze, przynajmniej niczego nie zepsujesz” – tak mówili. I dobrze, bo mogłem zajmować się tym, czym chciałem.

Wstąpiłem do stowarzyszenia gier planszowych. Małe plastikowe żołnierzyki, RPG, gry na tury, planszówki. Tam było wielu takich specyficznych jak ja, w zasadzie wszyscy tacy byli. Jest pewna wąska grupa osób, która zamiast piłki nożnej lubi takie gierki, szachy czy warcaby. Dość szybko dostałem się do zarządu. Przygotowywałem gazetkę, pisałem artykuły do magazynu, porządkowałem foldery. Bezpłatnie, a nawet w godzinach pracy. Tak po prostu, bo to lubiłem. Rejestrowali się u mnie nowi członkowie. Byłem skarbnikiem, administratorem, drukarzem, naklejałem etykiety, wkładałem do kopert, tworzyłem archiwum wycinków, wysyłałem druczki płatności i potwierdzenia przelewów corocznych składek. Jeśli ktoś nie zapłacił, to nawet wysyłałem mu przypomnienia. Przepisywałem, przeklejałem, wypełniałem. To była moja ulubiona praca, nigdy nie chciałem się nią z nikim dzielić. Taka jednoosobowa linia produkcyjna. Złożyłem przez lata sto dwadzieścia pięć numerów czasopisma i tylko dwa razy spóźniłem się z produkcją, bo byłem chory.

Co tam dalej było? Aha, „Co cię uszczęśliwia?”.

To jedno z trudniejszych pytań. Jak mówiłem, czuję coś tylko wtedy, gdy

jest bardzo silne i negatywne. Kiedy zobaczyłem na liście to pytanie, zastanowiłem się, czy kiedykolwiek czułem szczęście. Ale nie, nigdy. Ja tylko redukuję liczbę sytuacji, w których odczuwam ból, strach i pustkę.

Dobre wspomnienia? Nie ma ich dużo.

Jeden taki moment był w 1993 roku. Chodziłem na kurs technik relaksacyjnych, na zaliczenie trzeba było zastosować poznane techniki. Zrobiłem to, ale nie tak, jak uczyli, wprowadziłem kilka zmian do sposobu medytacji. Trenerzy narzekali, że robię po swojemu, ale nie kłóciłem się z nimi. Pozwoliłem im gadać. Rzadka sytuacja, kiedy zrobiłem coś po swojemu, a jednak się udało i nikt nie miał mi tego za złe. Po tym kursie poczułem przez chwilę, że może to już. Że może już prawie jestem normalnym człowiekiem.

I did it my way, pomyślałem. Tak jak śpiewał Sinatra, *I did it my way*.

Drugi taki moment był w 1996 roku. Zrobiłem dużo ciekawych kursów: szamanizm, tai-chi, reiki i warsztaty z fizjoterapii, prowadzili je Austriacy. Na warsztatach ujawnił się mój główny życiowy talent, który mało kto rozumie. Było tak: najpierw badali mięśnie i dobierali zabieg. Miałem mieć masaż, położyłem się na materacu, inna uczestniczka zaczęła klepać mnie energicznie w żebra. Zabolalo mnie tam na dole, gdzie są wolne żebra, bez połączenia z mostkiem.

„Ostrożnie!” – powiedziałem jej.

„A co, ma pan złamane żebro?” – spytała.

„Nie, i wolałbym, żeby tak pozostało!” – zażartowałem.

Ludzie się śmiali, ja się śmiałem. W zasadzie to dostałem takiego napadu śmiechu, że przez kilka minut leżałem i się trząsałem. Wtedy pomyślałem, że mam może jednak ten jeden talent w życiu: sarkastyczne poczucie humoru. Nawet jeśli zwykle ludzie go nie rozumieją. Wiesz, często, kiedy się śmieję, to po chwili kaszlę. A wtedy przez kilka minut nie zakaszlałem, mogłem sobie spokojnie leżeć i rechotać.

To chyba tyle, jeśli chodzi o momenty w życiu, w których poczułem się szczęśliwy. Więcej niestety nie pamiętam. Pewnie ich nie było.

Lubię myślenie, szukanie połączeń między rzeczami – autystyk, co poradzisz. Ze sportu to tylko rower, bo to jedyna możliwość ominięcia korków i tłumu w autobusie, a tłumy bardzo mnie stresują. Interesuje mnie druga wojna światowa, ale tak szczegółowo, więc chętnie porozmawiam o taktyce Erwina Rommla w pierwszej bitwie pod El-Alamejn w Egipcie.

Nic o tym nie wiesz? No właśnie, tak jest zawsze.

To może dalej o moim życiu?

5.

Postanowiłem, że się nie ożenię. Źle zniosłem rozwód rodziców, a małżeństwo przecież grozi rozwodem. Zresztą jakim cudem miałbym kogoś

poznać? Nie wychodziłem do kawiarni, klubów, nie wyjeżdżałem na wakacje. Jedyne kobiety, jakie znałem, to te, które przewijały się w mojej pracy.

Żadna z nich nie powiedziała by o mnie „fajny facet”. Powtarzały to samo: „Uważam, że miły z ciebie człowiek, ale jednak jesteś dziwny”. Trudno powiedzieć czemu ja sam tego nie dostrzegam. Robię coś, co jest źle widziane, i nie mam pojęcia, że tak jest. Chodzi może o mój sposób mówienia, o to, jak reaguję. Tych wszystkich społecznych zachowań, które ludzie po prostu nabywają, ja muszę uczyć się na przykładach.

Choćby to, że podchodzisz do kobiety i na początek rozmowy mówisz jej coś miłego. Ja tak nie zrobię, nie rozumiem, czemu tak się robi. A jeśli zrobię, bo mi ktoś to poradzi, i tak nic z tego nie będzie, bo kiedy próbuję być miły, wychodzi odwrotnie.

Moje specyficzne, dwuznaczne poczucie humoru też nie każda wytrzyma. To byłoby moje główne kryterium – znaleźć kobietę, która umiałaby się śmiać z moich żartów.

Cóż, jak by to powiedzieć – niezbyt mi się udało.

W biurze każdy kogoś miał, ja nie miałem nikogo.

Kląsk.

Pomyślałem: jestem jedynakiem, nie mam żadnej rodziny. Ojciec miał siostrę, ona też nie miała dzieci. Dotarło do mnie, że kiedyś umrę. Co się wtedy stanie?

Ważne jest też dla mnie moje nazwisko. Ono zdradza pewną przewodnią ideę, tę, która mi przyświecała. Bo nie nazywam się De Jong czy Vries, jak tysiące Holendrów. Fajnie, że też to zauważyłeś.

Dwieście lat temu moja prababka, która była niewolnicą, została uwolniona razem ze swoim synkiem. Dostali to nazwisko od surinamskiego urzędnika. Facet prawdopodobnie szedł z listą i wymyślał nazwiska. Brał to, co miał pod ręką: jednego nazwał „kręcącym się”, innych nazwał „wschodnim zbożem”. Z Olsena wyszło mu nazwisko Neslo, z de Vries – Vriesde. Znudzony urzędnik, wyżywający się twórczo. Kim był? Jak to wymyślił? Tego nie wiadomo.

A co znaczy Bałuk? Dobra, nie odpowiadaj, w sumie nic mi do tego.

Jest tylko jeden taki ród na całym świecie. Przynajmniej z nazwiskiem pisanym w ten sposób jak nasze, bo istnieją też inne, podobnie brzmiące. Jeden z krewnych jest historykiem, dotarł do archiwów w Surinamie i to ustalił. Poznałem chyba wszystkich żyjących członków rodziny, każdego mężczyznę. Wiedziałem, że ktoś z nas musi zadbać o to, żeby nazwisko przetrwało. Moi krewni mieli spore problemy z założeniem rodziny: Willy jest homoseksualistą, Rudy samotny, Ronald żenił się trzy razy, ale dzieci nie miał. Odpowiedzialność spoczęła więc na mnie. Wiedziałem, że beze mnie nazwisko rodu zniknie. Musiałem je przekazać kolejnemu pokoleniu. Ale komu?

Tak, wiem, że dzieci z dawstwa dostają nie moje nazwisko, tylko swoich rodziców. Wziąłem to pod uwagę. Wrócimy do tego, wytłumaczę ci.

Drugi powód był taki, że chciałem przekazać swoje geny, bo jestem zdania, że sensem życia kury jest znoszenie jajek. Natura wymaga od każdej żyjącej istoty, żeby przekazała geny następnemu pokoleniu. Za to, co ono zrobi dalej z tymi genami, nie odpowiadam.

Ale trzeci powód był najważniejszy. Czy będzie ktoś, kto przypomni sobie o mnie? Kto zapamięta, że w ogóle istniałem? Chciałem przekazać siebie dalej. Chciałem, żeby były na świecie osoby, które po mojej śmierci czasem mnie wspomną.

Żeby ktoś przyszedł na mój pogrzeb, powiedział krótko: „Przykro mi, że zmarł”. Żeby był ktoś, kto poukłada rzeczy, które po mnie zostaną, najlepiej, jeśli zrobi to schludnie, część rozdzieli, część odda, część weźmie. Żeby dzieci zachowały moje albumy ze starymi zdjęciami. To historia mojej rodziny, dla kogoś obcego bez wartości. Smutno mi, kiedy wyobrażam sobie, że po mojej śmierci obcy ludzie zabierają rzeczy z półek. To zadanie dzieci. Chciałem, żeby któreś z nich to zrobiło. Żeby jakiś wnuk powiedział: „Chcę to zachować, to przecież należało do dziadka”.

Pytasz, czemu to jest dla mnie ważne?

Bo jednak jestem człowiekiem.

6.

– Kiedy wpadłeś na ten pomysł? – pytam Louisa.

– W 1974 roku przeczytałem w „Nieuwe Revu” o sztucznym zapłodnieniu i dawstwie. Zabawne, nigdy nie czytałem artykułów w tej gazecie, interesował mnie tam jedynie komiks, który był w każdym numerze. Od razu wiedziałem, że dawstwo to coś dla mnie. Niestety, mieszkalem wtedy z mamą, przed którą by się to nie ukryło.

– Czemu nie chciałeś jej powiedzieć?

– Bo nie miałem z nią żadnej więzi. Z mamą i ojczymem nie żyło mi się dobrze. Zresztą, przepraszam, kim ty jesteś, żeby o to pytać? Musiałem poczekać kilka lat, do 1982 roku. Wreszcie, kiedy miałem trzydzieści dwa lata, wyprowadziłem się z domu i mogłem zacząć. Założyłem specjalny kalendarz, by od tej pory już do końca życia wiedzieć, co będę robił każdego dnia. Wszystko musi być na papierze, po tym spotkaniu też zapiszę sobie parę słów. Będę mógł w przyszłości sprawdzić, kiedy rozmawialiśmy i o czym dokładnie.

Artykuł w gazecie, tak się zaczęło. Zadzwońłem do stowarzyszenia zajmującego się seksualnością, spytałem, czy mają jakieś adresy. Skontaktowałem się z kliniką w Lejdzie, no i oczywiście z naszym wielkim przyjacielem z Barendrechtu doktorem Karbaatem.

– Przyjaźniliście się? – ozywiam się.

– Znów nie łapiesz sarkazmu.

7.

– Zacząłem w Lejdzie. Była kawa, ciasteczka, inni dawcy, taka trochę kawiarnia. Asystentek, które by pomagały w produkcji, nie było.

To ostatnie zdanie to był żart, zaznaczam na wszelki wypadek.

W Lejdzie znali Karbaata. Już wtedy, w latach osiemdziesiątych, nie miał dobrej reputacji. Wydaje mi się, że odszedł z rotterdamskiego szpitala po jakiejś aferze i zaczął intensywniej zajmować się inseminacjami. Zadzwoiłem do Barendrechtu, wypełniłem formularz, przyniosłem nasienie do testów.

Wszedłem do domu z białym bocianem, zresztą klinika też była jeszcze biała, teraz przemalowali ją na żółto. Cały czas coś dobudowywali, chyba biznes im się kręcił.

Karbaat powiedział, że sperma jest w porządku i mogę zacząć w poniedziałek.

Znakomicie!, pomyślałem. To była jednoosobowa praktyka lekarska, dzięki temu mogłem przychodzić, ile chciałem. Gdyby to było w jego dawnym szpitalu, musiałbym się ograniczać.

Produkowałem w domu. Potem wsiadałem na rower i przywoziłem.

Zacząło się: trzy banki spermy, w każdym jedna wizyta. Notowałem skrupulatnie, ile razy byłem w którym. W Lejdzie też to notowali, byli otwarci co do procedur. Podobało mi się, że zdawali mi raporty, ile razy użyli spermy, jaka jest jej jakość, jaka skuteczność, ile ciąży. Świetna sprawa, bo ja interesuję się szczegółami. Pytałem ich o wszystko, o te słomki, jak się je mrozi, jakie są szanse na zapłodnienie, co wpływa na jakość. W Lejdzie odpowiadali chętnie.

Wydaje mi się, że w Barendrechcie dawców było od dwudziestu do trzydziestu. Zwykle przychodzili, odchodzili, przychodzili nowi, przez te lata było nas sporo.

Ale ja byłem najwytrwalszy.

Louis puka palcami w stół. Bu-bum, bu-bum.

– Rytm, regularność, nawyk, harmonogram. To jest mi potrzebne, to muszę mieć. Szukam wzorów, które utrzymują regularność mojego życia. Jeśli wyjdę poza schemat, ogarnia mnie złość.

Kojarzysz postać Sheldona Coopera z *Teorii wielkiego podrywu*? Sheldon denerwuje się, kiedy ktoś korzysta z łazienki o tej godzinie, w której robi to zwykle on, albo kiedy ktoś w publicznej toalecie zajmuje jego pisuar. Dla widzów to postać komiczna, a ja odnajduję w niej siebie.

Dlatego każdy mój tydzień jest podobny: w środę zawsze chodzę grać w bingo, środa to też dobry dzień na spotkania z ludźmi, dlatego właśnie dzisiaj

rozmawiamy. Piątek i sobota są na nicnierobienie.

Tak było też z dawstwem. Dla mnie to był sposób na spędzenie czasu, zajęcie. Bo zwyczaj i regularność to coś, co mnie uspokaja.

W Lejdzie – wtorki wczesnym wieczorem, dojeżdżałem pociągiem. W Barendrechcie to były też wtorki, do tego czwartki i soboty. W Dijkzicht jeden konkretny umówiony dzień, raz w miesiącu. Miałem rozrysowany miesięczny schemat: dziesięć wizyt w Barendrechcie, dwie w Lejdzie, jedna w Dijkzicht.

Trzy banki to było maksimum. Jasne, że mógłbym więcej, ale po każdym oddaniu nasienia trzeba odczekać dwa dni, żeby nie spadała jakość. Na to nie mogłem sobie pozwolić.

Klinikę Karbaata odwiedzałem przed pracą. Nadkładałem drogi, z domu do centrum Bijdorp jazda na rowerze trwała dokładnie trzy kwadranse. Przeanalizowałem to: moje mieszkanie, moje biuro i klinika Karbaata tworzyły na mapie trójkąt, po którego bokach mogłem podążać, i zamykałem się w tych trzech kwadransach. Gdyby nie to, nie zdecydowałbym się. Jeździłem na rowerze, a przejażdżka zimą trwająca dłużej niż czterdzieści pięć minut przestaje być przyjemna. Gdybym mieszkał odrobinę dalej, trwałoby to dłużej. Musiałbym wstawać zbyt wcześnie, a przez to naruszać moje ustalone pory snu. W takim wypadku nigdy bym się na Barendrecht nie zdecydował, a dzieci nigdy nie przyszłyby na świat.

Dlaczego tak patrzysz? Nie rozumiesz, co mówię?

8.

– Twój ojciec i Karbaat znali się z Surinamu? Obaj w podobnym czasie byli tam lekarzami? – pytam.

– Nie wiem. Karbaat faktycznie twierdził, że spotkał w Surinamie członków mojej rodziny. Ale nie powiedział wprost, że znał ojca.

– Mówił o tym przy pierwszym spotkaniu?

– Raczej później, przecież w ciągu wielu lat byłem u niego częstym gościem. Zwykle nie gadaliśmy dużo, przychodziłem ze słoiczkiem, stawiałem go w miejscu, które trzymało ciepło. Jeśli rozmawiałem, to raczej z asystentkami, które pobierały krew i rejestrowały. Zawsze kobiety, jego obecna żona również jest jego dawną asystentką. Raz w miesiącu dostawałem pieniądze, co kilka miesięcy badał mnie na AIDS i inne choroby. Robiłem swoje, on robił swoje. Ja przynosiłem spermę, on dbał o to, żeby jej użyć.

– Wiedziałaś, w jaki sposób będzie używana?

– W Lejdzie spytali mnie, czy mogliby korzystać z mojego nasienia przy inseminacjach matek BOM. Byłem niechętny. W zasadzie wychowywałem się bez ojca, a mój ojciec bez mojego dziadka, dziadek z kolei w młodym wieku stracił matkę. Zauważyłem, że brak rodzica nie wpływa korzystnie na dziecko.

Powiedziałem więc, że wolałbym, aby dziecko miało jednak matkę i ojca. Ewentualnie dwie matki, ale muszą być w stałym związku. Obiecali, że tak będzie.

– A w Barendrechcie, u Karbaata?

– On nie pytał o nic.

9.

Od początku mówiłem Karbaatowi: powiedz im, kim jestem. Wtedy każdy dawca był raczej anonimowy, ale ja podkreślałem, że nie chcę być.

„Pokaż moje zdjęcie, przekaż imię i nazwisko, daj adres”.

„OK, zanotowałem” – mówił.

Gadki szmatki, historyjki wyssane z palca. W tym był specjalistą.

Zostawiłem mu dowód tożsamości do skserowania, niektórym matkom go przekazał. Dwójka z tych dzieci faktycznie się ze mną skontaktowała, jedną była Fien, a drugim Noach, który, jak się okazuje, nawet nie jest moim synem.

Nie rozumiem, dlaczego Karbaat każdemu mówił co innego.

Powtarzałem mu wyraźnie: chcę, żeby w przyszłości byli ludzie, którzy będą wiedzieć o mojej śmierci.

Kląsk.

Parę lat wcześniej byłem na pogrzebie kobiety, którą poznałem podczas wolontariatu w ośrodku opieki. Przyszli sami pensjonariusze i pracownicy ośrodka, nie było rodziny. To było strasznie smutne. Poczułem dogłębny, przejmujący żal. Wyobraziłem sobie, że umarłem, a moje ciało idzie do krematorium. Kto tam wtedy będzie? Może dzieci kuzynów, dalsi krewni ze strony ojczyma? Nie wiedzieliby nawet, kim byłem. Pomyśleliby tylko: to był Louis, którego widziałem raz w życiu.

To był mój cel. Żeby istnieli ludzie, którzy wiedzą, kim jestem, i którzy, jeśli umrę, dowiedzą się jako pierwsi. Żeby był ktoś, komu będę mógł zostawić moje rodzinne albumy ze zdjęciami. Może jedna, może dwie osoby, z którymi mógłbym nawiązać jakąkolwiek relację.

Popatrzmy dalej na tę twoją listę pytań. Jaka była moja główna myśl, kiedy zaczynałem oddawać nasienie?

Pamiętam ją dobrze, myślałem o tym jednym uczuciu, którego bałem się szczególnie. Wiedziałem, że kiedyś może przyjść, a ja muszę pokierować życiem tak, żeby przed nim uciec.

Bałem się, że kiedyś umrę, że nie zostanie po mnie nic i nikt nie będzie o mnie pamiętał.

Nie zapominajcie o mnie, to wtedy myślałem.

Kląsk, kląsk, kląsk.

10.

– Twoja matka była przeciw dawstwu?

– Nigdy się nie dowiedziała. Ojcu powiedziałem, jego reakcja była krótka: przestań natychmiast. Nie przestałem, bo nie obchodziło mnie, co mówi ojciec. Kiedyś spytał mnie jeszcze: I co, ile masz dzieci? Powiedziałem, że ponad dwudziestkę. Nic na to nie odpowiedział, myślę, że uznał to za żart. A ja przecież miałem dokładnie policzone.

– Nie podobało mu się, że to robisz?

– Nie wiem, nic więcej nie powiedział. Jeśli o mnie chodzi, miał tylko wymagania: żebym poszedł do szkoły, na uniwersytet, został lekarzem, prawnikiem, inżynierem albo coś w tym stylu. Żebym dużo zarabiał i żeby on mógł powiedzieć kolegom, że jego syn robi to albo tamto.

Kiedy przestałem studiować i zacząłem pracę w kącie biura, ojciec był niezadowolony. A przecież mnie strasznie się ta praca podobała! On tego nigdy, aż do śmierci, nie rozumiał. Wiesz, rozmawiamy już ponad godzinę. To oznacza, że prawdopodobnie słuchasz tego, co do ciebie mówię, dłużej niż mój ojciec łącznie przez trzydzieści lat życia – mówi Louis.

– Serio? – wypalam, bo nie wiem, co odpowiedzieć.

Louis kiwa potakująco głową. I mówi dalej:

– Dobrego kontaktu nie miałem z rodzicami już nigdy, aż do ich śmierci. Matka zmarła w 1986 roku, ojciec cztery lata później. Z grupą jego znajomych, bo w przeciwieństwie do mnie miał ich kilku, odwiedziłem po pogrzebie jego dom. Przejrzałem rzeczy, nie było tam niczego, z czym czułbym się związany. Część rupieci wyrzuciłem, część wzięli inni ludzie. Zachowałem szafkę w kształcie beczki, taką z małymi drzwiczkami. Dosyć stylowa, dobrze służy jako barek.

Bo wiesz, kiedy rodzice zmarli, nie czułem smutku.

Pomyślałem, że dla mnie i tak już od dawna nie żyli.

Podrywa się z krzesła.

– To co, teraz druga herbata? – pyta. – Przerwa na toaletę? Zapauzuj nagranie, po co marnować miejsce. Sprawdź, czy wszystko masz na taśmie. Na twoim miejscu nagrywałbym jeszcze na telefonie, dla pewności.

Sprzedawca lemoniady

Ale brzydal na tym zdjęciu. Nie będę mógł spać w nocy.

Pytanie brzmi, dlaczego doktor powiedział ponad pięciuset kobietom, że będą miały białe dziecko od holenderskiego mężczyzny, a skończyły z dziećmi, które nie są do białego podobne. Słowa nie oddadzą tego, jak bardzo bym się wkurzył.

Proszę, niech to będzie fejk.

Niestety to prawda, proszę, tu masz link do źródła.

Dyskusja na internetowym forum Reddit trwa już rok. Kolejni użytkownicy powielają tłumaczenie. Skąd wzięła się w internecie historia „pięciuset kobiet

zapłodnionych przypadkiem przez autystycznego Surinamczyka”?

Linki z całego świata prowadzą do materiałów anglojęzycznych. Anglojęzyczne artykuły i wpisy na forach kierują do streszczenia artykułu z belgijskiego tabloidowego serwisu Nieuwsblad. Nieuwsblad jako swoje źródło wymienia z kolei belgijski tygodnik „Humo” – to tam opublikowano artykuł, w którym pada sformułowanie „Dawca S.”.

To artykuł, który przeczytałem dwa lata wcześniej. Bez niego nie byłoby tej książki.

Belgijski dziennikarz nie podaje, skąd wziął tę liczbę. Pada ona tylko raz, w wypowiedzi Sonji, matki Amandy: „On był dawcą w czterech lub pięciu klinikach, od czterystu do pięciuset kobiet zaszło z nim w ciążę. Na miłość boską, jak to możliwe?” – mówi.

Z tej jednej wypowiedzi redakcja zrobiła wielki podtytuł. Tytuł brzmiał: *Mafia spermowa. Doktor Jan Karbaat i jego przeciekające kontenery ze spermą.*

Na zdjęciu widzimy mroczne zdjęcie kobiety, która pokazuje do obiektywu sfalszowany paszport dawcy. Tu i ówdzie grafik domalował figlarne plemniki.

Ale choć autor artykułu cytuje wypowiedzi Louisa, nigdy się z nim nie spotkał. Louis mówi, że rozmawiali pół godziny telefonicznie. Nie widział artykułu w druku, więc dziwi się, kiedy mu mówię, że ma w nim przydomek Dawca S., jak „superogier”.

– Przecież to był sarkazm – mówi. – Spytał mnie, czy chcę być Dawcą A., to zażartowałem, że wolę Dawcę S. Nie myślałem, że on zacytuje to rozwinięcie. To chyba wyszło trochę arogancko? – upewnia się. – Jeśli ty nie zrozumiałeś, że to był sarkazm, to inni czytelnicy pewnie też nie.

Potwierdzam, że wyszło niezbyt dobrze. Ale on analizuje po swojemu:

– Może dla dziennikarza to też był dowcip? Ja powiedziałem to sarkastycznie, a dziennikarz równie sarkastycznie opublikował?

Zastanawiam się, czy wyprowadzać go z błędu. Wtedy Louis kończy tak:

– Widzisz. Mówiłem ci, nikt nie rozumie moich żartów. To wyjaśnia parę rzeczy, może dlatego Amanda jest na mnie zła. Co poradzisz. Trudno, pracowałem w banku, więc akurat osób bez poczucia humoru poznałem w życiu aż nadto.

Tymczasem na forach nikt nie żartuje.

Biedne kobiety, zostaną z tymi upośledzonymi dziećmi.

Dajcie spokój, przecież autyzm nie jest dziedziczny.

Monique mówi, że z początku odpisywała im wszystkim po angielsku: ludzie, to jest prawdziwa historia, znam te dzieci, są już dorośli, nie urodzili się ani brzydki, ani głupi.

Ale czy warto dyskutować z trollami?

Dlaczego ten dupek nie zapładniał kobiet w swoim kraju?

Czemu dawca jest taki żółty?

No tak, ta fotografia. Ale przestraszony, pryszczaty chłopiec na fotografii, „sprzedawca lemoniady pogryziony przez pszczoły”, to nie Louis. Kiedy internauci przeklejali w kolejne miejsca mniej lub bardziej udane tłumaczenia tekstu, ktoś po drodze dodał przypadkowe zdjęcie. To na nim skupił się cały internetowy hejt. Chcę dotrzeć do oryginalnej fotografii. Nie jest to łatwe, trzeba przejrzeć dziesiątki stron, w których chłopiec podpisany jest jako autystyczny surinamski dawca.

Jest. W kwietniu 2012 roku w Baltimore w Stanach Zjednoczonych kilka osób pobiło turystę. Na umieszczonym w sieci nagraniu jeden z agresorów uderza mężczyznę pięścią, a on pada na chodnik. Lokalna policja szybko zidentyfikowała sprawców i opublikowała na swojej stronie ich zdjęcia do kartoteki.

Na jednym jest osiemnastoletni mieszkaniec Baltimore, DeAngelo Carter. To on, „sprzedawca lemoniady”. Według policyjnej notatki został aresztowany pod zarzutem rozboju.

Nie ma informacji, czy był kiedykolwiek w Holandii i czy spłodził jakiegokolwiek dzieci.

Louis ujawnia swój plan

Może to przypadek, ale kiedy Louis opowiada o dawstwie, rozluźnia się i przestaje wydawać z siebie te dźwięki.

11.

– Był jeden dawca, który przychodził dwa razy w miesiącu i zostawiał przynajmniej dziesięć centymetrów sześciennych nasienia. Przynajmniej! To bardzo dużo.

Przepraszam panią, mogę jeszcze jedną herbatkę miętową?

Facet był dawcą przez dziesięć lat, więc według moich kalkulacji może mieć tyle dzieci co ja. No bo dwadzieścia centymetrów sześciennych na miesiąc, dwanaście miesięcy... mówię ci, musiała z tego wyjść gromada dzieci.

Dziękuję ślicznie, tak, wiem, że herbata jest gorąca.

– Czy Karbaat wiedział, ile będziesz miał dzieci?

– Miał świadomość, co robi. Nie gadaliśmy dużo, ale wiedział, że jest facet, który przychodzi każdego tygodnia. Dostawał od matek kartki pocztowe z informacją o narodzinach kolejnych dzieci. Nie trzeba było być geniuszem, żeby się zorientować, że po każdej takiej kartce wzrasta liczba dzieci na koncie pana Louisa.

Powtarzał, że używa mojego nasienia często, bo ma mało dawców z brązowymi oczami. Może chodziło też o to, że nasienie było wysokiej jakości, bo był jeszcze inny dawca z brązowymi oczami, z zawodu listonosz. Z tego, co zrozumiałem, jego nasienie słabo się zamrażało, można było używać tylko świeżego.

Tamten zastrzegł, że zostanie anonimowy. Pewnie żadne z jego dzieci nie wie, kim jest ich dawca. Tylko że on wyglądał zwyczajnie, holendersko. Takie dzieci się nie wyróżniają, a moje – owszem. Wiele z tych białych kobiet zostało okłamanych. Przecież było widać od razu, że ich partnerzy nie są ojcami tych dzieci. W takim Amsterdamie czy Rotterdamie ludzie nie zwracają na to uwagi. Ale w małych holenderskich wioskach, gdzie wszyscy są biali? Mógł być problem.

Nie można było jednak wybrzydzać, bo dobrych dawców jest zawsze za mało. To muszą być osoby przygotowane, sumienne, o dobrej jakości spermy, których nasienie dobrze się mrozi. Niewielu spośród ochotników spełnia te wymagania. Widziałem takich, którzy przyszli raz, dwa i nigdy nie wrócili. A przecież to mogło nie wystarczyć nawet na jedno zapłodnienie.

Dlaczego nie chciałem być anonimowym dawcą? Mój plan miał trzy etapy, na razie opowiem o dwóch. Punktem pierwszym było posiadanie jak największej liczby dzieci. Punktem drugim poznanie ich w przyszłości. W nadziei, że będą wśród nich tacy, którzy zechcą się spotkać. To nie udało się, gdybym pozostał anonimowy.

12.

Był rok 1993. To wtedy po raz pierwszy od kilku lat nie dostałem kartki z życzeniami na Boże Narodzenie od kobiety, z którą kilka lat wcześniej się spotykałem. Do tej pory zawsze wysyłała choćby parę słów. Bum! Wszystko wróciło, na nowo poczułem to samo odrzucenie co kiedyś. Przypomniało mi się świadectwo szkolne, łódeczka, szlaban na telewizję od mamy.

Kłask.

Rok później zapisałem się na terapię. Asperger nie był jeszcze znany, ktoś z dalszej rodziny polecił mi zajęcia grupowe. Nie lubię dużych grup. Jeśli nawet bardzo chcę obejrzeć jakiś film w kinie, staram się znaleźć taką porę i dzień tygodnia, żeby sala była pusta. Na szczęście mam dużo czasu i jest to możliwe. Terapia grupowa była więc dla mnie czymś potwornym, do tego musiałem nocować poza domem, wśród innych ludzi. Stres nie dawał mi spać.

Pierwsze zadanie – patrzmy sobie nawzajem w oczy. Nie spodobało mi się to, więc pomyślałem, że wykonam je po swojemu. Nie tylko będę patrzył innym w oczy, ale też zrobię wszystko, żeby nie mrugnąć.

Nie mogłem zrobić gorszego pierwszego wrażenia. Po tamtym ćwiczeniu już nikt nie chciał być ze mną w parze. Zajęcia trwały siedem miesięcy, zaciskałem zęby.

Czy taśma nagraniowa ci się czasem nie kończy? Tak tylko pytam.

W innym zadaniu trzeba było wybrać, kto z grupy jest najbardziej towarzyski, kto najbrzydszy, kto najmądrzejszy. Wybrali mnie jako najmniej atrakcyjnego. Poczuję się tak, jakbym walnął głową w ścianę.

Tego było za wiele. Zmieniłem okulary na takie z cienkimi oprawkami, schludnie się ogoliłem, nie chciałem wyglądać tak surowo. „Człowieku, ale się zmieniłeś” – powiedzieli i od tamtej pory terapia zaczęła działać.

Chociaż dla kogoś z aspergerem to wciąż były tortury: współpraca, wykonywanie poleceń, wsłuchiwanie się w innych. Nawet zwykły prysznic po ćwiczeniach był mordęgą, gdy dookoła byli inni ludzie. Musiałem nauczyć się powstrzymywać panikę, kiedy byłem nago w szatni, a ktoś inny wchodził.

„Muszę?” – pytałem. „Musisz” – mówili. Ale było warto. Dzięki temu mogłem pierwszy raz w życiu pójść na saunę. Stało się to nawet moim hobby, dziś chodzę regularnie, rozpoznaję ludzi, rozmawiam z nimi. W saunie jestem przez godzinę czy dwie normalnym człowiekiem.

Zresztą po tej grupie w ogóle poczułem, że teraz będę już zwykłym człowiekiem z uczuciami. Po raz pierwszy zapragnąłem mieć kogoś bliskiego w życiu. Normalne? Nie dla mnie, na przykład dziś prawie z nikim nie łączą mnie takie relacje. A wtedy poczułem, że chciałbym gdzieś pójść – kluby, wystawy, wizyty, spotkania z ludźmi.

Spotkałem też kobietę.

Kłask.

Może były jakieś problemy w komunikacji, jak to ze mną. Ale zaszło to już trochę dalej: poznałem jej ojca, a ona poznała mojego. Ten jej ojciec wcale mnie nie lubił, ale za to mój ją ubóstwiał, przynajmniej tyle dobrego.

Gdyby ona ze mną została, może dziś byłbym normalny.

Bo to właśnie wtedy, w 1995 roku, postanowiłem, że kończę z dawstwem.

13.

Najpierw w Lejdzie. Spyтали, czy mogą pozostawić moje dane w bazie. „Jasne – powiedziałem. – Ale czy możecie mi powiedzieć, ile urodziło się dzieci?”.

Ciąż było, według moich wyliczeń, trzydzieści sześć. Mówili, że przeciętnie jedna szóstka kończy się poronieniem. Czyli w Lejdzie mam trzydziestkę, pomyślałem. Potwierdzili, że dzieci urodziło się trzydzieścioro jeden. Ucieszyłem się, bo wiedziałem, że mi się to przyda do kolejnych kalkulacji.

Pojechałem do Barendrechtu, powiedziałem, że odchodzę. Odpowiedzieli, że to wielka szkoda, ale że jasne, rozumieją. Pożegnali mnie ładnie: kwiaty i bon upominkowy.

– Przestałeś, bo ona cię poprosiła? – pytam.

– Nie, nie widziała w tym problemu. Powód był prozaiczny – liczba plemników w nasieniu. Tak jak mówiłem, przed każdym oddawaniem spermy trzeba wstrzymać się dwa dni, żadnej masturbacji ani seksu. Rozumiesz, że kiedy masz stałą partnerkę, trudno sprostać takim wymaganiom. Gdy byłem sam, z kalendarzem w ręku mogłem to rozplanować i podzielić na trzy kliniki.

Poza tym pojawiła się i taka możliwość: może z nią będę, może weźmiemy ślub? Przecież gdybym miał żonę, z którą mógłbym mieć dzieci, nigdy nie zostałbym dawcą.

Zakochałem się tak jak potrafię. Ona chyba trochę mniej, w końcu rozstaliśmy się, dziś inaczej bym to rozegrał. Dla mnie to i tak dużo: mam z nią przynajmniej jakąś wspólną przeszłość, choć było to już dwadzieścia lat temu. Związek się zakończył, ale dał mi nadzieję, więc nie wracałem do dawstwa. Wszedłem w świat medycyny niekonwencjonalnej, pomyślałem, że może tam poznam jakąś kolejną kobietę. Przerwa trwała już trzeci rok.

Wtedy zadzwonił Karbaat.

14.

„Panie Louisie, kobieta, dla której był pan dawcą nasienia, chciałaby mieć drugie dziecko. Potrzebujemy pana” – usłyszałem po drugiej stronie słuchawki.

Potrzebują mnie, powtórzyłem w myślach z radością i wróciłem do Barendrechtu. Spytałem Karbaata, czy nie chciałby mnie znowu na stałe. „Zapraszam” – powiedział.

Zostałem kolejne pięć lat, bo w moim życiu nie pojawiła się już żadna inna kobieta. Jeździłem już tylko do Barendrechtu, na rowerze, i tylko w soboty, co było wygodne, bo w drodze powrotnej nie musiałem, jak dawniej, spieszyć się do pracy.

Po pięciu latach, kiedy oddałem więcej nasienia, niż potrzebowali, powiedziałem Karbaatowi, że chyba ma wystarczający zapas słomek. „Jeśli będzie mnie pan jeszcze potrzebował, proszę dać znać”. Nie zdążył, kilka lat później inspekcja zamknęła mu klinikę. Ale gdyby zadzwonił, pewnie byłbym dawcą jeszcze przez kilka lat.

Bo to nie jest tak, że już bym nie chciał, moje zainteresowanie nie zniknęło. A gdyby ktoś mnie teraz spytał, czy chcę znów być dawcą? Pewnie zamilkłbym na kilka minut. Pierwsza myśl byłaby taka, że komuś pomogę, ktoś pomyśli, że jestem miłym człowiekiem. Bardzo chcę być miłym człowiekiem. Druga myśl byłaby taka, że jednak nie powinienem: jestem po sześćdziesiątce, szanse na komplikacje i wady genetyczne płodu byłyby zbyt duże.

Pewnie po pięciu minutach ciszy powiedziałbym: „Nie, nie mogę”. Ale tylko ja jeden wiem, ile by mnie to kosztowało.

Nie spodziewałem się, że to będzie trwało dwadzieścia lat. Byłem pewien, że w tym czasie albo spotkam kobietę, która zostanie moją żoną, albo Karbaat powie mi, że powinienem skończyć. Żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła.

Na sam koniec zrobiłem obliczenia. W kalendarzach miałem spisane wszystkie wizyty co do jednej, znałem też przybliżoną skuteczność zapłodnień. Przepisałem dane do arkusza kalkulacyjnego, żeby się nie pomylić. Zastosowałem statystyki z Lejdy, bo te znałem: dwieście czterdzieści trzy wizyty tam sprawiły, że

dzieci urodziło się trzydzieścioro jeden. Wyszło mi więc, że tysiąc pięćset dwadzieścia cztery wizyty we wszystkich trzech bankach przez dwadzieścia lat to ponad dwie setki dzieci.

Pomyślałem, że to dużo. Ale do takiej liczby doszedłem raczej niepostrzeżenie, przecież dokładne wyliczenia zrobiłem dopiero wtedy, kiedy definitywnie z tym skończyłem. Słyszałem, że są jakieś limity urodzeń na dawcę, lekarze mówili o tym w mediach. Ale w praktyce niczego takiego nie zauważyłem. Ten wózek został wprowadzony w ruch i zjeżdżał z górki przez dwadzieścia lat, bo nikt nie nacisnął hamulca.

Dobrze, kolejne pytanie z listy, musimy przerobić wszystkie.

Pierwsze spotkanie z dziećmi? To już chyba pięć lat, jak zobaczyłem Maaïke i Matthijsa w telewizji.

15.

Ich dane poznałem ukradkiem, kiedy zostałem sam w gabinecie. Kartka z wiadomością o tym, że się urodzili, leżała na biurku razem z danymi dawcy. Nazwiska nie było, ale zgadzała się grupa krwi, kolor włosów i oczu, a przecież Karbaat mówił, że dawców z brązowymi oczami prawie nie ma. Zapamiętałem wszystko, co tam było napisane. Czułem, że podpowiada mi to jakaś siła.

Nie, nie jestem wierzący. Chyba trudno być wierzącym, jeśli się ma aspergera, przecież wiara jest nielogiczna. Ale jestem otwarty na fakty i zdarzenia w życiu. Tak się zdarzyło, że po latach usiadłem przed telewizorem we właściwym momencie.

Kilka tygodni wcześniej szukałem o nich informacji w internecie, ale kiedy byli dziećmi, zmienili nazwisko na Janssen, więc w wyszukiwarce nie było nic. Gdybym nie znał ich imion, nawet bym tamtego wieczoru nie spojrział na telewizor. Ale spojrzałem, zapisałem się do FIO M i piłeczka zaczęła się toczyć.

Wydawało mi się, że na spotkaniach z pierwszymi dziećmi było fajnie. Przyniosłem albumy ze zdjęciami, porozmawialiśmy. Kiedy spotkałem Amandę i Boya, zaprowadziłem ich do lustra, żeby porównać nasze twarze, dla mnie to była superzabawa. Dla nich chyba nie, ale zrozumiałem to później. Zobaczyłem ten artykuł, w którym wypowiadała się Amanda. Mówiła, że uważa mnie za dziwnego faceta. Inna córka postanowiła już nigdy się ze mną nie widzieć. Nie wiem, co źle zrobiłem, jak zawsze.

Zdziwiły mnie jeszcze dwie rzeczy.

Po pierwsze, że oni są do siebie bardzo podobni nawzajem, a do mnie mniej. Trochę, owszem, ale nie aż tak, jak zakładałem. Bo chyba każdy ojciec myśli, że jego dziecko będzie go mocno przypominać.

Po drugie, byłem przekonany, że moje dzieci będą zainteresowane mną i moją rodziną, a w większości wypadków wcale tak nie było. Co więcej, nowe

dzieci, które zarejestrowały się po programie *Bez śladu*, nawet nie chcą mnie poznać! Miałem kontakt zaledwie z kilkorgiem, reszta milczy. Tym, którzy mają zgodność z Połówkami, ale do mnie się nie odezwali, chciałbym powiedzieć: „Proszę, wpadnijcie chociaż raz”.

Cieszę się, że dzięki mnie oni mają teraz dużą rodzinę. Każde wychowywało się zupełnie gdzie indziej i nagle w ich życiu pojawiły się osoby, z którymi mają coś wspólnego. Może to trochę jak kuzyni? Wszyscy używają mediów społecznościowych i mają codzienny kontakt. Spotkałem się ostatnio z Joyce i jej rodziną, a na drugi dzień Boy już wiedział o spotkaniu. W ten sposób odkryłem, że pomiędzy dziećmi powstała gęsta sieć kontaktów i relacji. Stali się dla siebie nawzajem ważni, często mówią o tym kliku, który czują między sobą. Między mną a nimi go nie ma, nie udało mi się nic podobnego zbudować.

Czasami myślę, że Louis to dla nich jedynie postać z przeszłości, którą raz spotkali, od której dostali list z historią rodziny i z którą nie chcą mieć już nic wspólnego.

Jestem dla nich kimś z zewnątrz.

16.

Przypominam, że mój plan miał trzy fazy. Faza pierwsza: dzieci muszą powstać. Faza druga: muszę nawiązać z nimi kontakt. O fazie trzeciej jeszcze nie mówiłem: muszą przyjąć moje nazwisko.

Pierwsza i druga faza – sukces. Jeśli chodzi o fazę trzecią, czekam na dalszy rozwój wydarzeń. Dopóki żyję, wciąż jest szansa. Myślałem, że jeśli będzie ich dużo, to znajdzie się ktoś, z kim nawiążę na tyle dobry kontakt, żeby zgodził się na nazwisko. Ci, którzy formalnie nie mają ojca, na przykład dzieci matek BOM, mogliby bardzo łatwo umieścić mnie w tej rubryce. W wypadku niepełnoletnich potrzebna jest zgoda matki, ale dorośli mogą już decydować sami. Podrzuciłem im taki pomysł.

Na razie nikt się nie zdecydował. Jeśli ta faza nie wyjdzie, to będę przynajmniej wiedział, że zrobiłem, co mogłem.

Tak to wymyśliłem, może idea jest absurdalna i nikt jej nie rozumie, ale pociesza mnie fakt, że kiedy czeski mnich Gregor Mendel liczył sobie te drzewka i groszek, sprawdzając, które okazy dziedziczą jakie cechy, też nikt nie zwracał na niego uwagi. Dopiero po jego śmierci przyznano, że był pionierem współczesnej genetyki.

– Louis, ludzie to nie drzewka – protestuję.

– Tylko myśląc inaczej niż reszta ludzi – odpowiada – możesz dotrzeć tam, gdzie oni jeszcze nie byli. To jedyne wyjście. Nikt przecież nie rozumiał, co robi Kolumb, dopóki nie odkrył Ameryki. Zresztą on też nie miał pojęcia, co odkrywa.

Traktowałem to jak ruletkę – a nuż trafię i chociaż jedna osoba przejmie

nazwisko? Kupujesz dwieście losów na loterii i masz nadzieję, że wygrasz główną nagrodę. Przecież zawsze jakiś los wygrywa.

Ale nie, jednak cofam to z loterią. Ktoś mi ostatnio tłumaczył, że z tego nie można tak żartować.

17.

Na kartce coraz mniej nieskreślonych pytań.

– Wiesz, że sposób, w jaki o tym mówisz, dla wielu ludzi jest trochę...

– Konfrontacyjny.

Kłask.

– Tak, to wina autyzmu. Mówię wszystko wprost i nie każdy to toleruje. Miałem nadzieję, że moje dzieci rozumieją, ale myliłem się – są normalne.

– Czujesz, że na tej loterii, o której mówisz, wygrałeś jakąś nagrodę?

– Pewnie, że tak. Spotkałeś moje dzieci, prawda?

– Kilkanaścioro.

– Niezłe z nich bystrzaki, nie? Głowa na karku, każde studiuje, są bardzo mądry. Córki ładne, synowie przystojni, mam urocze wnuki. Chociaż wiadomo, że w tych sprawach nie jestem zbyt obiektywny.

Louis pokazuje mi ekran swojego smartfona. Podkreśla, że każdy ojciec powinien mieć w komórce zdjęcia swoich wszystkich dzieci.

– To Joy, jeden z nowych synów, na zdjęciu ze swoją dziewczyną. Mój ulubiony, najbardziej podobny, ma moje powieki. Jeśli chodzi o te powieki, to się zawiodłem. Mam takie same jak mój tata, dwie ciocie i dziadek, spodziewałem się, że wszyscy je odziedziczą. No dobra, choćby połowa. Ale nie.

To jest Noach, który z kolei bardzo mnie przypomina i ma moje powieki, ale test DNA zaprzeczył, że jest moim dzieckiem. Szaleństwo, a co do niego naprawdę byłem pewien!

O, ta córka zajmuje się analityką biochemiczną, a Bjorn biotechnologią. Mój ojciec, inżynier i lekarz, gdyby żył, puchłby z dumy!

Mam cały dokument w komputerze, w którym robię notatki o dzieciach, żeby się nie pogubić. Staram się pamiętać imiona ich partnerów, małżonków, dzieci. Czemu interesują mnie wnuki? To też rodzina, tacy mali ludzie, którzy mogą mnie zapamiętać. Nazywam je Ćwiartki. To chyba logiczne, bo to dzieci Połówek. Jeśli będą ciekawe tego, kim jest ich dziadek, mogą mnie poznać.

Czy ty to rozumiesz, że dzieci jest już ponad trzydzieścioro? Z kilkanaściorgiem się spotkałem, coś wspaniałego.

18.

– Co właściwie myślisz o Janie Karbaacie? – pytam.

– To człowiek, który ma sporo za uszami. Używał nie tej spermy, co trzeba,

kłamał. Opowiadał ludziom zmyślane historie: że byłem żonaty, miałem dwójkę dzieci, wykształcenie uniwersyteckie. Z drugiej strony jestem mu na wieki wdzięczny. Bo Karbaat był dokładnie tą osobą, której szukałem, kolejnym zwycięskim losem na loterii. Jestem zadowolony z tego, co zrobił, ale nie z tego, jak to zrobił. Wiedział, że nie mam dzieci. Słyszał ode mnie wielokrotnie, że jestem otwarty na kontakt. Jakies dziesięć lat temu zapisałem ten list z historią rodziny w PDF-ie, zgrałem na płytę i wysłałem Karbaatowi z dopiskiem, żeby koniecznie przekazał to dzieciom. Nigdy tego nie zrobił. Ale zostawmy to. Nie dowiemy się, co siedziało w głowie tego człowieka. Wiem jedno – ja zawsze chciałem przekazać nazwisko, spadek i fotografie członkom swojej rodziny.

– Louis, nie jesteście rodziną. Taką, która razem mieszka, ma wspólne przeżycia. Jesteście rodziną tylko biologicznie.

– To nic nie zmienia. Są w tym wieku, że gdybyśmy razem mieszkali, i tak już zdążyliby się wyprowadzić.

19.

Louis patrzy na listę. Przy każdym pytaniu jest już ptaszek – poruszyliśmy wszystkie kwestie. Przestał kłaskać, wygląda, że przyniosło mu to ulgę.

To nieprawda, że przez te cztery godziny mówił tylko o sobie – zadał mi w tym czasie dwa pytania. Pierwsze – o moje nazwisko, drugie – czy mam jakies dzieci.

– Dzięki, że mi to opowiedziałeś – mówię.

– Przez dwadzieścia lat nie mówiłem nic nikomu. Tak radził lekarz: nie opowiadaj, że jesteś dawcą, będą tylko problemy. Miał rację. Ludzie mnie nie rozumieją, zauważyłem to po reakcjach na artykuły o tej sprawie. To, że pochodzę z Surinamu, nie wydaje im się dobrym pomysłem. Ludziom nie podoba się, że jakiś czarnuch miał możliwość coś takiego zrobić. Jeśli ktoś, kto zastanawiał się kiedyś nad inseminacją, dowiedziałby się, że jestem dawcą, pewnie wycofałby się ze strachu, że dostanie moje nasienie. Na szczęście obowiązywała tajemnica lekarska, tak mi to wtedy tłumaczyli.

Teraz, po latach, przekazałem producentom *Bez śladu*, że jeśli w odcinku, w którym Bjorn ma poznać nowo odnalezione Połówki, zbiorą te wszystkie nowe dzieci, chciałbym wystąpić z nimi. To byłby piękny obrazek: dzieci stoją razem i nagle przychodzi tatuś.

Ale dzieci powiedziały, że sobie tego nie życzą. Szanuję to.

Dlatego też nie używaj mojego nazwiska. Ludzie potrafią wypisywać straszne rzeczy, nie wiesz, w czyje ręce to może wpaść – tak przynajmniej mówią moje dzieci. Nie mam konta na Facebooku, Twitterze, uważam, gdzie podaję swoje dane. Nie chcę, żeby ktoś łączył moją rodzinę z dziwnymi rzeczami, które robię i mówię. Mam rozpoznawalną twarz, okoliczni mieszkańcy mnie kojarzą.

Skąd kojarzą? Mogą mnie znać z bingo, bo chodzę w każdą środę, nie opuszczam żadnej gry. Może raz do roku nie pójdę, dzisiaj jest właśnie ten raz, bo rozmowa nam się przedłużyła.

No i z tego, że sprzątam w okolicy trawniki. To nie praca, robię to z potrzeby. Holendrzy strasznie śmiecą, a mnie naprawdę nic tak nie irytuje jak zaśmiecony trawnik. Kiedyś wspólnota mieszkaniowa wydawała większe pieniądze na sprzątających ulice. Potem przyszły cięcia i panowie przychodzą już tylko raz na trzy miesiące. Wziąłem więc sprawę w swoje ręce.

Znalazłem kij z ostrym jak wykałaczką końcem, mam też wielki, mocny wór. Widzę taki leżący na trawniku papier i cyk!, nakłuwam go, nabijam na szpikulec. W wietrzne dni robota się nie kończy, bo wiatr wywiewa mi śmieci z worka. Jeśli pogoda pozwala, robię to dwa razy w tygodniu. Nie jestem jedyny, powstała już druga taka ekipa od śmieci. Ustalamy grafik, żeby się nie dublować.

Ludzie dziękują, pozdrawiają. Chciałbym, żeby kolejni szli za moim przykładem i też sprząkali, ale jakoś nikt nie dołącza.

Dla sąsiadów jestem więc tylko dziwnym starszym panem, który regularnie na osiedlu podnosi z trawnika papierki.

I wiesz co? Niech tak zostanie.

Za drzwiami willi Karbaata

Listu do Karbaata nigdy nie wysłałem.

Z każdą kolejną poznaną osobą i kolejnym przeczytanym artykułem uzupełniałem notatki o jeszcze jedno pytanie, które koniecznie chciałbym mu kiedyś zadać. Bywało tak, że na któreś z pytań poznałem odpowiedź i mogłem je wtedy wykreślić z listy. Bywało też inaczej: że znając odpowiedź, byłem ciekaw, czy Jan Karbaat udzieliłby takiej samej. Udowodnił przecież niejedną raz, że na ten sam temat miał pod ręką kilka równoległych wersji prawdy.

Któregoś dnia wybrałem się do Barendrechtu, obejrzeć dokładnie dom z bocianem, który w międzyczasie został wystawiony na sprzedaż. Podeszedłem do bramy ze skrzynką – tam mógłbym wrzucić list.

Ale nie wrzuciłem – brama otworzyła się wcześniej. Była automatyczna, więc myliliśmy się z Monique, sądząc, że podczas naszej poprzedniej wizyty ktoś podeszedł i ją zamknął.

Chwilę później drzwi otworzyła żona Karbaata. Spytałem, czy mógłbym porozmawiać z doktorem, a ona poszła go zapytać. Wszedłem na teren posiadłości, stanąłem przed wejściem do domu.

W głębi korytarza zobaczyłem schodzącego z piętra o lasce staruszka, który przywitał mnie pytaniem:

– Herbata czy wino?

Jeśli miałbym jednym słowem wyrazić swoją pierwszą myśl po przekroczeniu progu domu z bocianem, do którego próbowałem się dostać przez ostatnie dwa lata, powiedziałbym, że w dawnej klinice panuje radość.

Nie tak to sobie wyobrażałem. Z niewiadomych powodów zakładałem, że wewnątrz będzie mroczne i smutne. Kto by się spodziewał, że pierwszymi dźwiękami, jakie usłyszę, będą pogodne surferskie hity Beach Boysów.

Wita mnie tam jeszcze raz żona doktora Karbaata, jej twarz pamiętam z filmu dokumentalnego o ciemnoskórych dawcach, który oglądaliśmy razem z Monique. Wchodzę do przestronnego korytarza, z boku widzę drewniany kontuar, może bar do podawania drinków. Szybko orientuję się, że dom nie jest tak olbrzymi, jak wydaje się z zewnątrz – doktor podzielił dawną klinikę na kilka apartamentów i większość z nich wynajmuje.

Schodzi z góry po schodach, idzie o lasce, ostrożnie, powoli, po czym zaprasza do pokoju po lewej. Salon jest duży i słoneczny, meble wyglądają na antyki. Siadam na wygodnej kanapie, a doktor na specjalnym fotelu elektronicznym. W razie potrzeby naciska guzik, fotel robi „bzzzt” i stopniowo podnosi lekarza do pozycji stojącej, bo jak tłumaczy, mięśnie już nie zawsze chcą

go słuchać.

A ja przeciwnie, chętnie posłucham.

Zegar tyka, odmierza każdą sekundę. Karbaat ma chrapliwy, stary głos, co jakiś czas kaszle. Wolałby, żebym jednak nie nagrywał, ale skoro niderlandzki to nie mój pierwszy język...

Kiedy mówię mu, że jestem z Polski, jego żona rozpromienia się. Opowiada, że mieszkała u nich para pochodząca z Opola, robili pyszne polskie sałatki i ciasta. Nawet zaprosili państwa Karbaatów na swoje wesele, porozmawiali tam z ludźmi, potańczyli.

Karbaatowi za to Polska kojarzy się z katolikami.

– Wie pan, że w swojej karierze dostałem od Kościoła katolickiego chyba z sześćdziesiąt listów z prośbą, żebym przestał wykonywać inseminacje? Nasyłali na nas kontrole, radio, telewizję.

– Jak pan reagował? – pytam.

– Nie reagowałem w ogóle. Mam pewien system, który wyrobiłem sobie, kiedy byłem dyrektorem szpitala w Rotterdamie. Jeśli dziennikarze się Ciebie czepiają, pozwól im napisać, co chcą. Po trzech tygodniach i tak wszyscy o tym zapomną – mówi.

Skoro wyjaśniliśmy już sobie nasze wzajemne relacje, możemy zacząć rozmowę.

To o czym?

1.

O początkach. Po wojnie Karbaat musiał opłacić studia medyczne w Hadze, a nie miał na to pieniędzy. Dlatego poszedł do wojska – dawało dobre pensje. Po trzech latach służby dowiedział się, że zwolniło się miejsce na placówce w Surinamie: lekarz wojskowy, internista, dyrektor szpitala. Ale nie tylko.

– Przyszły do mnie dwie kobiety. Jedna od dziesięciu lat starała się o dziecko. Przebadałem jej partnera i okazało się, że jest bezpłodny. Pomyślałem, że trzeba coś wykombinować. Obie panie były białe, ale miały ciemnoskórych partnerów, w Surinamie to nie takie rzadkie.

Miałem przystojnego szofera. Bardzo rzadko spotykany przypadek: Murzyn z pięknymi niebieskimi oczami. To się zdarza w naturze, ale wiele osób uważało, że jest wybrańcem, że kontaktuje się z duchami, ze swoim bogiem. Spytałem, czy mógłby mi użyczyć nasienia. Zgodził się, ale z jednym zastrzeżeniem. „Nie rzucisz na mnie jakiegoś czaru?” – zapytał. „Nie, to ty jesteś tym, który tu czaruje” – odpowiedziałem.

Wtrysnąłem tym paniom nasienie i obie zaszły w ciążę w tym samym czasie. Powiedziałem, żeby nikomu nie mówiły, zrobiłem to, bo było mi ich żal. Ale parę tygodni później przyszły pod moje drzwi kolejne kobiety. Ding dong, ding dong!

Znów pomogłem, a potem nie mogłem się ich już pozbyć. Przez dziesięć lat w Surinamie pomagałem każdemu, kto poprosił.

– Dlaczego wrócił pan do Holandii? – pytam.

– Skończył mi się kontrakt, dzieci chciały się uczyć, studiować, w Surinamie nie było za dużo możliwości. Po latach mówią, że chyba lepiej byłoby tam zostać. Córka uważa, że Holandia to durny kraj. Ma sześćdziesiąt pięć lat i do dziś to powtarza. Ja zresztą też. No ale stało się, wyjechałem.

Po powrocie byłem dwa czy trzy miesiące dyrektorem szpitala w Hadze. I znowu – do drzwi puka kobieta i mówi: „Mój mąż, kucharz, nie ma nasienia. Słyszałam od koleżanki z Surinamu, że pan wie, jak pomóc”.

Spytałem jednego z pielęgniarzy, czy oddałby trochę spermy, i zgodził się. Tydzień później przysła kolejna, dwa tygodnie później kolejna. Potem już przychodziły codziennie, trzydzieści na dzień.

2.

Karbaat opowiada mi o czasach, kiedy był dyrektorem w Rotterdamie, o budowie szpitala NATO i początkach kliniki w Barendrechcie.

Mówi, że najtrudniej było do 1976 roku, do tego czasu używał jedynie świeżego nasienia, które po trzech godzinach było bezużyteczne.

– Bywało tak, że w piątek przychodziła klientka, po niej miał przyjść dawca. Mierzyliśmy kobiecie temperaturę, żeby sprawdzić, czy ma owulację. Jeśli nie miała, odsyłaliśmy dawcę z powrotem. Ona przychodziła na drugi dzień, ale wtedy z kolei nie przychodził on, bo coś mu wypadło. Koszmar.

Miałem takie klientki, które starały się o dziecko czterdzieści miesięcy. Rozumie pan, czterdzieści miesięcy, prawie cztery lata męczarni, często dojeżdżały pięćdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów. Przyjeżdżały do mnie z Włoch, Jugosławii, Francji, była nawet kobieta z Kolumbii, która przylatywała, poddawała się inseminacji i zaraz wracała. Pozyskiwanie dawców było bardzo drogie. Umieszczałem w prasie reklamy, zatrudniałem rekruterów, średnio na jednego znalezionego musiałem wydać tysiąc guldenów.

3.

Kiedy zadaję Karbaatowi pytania, o których myślałem przez wiele miesięcy, rozmowa przestaje nam się kleić.

Pytam, czy sam był dawcą. Zaprzecza. Pytam, czy rekrutował dawców spośród rodziny, znajomych lub sąsiadów. Również zaprzecza.

(Choć jedna z dawnych klientek mówi, że opowiadał jej o sąsiadach, którzy byli dawcami).

Pytam o limity dzieci na jednego dawcę w jego klinice. Mówi, że do 1992 roku było to dziesięć urodzeń w jednym mieście na dawcę i sto urodzeń w kraju.

Potem regulacje się zmieniły: od sześciu do dziesięciu na miasto, ale dwadzieścia pięć na kraj.

(Od innych holenderskich lekarzy dowiem się później, że z żadnymi regulacjami „na miasto” nigdy się nie spotkali).

Karbaat opowiada, że słyszał o dawcy z jego kliniki, który ma cztery setki dzieci. Ożywiam się, pytam, czy to prawda, ale lekarz odpowiada, że uważa to za bzdury.

- Ja do tej pory znalazłem jakieś osiemnaścioro – mówi.
 - Gdzie pan znalazł? W pana dokumentacji? – dopytuję, bo nie rozumiem.
 - Byli ludzie, którzy zawiadamiali, że mieli dziecko danego dawcy.
 - Czyli w MC Bijdorp największa liczba dzieci na jednego dawcę to...
- upewniam się.

– Osiemnaścioro, choć dopuszczalne było nawet dwadzieścioro pięcioro. Te opowieści dawców o czterech setkach dzieci to typowa męska popisówka. Słyszałem, że poprzez badania DNA znaleźli maksymalnie dwie, trzy osoby, nie więcej. Ale cóż, prawdę mówiąc, nie śledzę tego.

(FIOM i program *Bez śladu* stwierdziły do tej pory zgodność genetyczną z Louistem trzydziściorga pięciorga dzieci poczętych w Barendrechcie).

- Czy klinika była dla pana dobrym biznesem? – pytam.
- Miałem naprawdę niskie ceny. Koledzy z innych klinik mówili, że takie tanie zabiegi są niemożliwe, a u mnie – proszę bardzo. W pierwszych latach dziesięć guldenów za inseminację, potem dwadzieścia pięć, w końcu pięćdziesiąt. Później już nic, bo od 1980 roku pacjenci nie płacili, leczyliśmy ich, ale pieniądze szły z ubezpieczenia.

- Czyli między rokiem 1980 a 2004 nikt za nic nie płacił? – dziwię się.
- Wszystko było za darmo – mówi i dostaje napadu kaszlu.

(Zapomina o dziesiątkach pełnopłatnych inseminacji w latach dziewięćdziesiątych, za które pokwitowania pokazywały mi niektóre matki Połówek).

- Co pan sądzi o zniesieniu anonimowości dawców?
- Jestem przeciwny. To dlatego z braku dawców przestało działać tyle klinik. Miałem kilka lat temu klientkę, która poznała swojego dawcę, znalazła w internecie jego adres, zobaczyła, jak wygląda jego dom. Stwierdziła, że budynek jest poniżej jej standardów. Dawca był miły, chciał ją poznać i zobaczyć dzieci, zaprosił ją nawet na obiad. Powiedziała mu rozczarowana, że spodziewała się co najmniej profesora, a on jest tylko pielęgniarzem. Było mu przykro. Nawet jej dzieci powiedziały: „Co to za praca, pielęgniarz!”. Dlatego nigdy więcej nie skontaktowałem ze sobą kobiety i dawcy. To zawsze prowadzi do tragedii, postąpiłem tak cztery razy i cztery razy była katastrofa.

Karbaat opowiada, że w 2004 roku, kiedy weszło nowe prawo o dawstwie,

z setki anonimowych dawców zostało mu czterech.

– A przecież nasienia jednego dawcy można użyć tylko na potrzeby sześciu pacjentek, mogłem więc pomóc tylko dwudziestu czterem kobietom – wylicza skrupulatnie. Czyli jednak wiedział o limitach.

– Widziałem pana w filmie dokumentalnym o ciemnoskórych dawcach. Ponoć to była pana specjalizacja.

– Za granicą było duże zapotrzebowanie na takie nasienie. Wysyłałem je Duńczykom, Belgom, tysiąc porcji miesięcznie sprzedawałem Niemcom. Raz wysłałem nawet do Stanów, ale przesyłkę cofnęli celnicy, więc następnym razem polecałem sam i sprzedałem tysiąc porcji nasienia czarnoskórych dawców do Miami czy San Francisco.

– To było ważne, żeby byli ciemnoskórzy? – dopytuję.

– Oczywiście! Przychodziły kobiety z ciemnoskórymi partnerami, które nie mogły mieć dziecka. Gdyby takiemu mężczyźnie urodziło się białe dziecko, byłby to skandal. Tak przecież nie można.

– Ile miał pan ciemnoskórych dawców? – pytam, bo pamiętam, jak w filmie dokumentalnym inni lekarze mówili, że Karbaat ma ich najwięcej w Holandii.

– Trzech – odpowiada bez namysłu.

– Trzech?!

– Jeden był z Surinamu. Przyszedł się zarejestrować, a ja powiedziałem mu, że spotkałem się z jego nazwiskiem, kiedy tam pracowałem. O swojej rodzinie napisał nawet książkę, ale może wszystko zmyślił? Zresztą co mnie to obchodzi, potrzebowałem tylko jego spermy. Co do dwóch pozostałych, nie mam pojęcia, skąd byli. Nigdy mi nie mówili, a ja nie dopytywałem.

Tego popołudnia obejrzę film jeszcze raz. Myliłem się: lekarze mówią w nim, że Karbaat nie miał najwięcej ciemnoskórych dawców, ale najwięcej nasienia ciemnoskórych dawców w Holandii.

4.

– Dlaczego klinika już nie działa?

– W 2008 przyszła do mnie kontrola. Nie zgadzali się z moim systemem kwarantanny nasienia, bo spermę trzeba poddawać dziewięciomiesięcznej kwarantannie. Robiłem to, ale używałem innej metody niż ta, do której byli przyzwyczajeni. Pokazałem im, że moje metody są zgodne z prawem unijnym. Oni na to, że nie są zgodne z prawem holenderskim. Powiedzieli, że wszystko muszę notować podwójnie, a kiedy pracownik wyjmie nasienie z lodówki, jego kolega powinien go kontrolować i poświadczać podpisem. Nawet tak robiliśmy, ale kontrolerzy przyszli do pracujących tu dziewczyn z zaskoczenia, wzięli je w krzyżowy ogień pytań, one się zestresowały – i szlus!

Uznali, że budynek jest stary, aparatura stara i co najważniejsze, mnie też

uznali za zbyt starego. Tak się kończy zbyt przywiązanie do reguł.

A przecież reguły to fiasko, niepowodzenie, strata. Jako libertyn mówię zawsze: maksymalna wolność dla każdego człowieka! – Karbaat naciska przycisk, krzesło podnosi go do pionu. – Sam już nie dałbym rady, moje mięśnie są trochę uszkodzone.

Pytam go, czy niszczenie dokumentów i zachowanie anonimowości nie było ograniczaniem wolności dziecka. Odpowiada niejasno:

– Jeśli kobieta chciała mieć dziecko i dało się to zrobić, to czemu nie. Potem mogła dziecko wychować dobrze lub źle, różnie bywa.

Rozmawiamy o przechowywaniu danych. Mówię, że gdyby kliniki trzymały je dłużej, ułatwiłoby to dzisiaj poszukiwania dzieciom z dawców.

Ale Karbaat wymawia się przepisami: po dziesięciu latach dane musiał zniszczyć. Nie dodaje jednak, że sam sobie te przepisy ustalił, bo nie było odgórnych nakazów.

– Szukanie korzeni biologicznych to najnowsza moda – mówi – wcześniej tego nie było. Jeden z filozofów od dziesiątek lat walczył o prawa dzieci z dawców, przedstawiając rządowi wyniki badań, z których wynikało, jak wielką stratą jest brak wiedzy o biologicznym ojcu. Używał do tego wywiadów z biologicznymi dziećmi kanadyjskich i amerykańskich żołnierzy, którzy je porzucili. Te dzieci miały wielkie oczekiwania, wyobrażały sobie ojca jako bohatera, a ów filozof to przeniósł na współczesne dzieci z dawców, to bzdury!

Wie pan, to była całkiem przyjemna praca, dopóki Haga nie wprowadziła w 2004 roku swoich okropnych regulacji. Holandia to kraj, w którym jest dużo reguł, ale mało kontroli. I całe szczęście, bo każdy robi to, co uważa za stosowne. Reguły, powtórzę jeszcze raz, są okropne, fatalne i zgubne. Nigdy w karierze, w żadnym szpitalu, którym kierowałem, nie zapisałem żadnej reguły. Zrób coś, a potem sprawdź, czy działa – tak robią dobrzy szefowie. Po co od razu jakieś papierki?

W Polsce chyba nie jesteście tak restrykcyjni. I dobrze. Moim zdaniem reguły to śmiertelne zagrożenie.

5.

Do rozmowy dołącza żona lekarza. Mówię, że pamiętam ją z dokumentu o ciemnoskórych dawcach.

Rita Karbaat: – Telewizje mówiły o nas bardzo źle, ale ja go znam – wskazuje na Karbaata – najlepiej. Jest dobrym człowiekiem. Próbował tylko pomóc jak największej liczbie osób. Jeśli ktoś nie miał pieniędzy, Jan pomagał mu za darmo. Dlatego denerwuje mnie telewizja, w której wszystko podkrecają, przekrecają, szukają sensacji i pokazują nieprawdę.

Jan Karbaat: – Ale pamiętaj o dobrym zwyczaju z Rotterdamu: trzy tygodnie

nie reaguj i wszyscy zapomną.

Rita Karbaat: – Wiele osób przychodzi do nas z wdzięcznością, dziękują za pomoc. Ale oni nie pójdą do telewizji, bo nie chcą, żeby ludzie wiedzieli, że ich dziecko jest z dawcy.

Karbaat przerywa jej i wtrąca: – Sześć tysięcy Holendrów! Dzięki nam przyszło na świat sześć tysięcy!

Wtedy przychodzi mi do głowy pytanie, jakie to uczucie mieć w rękach początek życia.

Ale on twierdzi, że nigdy nie patrzył na to w ten sposób: – Moim jedynym celem było sprawienie, by kobieta miała dziecko. Nigdy nie myślałem o braciach, półbraciach, dawcach, w ogóle nie chciałem nic na ten temat wiedzieć. Przedmiotem mojej pracy był instynkt macierzyński kobiety. Nigdy nic innego. Pomoc kobietom, które przez wiele lat nie mogły mieć dzieci. Ta jedna jedyna satysfakcja, że kobieta, która do mnie przyszła, jest szczęśliwa.

6.

Najlepiej rozmawia nam się jednak o Surinamie. Żona Karbaata mówi, że planują tam niedługo pojechać. Na wakacje? Na stałe? Nie precyzuje.

– Bo Surinam to kraj idealny – mówi on. – Współistnieje tam w zgodzie kilkadziesiąt ras, wierzeń, nie ma kłótni i awantur. Wszystko przebiega w harmonii. Żyją tam Żydzi aszkenazyjscy i sefardyjscy, Libańczycy, Brazylijczycy, Chińczycy. Żyją ludzie z Gujany Francuskiej i Gujany Brytyjskiej, zaledwie pół miliona ludzi na powierzchni cztery razy większej niż Holandia. Każdy próbuje jakoś zarobić na chleb, a ludzie są dla siebie mili.

Jest piękna przestrzeń, światło, słońce. I prawie żadnych reguł! Żyjesz jak Bóg, wszystko można. Wszystko działa i samo się kręci.

A w ruchu drogowym – pełna wolność, tak jak lubię. Kiedyś w Surinamie odwiedziły mnie wnuki, jechaliśmy razem samochodem. Tłumaczyłem im: tu każdy jeździ, jak chce. Jeśli jedziecie autem, rozglądajcie się naokoło, bądźcie dla innych wyrozumiali. Facet z prawej chce cisnąć przez skrzyżowanie? Popatrzcie, czy jest na to miejsce. Jest? Pozwólcie mu przejechać.

Spytali mnie: „Dziadku, ale czy tu nikt nie zna zasad ruchu drogowego?”.

Odpowiedziałem im, że jest tylko jedna zasada.

Musisz po prostu jechać przed siebie.

Co znaleziono u Karbaata

– Pisze pan o Barendrechcie? – śmieje się lekarz kierujący niegdyś jednym z banków spermy. – To był, powiedziałbym, dość specyficzny przypadek.

Jana Karbaata znał przez wiele lat.

– Koledzy mówili czasami, że coś z nim jest nie tak, jest dziwny,

ekscentryczny. Ale to były takie rozmowy przy kawie, nie traktowałem ich poważnie.

Chcę dowiedzieć się od lekarza, w jakim stopniu praktyki Karbaata różniły się od praktyk innych lekarzy. Pierwszą rzecz już ustaliłem: nie ma nic dziwnego w tym, że matki Amandy, Henrika czy innych Połówek nie dostały w Barendrechcie paszportów dawcy lub dostały je po czasie.

– Paszporty dawców – mówi mi lekarz – powstały dopiero w 1992 roku na podstawie zalecenia. Proszę dobrze zrozumieć to słowo: nie „obowiązek”, tylko „zalecenie”. Oznacza to, że pewna grupa zawodowa uważa coś za najlepszą możliwą praktykę, ale każdy lekarz może w swoim sumieniu zdecydować, że postąpi inaczej. Dziś przepisy są ścisłe i jeśli ktoś postąpi inaczej, a potem coś pójdzie źle, powinien umieć się z tego wytłumaczyć. Kiedyś, jeśli coś poszło źle, to po prostu poszło źle.

Pytam, ile dzieci mógł mieć jeden dawca.

– Od 1992 roku sugerowana liczba to maksymalnie dwadzieścia pięć urodzeń w jednym banku w kraju. Dlatego jeśli jako klinika dowiedzieliśmy się, że dawca oddaje nasienie gdzie indziej, rezygnowaliśmy z niego. Ale to wciąż, powtarzam, było tylko zalecenie i sugerowana liczba, a obowiązywał regulamin konkretnej kliniki.

– Czy słyszał pan, żeby lekarze w klinikach oddawali własne nasienie?
– pytam. – W Stanach Zjednoczonych odkryto takie przypadki.

– Wykluczone, tego nie dałoby się obronić. Istnieje bardzo surowa reguła, że jeśli ktoś pracuje w ten czy inny sposób przy inseminacjach nasieniem dawcy, sam nie powinien być dawcą.

– Ta reguła to przepis prawny czy zalecenie? – uśmiecham się.

– Zasada moralna. Słyszałem plotki, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to się zdarzało, ale nawet wtedy uważałbym to za bardzo dziwne.

W 2017 roku maksymalna liczba dzieci na dawcę w Holandii wciąż jest jedynie zaleceniem.

Pokazuję Louisowi archiwalny artykuł, w którym lekarze z Lejdy opowiadają o limicie trzech urodzeń na jednego mężczyznę z banku i setce dawców do wyboru.

– Bzdura – komentuje. – W Lejdzie było nas może z dwudziestu i nie ja jeden miałem dużą liczbę dzieci na koncie. Wychodzi na to, że nie tylko Karbaat opowiadał bajki. Chociaż trzeba przyznać, że był z nich wszystkich największym fantastą.

Hans van Hooff jest przekonany, że choć Karbaat był skrajnym przypadkiem, jeśli chodzi o przekraczanie norm, mieszanie nasienia i chaos w dokumentacji, to inni też tak robili.

– Po prostu ci z dużych akademickich ośrodków – tłumaczy – nie mogliby pozwolić sobie na narażenie reputacji, więc po 2004 roku się wycofali.

Kilkoro lekarzy, którzy w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych chętnie udzielali wywiadów na temat przeprowadzanych zabiegów inseminacji, dziś zajmuje się zupełnie czym innym, czasem pomijając w swojej biografii tamten epizod. Jeden przekwalifikował się na internistę, inny – na malarza.

Choć w 2008 roku inspekcja zamknęła Centrum Medyczne Bijdorp, czyli klinikę Karbaata w Barendrechcie, to sześć lat później wyszło na jaw, że w kilkunastu klinikach w Europie wciąż używane było nasienie pochodzące z tej kliniki.

Kilka osób zgłosiło też, że w Barendrechcie oferowano im nasienie anonimowych dawców już po wejściu w życie nowego prawa z 2004 roku, które całkowicie znosiło anonimowość.

W kolejnych latach inspekcja otrzymywała skargi na klinikę, dotyczące pomyłek przy wskazaniu przez nią dawców. Niektóre z tych spraw trafiły do sądu. Większość została umorzona, ponieważ przypadki te, kwalifikowane jako wykroczenia, uległy już przedawnieniu.

Po telewizyjnym reportażu z Henrikiem w roli głównej interweniowało holenderskie Ministerstwo Zdrowia. Jesienią 2014 roku minister zdrowia Edith Schippers zabezpieczyła, za zgodą Jana Karbaata, archiwum danych zamkniętej placówki.

Na zamówienie ministerstwa analizą tego materiału zajęło się dwóch wybranych przez nią specjalistów: emerytowany profesor ginekologii oraz embriolog kliniczny. Mieli odpowiedzieć na pytanie, czy baza danych mogłaby posłużyć dzieciom z dawców w ustaleniu danych ich biologicznych ojców, gdyby zadeklarowali kiedykolwiek chęć poznania dzieci.

W bazie nie znaleźli ustandaryzowanych plików elektronicznych, protokołów, raportów dotyczących dawców, pacjentów, ciąży i urodzeń.

Znaleźli za to pojedynczą teczkę z kartką A4, na której była lista nazwisk i dopisek „panie chcą rejestracji”; pokwitowanie zwrotu słomek z nasieniem z 2003 roku z powodu zajścia w ciążę; luźne kartki i paragony; dane dawców nieanonimowych w przegródkach z dawcami anonimowymi; w przypadku jednej osoby dwa wykluczające się nawzajem oświadczenia o anonimowości i jawności.

Jeden z dawców, który figurował wbrew prawu w bazie anonimowej i nieanonimowej, w swojej przegródce miał piętnaście formularzy paszportu dawcy. We wszystkich wpisano tę samą grupę krwi i podobne numery dawcy, zmieniały się jedynie pierwsze cyfry. Na siedmiu paszportach dawca miał ten sam wzrost i rok urodzenia, ale na ośmiu pozostałych dane się różniły: ten sam dawca bywał niższy lub wyższy aż o dziesięć centymetrów oraz starszy i młodszy nawet o cztery lata.

– „Klient nasz pan” – mówi z przekąsem jedna z matek BOM, korzystająca niegdyś z pomocy Karbaata. – Tuż przed wyborem dawcy zwierzyłam się doktorowi, że chcę być singielką, bo mężczyźni wystarczająco mnie w życiu skrzywdzili. Zapewniał, że doskonale to rozumie, po czym wręczył mi paszport dawcy. Ze zdziwieniem przeczytałam w nim, że przyszły ojciec biologiczny moich dzieci „nie umie się bić i nie lubi mężczyzn w typie macho”, a jego główne zainteresowanie to „emancypacja kobiet”.

Specjaliści stwierdzili w archiwum Karbaata brak administracji i systematycznego porządkowania danych, brak również dowodów, że dawcy i dzieci byli po 2004 roku, jak nakazywało prawo, zapisywani w oficjalnym rządowym rejestrze. W podsumowującym raporcie stwierdzają, że „jeśli w ogóle można w tym wypadku mówić o jakiegokolwiek administracji, była ona niedbała i niestaranna”.

Dodali, że badane archiwum nie spełnia ani obecnych, ani dawnych norm i że „było ono wykonane przez amatora, który nie rozumie, jaką wagę mogą mieć te dokumenty dla dzieci, pacjentek i dawców”.

Dowiaduję się, że w latach siedemdziesiątych Karbaat poprosił Uniwersytet Erazma w Rotterdamie o ewaluację metod swojej pracy.

– To było z jego strony bardzo profesjonalne, mało który lekarz w tamtych czasach się na to decydował – opowiada mi anonimowo jedna z osób, które oceniały metody. – Był zainteresowany skutecznością, jego pytanie brzmiało: „Czy osiągam sukces w tym, co robię?”. Spojrzeliśmy na jego dokumentację medyczną dotyczącą kobiet. Była doskonała. Skrupulatna, mogliśmy wyczytać z niej więcej danych, niż się spodziewaliśmy: dokładnie rozpisane cykle menstruacyjne, dni płodne i dopasowane terminy inseminacji. Każda osoba miała świetną dokumentację medyczną: wiek, pracę, wykształcenie.

Mój rozmówca mówi, że podobało mu się również podejście Karbaata do cięcia kosztów:

– W tamtych czasach duże szpitale, jeśli nawet wiedziały, że mężczyzna jest bezpłodny, robiły najpierw skomplikowane badania kobiet. To była strata nerwów i pieniędzy. On miał prostą zasadę: jeśli wiadomo było, że mężczyzna jest bezpłodny, kobiecie robił tylko podstawowe badania i ruszał z inseminacjami. Dopiero jeśli się nie udawało, zlecał dalsze badania. Pamiętam, że był też bardzo miły dla kobiet. Traktował klientki z pełnym szacunkiem, był im bezgranicznie oddany.

Kiedy mówię, że praktyka Karbaata budzi w ostatnich latach kontrowersje, mój rozmówca tłumaczy mi, że wzorcowy zabieg medyczny powinien spełniać trzy kryteria: być efektywny, bezpieczny i odpowiadać na potrzeby.

– Czy Karbaat je spełniał? Wydaje mi się, że tak – dodaje.

Choć większości Połówek Karbaat kojarzy się jednoznacznie źle, są też inne

opinie.

Naomi, jedna z nowych Połówek: – W oczach mojej mamy był wybawcą. Wykazywał zrozumienie, wsparcie, mama była mu szalenie wdzięczna. Dopóki nie dowiedziała się o ostatnich kontrowersjach, cieszyła się z wyboru kliniki. Paszportu dawcy nie chciała, bo rodzicom zależało, żeby nikt się o tych zabiegach nie dowiedział.

Jetske, jedyna prawniczka wśród Połówek: – Takie było prawo: dokumenty musiały być zniszczone. Masa rzeczy przy tej okazji była źle przeprowadzona, nasz dawca nie powinien mieć tylu dzieci. Ale z prawnego punktu widzenia wszystko było w porządku. Poza tym zgadzam się z moimi rodzicami – gdyby chcieli wytoczyć Karbaatowi proces, to musieliby przyznać, że nie są do końca zadowoleni z tego, kim jesteśmy i jak wyglądamy. A przecież są zadowoleni.

Amanda: – Powiedziałam mamie: rozumiem, że czujesz się zrobiona w balona, ale ja bez Karbaata bym nie istniała, trudno mi go obwiniać. To, co robił, było niewłaściwe, ale gdybym ja decydowała się na taki zabieg, zrobiłabym chociaż minimalny risercz, a nie pędziła do doktora bez sprawdzania, kim jest. Wiele kobiet ominęło ten krok: „Muszę mieć dziecko, muszę mieć dziecko, natychmiast!”. Inseminacja, ciąża, poród i nagle co, wtedy się zastanawiamy? Nie jest trochę za późno?

Henrik: – Niektóre kobiety wyjeżdżały z kliniki z termosem wypełnionym nasieniem i nikogo nie interesowało, co się z tym dalej stanie. Ale w końcu to był lekarz. Skąd miały wiedzieć, jak to powinno wyglądać, jeśli nie od niego. Z pozoru wszystko było w porządku. „Patrząc na to po latach, myślę, że mogłam być bardziej czujna” – powiedziała mi ostatnio mama.

Rychło w czas, mamó. Rychło w czas.

Matka Monique opowiada: – Myślę, że mogłam być ostrożniejsza. Ale to były inne czasy! Nikt o tym nie rozmawiał, nie było kogo spytać. Cechy dawcy Karbaat przekazał mi ustnie, powiedział, że znajdzie kogoś właściwego. Przy drugim dziecku nie pytałam, czy będzie ten sam dawca, przecież wyraźnie ustaliliśmy to dwa lata wcześniej! Oszukał mnie. Jeśli po przeprowadzce do nowej kliniki nie miał już nasienia tamtego dawcy, powinien mi to po prostu powiedzieć.

Jaleesa dzieli się anegdotą: – Kiedy opowiedziałam mamie o tej sprawie z kliniką, którą nagłośniła mama Amandy, o mieszanii nasienia, o tym artykule o mafii spermowej, odpowiedziała tylko: „To doktor Karbaat jest mężczyzną? Myślałam, że to ta pani doktor, która się mną zajmowała, nazywała się Karbaat”. Zaszła w ciążę tak szybko, że nawet nie zdążyła go spotkać. Matki, które próbują składać pozew i narzekają na Karbaata w zamkniętej grupie dyskusyjnej, spytały mamę, czy się przyłączy. Powiedziała, że nie. Po co ma pakować się w problemy, o których nie wie, że je w ogóle ma?

To nie znaczy, że go usprawiedliwiam – kończy Jaleesa. – Człowiek nie

powinien zabawiać się w Boga. Ale to akurat przytyk i do Karbaata, i do Louisa, ci panowie świetnie się w tej kwestii dobrali!

Niektórzy lekarze zastanawiają się, czy to, co robi teraz Fiom, sprawi, że ludzie będą szczęśliwsi.

Jeden z nich uważa, że to dylemat wręcz filozoficzny: – Jeśli człowiek stwierdzi w którymś momencie życia, że musi uprawiać ćwiczenia fizyczne siedem dni w tygodniu, bo bez tego nie będzie w pełni sobą, to nic go nie przekona, że jest inaczej. Jeśli stwierdzi, że musi poznać swojego biologicznego ojca i będzie bez tego niekompletny, argumenty nie nakłonią go do zmiany zdania. W obu przypadkach będzie to szczere przekonanie, ale to jednak wciąż tylko czyjaś subiektywna opinia, nie ma tu obiektywnej prawdy.

Anonimowość dawców zniosło w Europie zaledwie kilka krajów. Również w Holandii wciąż większość dzieci z dawstwa nie wie, że nimi jest, a wśród tych, które wiedzą, nie wszystkie chcą poznać dawcę.

Mój rozmówca lekarz kontynuuje: – Wielu jest ciekawych, ja bym też był, i to bardzo. Ale trzeba odróżnić zwykłą ciekawość od pragnienia czy tęsknoty. Swoje zrobiły też programy: *Nieznane DNA*, *Rodzina poszukiwana!* czy *Bez śladu*, w których pokazuje się tylko wycinek rzeczywistości. Mam krewnego, który jest z dawcy, i nigdy nie miał potrzeby ustalenia, kim był lub jest jego biologiczny ojciec. Bo i po co, skoro ten człowiek nie odgrywał w jego życiu żadnej roli? Takich ludzi jest sporo. Tylko że ich w telewizji nigdy nie zobaczysz.

Hans van Hooff z Fiom mówi, że kiedy lekarze wypowiadają się, czy dziecko powinno mieć prawo do poznania ojca, ma ochotę ich spytać: kim jesteś, żeby zabierać głos na ten temat? Psychologiem, pracownikiem socjalnym? Nie, jesteś lekarzem, a to, o czym mówimy, nie ma nic wspólnego z procedurą medyczną.

Opowiada, że lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte to były czasy, w których chęć posiadania dziecka była nadrzędną potrzebą. To, w jaki sposób się ją zaspokoilo, było już mniej ważne.

Mówi: – Myślę, że dla lekarzy to, czy dawcą był ten, czy tamten mężczyzna z ich bazy, przestawało się liczyć, gdy kobieta zaszła w ciążę.

Tłumaczy, że po zniesieniu anonimowości liczba dawców nie jest wcale mniejsza niż kiedyś. To, że kliniki zamknięto, ma związek z przepisami, którym musiałyby dziś sprostać: pomoc psychologa, skrupulatna dokumentacja trzymana przez osiemdziesiąt lat.

I kończy: – Kiedyś kobieta mówiła, że chce wysokiego blondyna, oni skrupulatnie to notowali, a potem okazywało się, że dawca był zupełnie inny. „Wpiszemy coś, niewiele to zmieni, nikt się nie dowie”. Nie spodziewali się, że kiedykolwiek pojawią się testy DNA. Pilnowali jedynie, żeby niebieskookiego blondyna z paszportu nie przypisać do nasienia ciemnoskórego dawcy o brązowych

oczach. Choć i tak, jak widać po latach, nie wszyscy – mówi van Hooff.

Pytam: – Po co w ogóle dawali ludziom ten wybór?

Lekarz odpowiada: – Pomyśl, że masz marzenie. Bardzo czegoś pragniesz i to nie od tygodnia czy dwóch, ale od wielu lat. Kiedy myślisz, że już nic z tego, ktoś składa ci ofertę, którą dopasował idealnie do twoich potrzeb. Chętnie za to zapłacisz. Nawet po 2004 roku niektórzy ludzie tak bardzo chcieli mieć dziecko, że decydowali się na anonimowego dawcę, choć wiedzieli, że to nielegalne. Jeśli coś jest trudno dostępnym produktem, a takim właśnie jest nasienie, zapłacisz jeszcze więcej. Tak działa rynek. To był wielki biznes.

Minister zdrowia Edith Schippers po otrzymaniu raportu z Barendrechtu zapowiedziała kontrole we wszystkich działających jeszcze w Holandii bankach spermy.

Kto nie zmieści się w sali

„Patrz, kto idzie” – szepnęła do Fien jej matka. Dziewczyna oderwała wzrok od drewnianej lady z fioletowymi i modrymi mydełkami, które sprzedawały we dwie na targach produktów ekologicznych.

To on. Ostatnio więcej spaceruje, chce zrzucić trochę kilogramów.

„Louis!” – zawołała Fien.

– Przeszedł się ze mną po targu – mówi Fien – pogadaliśmy. Było przyjemnie, chociaż zrobiło mi się głupio, kiedy znów zaczął opowiadać o oddawaniu spermy tak głośno, że wszyscy dookoła słyszeli. Ale cóż, on tego nie dostrzega. Kupił mi kanapkę, potem wcisnął do ręki trochę pieniędzy, mówiąc: „Teraz mam w pobliżu córkę, której mogę zrobić prezent. Masz na jakieś przekąski”. Nie chciałam brać tych pieniędzy, serio. Ale zobaczyłam, jak on strasznie się cieszy. Kupił od mojej mamy pięć mydełek, spytał, czy będziemy na następnej edycji tego targu, on nie opuszcza żadnej.

Będziemy, Louis, będziemy.

Henrik zaprosił Louisa kilka razy do domu. Jako pierwszemu z Połówek urodziło mu się niedawno trzecie dziecko, znowu córeczka. Odwiedzam go: jedna dziewczynka coś koloruje, druga siedzi na nocniku, uczy się sikać, a najmłodsza śpi.

– Chcesz mieć więcej dzieci?

– O nie, raczej nie – śmieje się. – Nie kusi mnie pójście ścieżką ojca.

– Tłumaczysz dzieciom, kim jest Louis?

– Na razie najstarsza córka ma pięć lat i wie, że ma dwie babcie, ale jednego dziadka, nie widzi w tym nic dziwnego. Kiedy spyta, gdzie jest ten drugi dziadek, powiem jej tak: „Słuchaj, zwykle mamusia i tatuś biorą ślub i mają dzieci. Żeby mieć dziecko, potrzebujesz mamusi i tatusia razem. Ale jeśli mamusia chce mieć dziecko, ale nie ma tatusia, to może... no nie wiem, znaleźć tatusia w jakiś inny sposób”.

Henrik mówi, że póki co to wystarczy. Będzie się martwił za parę lat.

Uno, dos, tres, cuatro!

Do małej sali w Utrechcie zjechali się z całej Holandii. Dwaj bracia się spóźnili, lekcję cały czas przerywa śmiech. Siedli w ławkach ułożonych w prostokąt, na środku Romy i rzutnik. Romy to jedna z nowych Połówek, z wykształcenia nauczycielka hiszpańskiego. Postanowiła całemu półrodzeństwu dawać darmowe lekcje. Mówi, że nie wszyscy mają w genach zdolności językowe, przez to grupa jest nierówna. Ale chęci mają duże.

Maaike z Utrechtu uczy się, bo lubi serial *Airport Security: Colombia*,

o kontrolach granicznych na lotnisku w Bogocie, chciałyby go oglądać bez napisów.

Bjorn z Hilversum, bo w jego biotechnologicznej firmie ostatnio pojawiło się sporo dokumentów z Argentyny i przyda mu się podstawowa znajomość języka.

Joy z Rotterdamu, ochroniarz, bez powodu, bo fajnie się spotkać.

Jetske z Den Bosch, prawniczka, co roku wyjeżdża do Hiszpanii na urlop i chce móc się tam dogadać.

Matthijs z Amsterdamu, tancerz i barman, bo jeśli nauka pójdzie mu dobrze, to kto wie – może wyjedzie na Ibizę?

Lekcja trwa, robią wspólną fotografię.

– Moje Połówki! – wzdycha czule Romy, a gdy to mówi, w tym słowie, jeszcze niedawno dla niej nieistniejącym, mieści się tyle serdeczności, tyle uczucia, że można byłoby nimi ogrzać całą powierzchnię salki do pracowni języków obcych na Uniwersytecie w Utrechcie.

Po zajęciach wracają do domów. Jest późno, niektórzy muszą nazajutrz iść do pracy. Joy nawet na szóstą rano, a z Utrechtu do Rotterdamu jest kawał drogi – pociągiem jedzie się prawie czterdzieści minut. Spotkają się jeszcze nieraz. Trudno będzie znaleźć miejsce i dzień, żeby czas znaleźli wszyscy. Wszyscy to znaczy ile? Może przyjdzie dzień, że odnajdzie się cała dwusetka. Zrobią wtedy wielką imprezę dla Połówek, taką z tortem, muzyką, dekoracjami. Będą się zastanawiać, kto ma siedzieć obok kogo i czy zaprosić Louisa.

Może będzie trzeba wynająć tłumaczy, bo niektóre Połówki okażą się Niemcami, Szwajcarami, Walonami? Spora może być też różnica wieku – gdyby odnaleźli się wszyscy, to najstarszą i najmłodszą osobę może dzielić dwadzieścia lat.

Co podadzą do jedzenia, czy będzie sushi?

Przecież każdy lubi sushi.

Amanda odpoczywa na leżaku

Styczeń 2017, ostatnie zdania książki. Dwa lata od momentu, kiedy po raz pierwszy napisałem do Henrika.

Słowo Połówki wchodzi powoli do szerszego użycia – mówią tak o sobie kolejni półbracia i półsiostry z bazy FIOM, nie tylko biologiczne dzieci Louisa. „Połówki” pisane wielką literą to oni.

Z kolei słowo *sjoemelzaad* (w wolnym tłumaczeniu: „spermooszustwo” albo „szemrane nasienie”), którego używali dziennikarze opisujący aferę w Barendrechcie, znalazło się wśród dziesięciu wyrazów roku 2016. Coroczny plebiscyt organizuje Van Dale, największy wydawca słowników w Holandii. W finałowym głosowaniu „spermooszustwo” przegrało między innymi z „trumpizmem” i „pokemonterrorem”.

Podobno Louis pracuje nad sobą, na spotkaniach z nowymi Połówkami stara się zadać czasem jakieś pytanie. Fien była w szoku, kiedy ostatnio w mejlu zapytał, co słyhać u jej chłopaka.

Amanda spotkała go przypadkiem w saunie. Odpoczywała na leżaku, kiedy podszedł. Co się robi, kiedy spotyka się swojego dawcę w saunie?

– Cześć! – krzyknął radośnie.

– Cześć – odpowiedziała.

Zmarszczył brwi, spostrzegła, że nie bardzo ją rozpoznaje. Od ich spotkania minął rok, ufarbowała włosy na blond, więc wyglądała inaczej.

– Skąd my się znamy? – zapytał.

– Cóż, Louis, znamy się, bo jestem twoją córką. Amanda, pamiętasz?
– uśmiechnęła się.

– Pamiętał – opowiada mi Amanda. – Poszliśmy na herbatę. Pogadaliśmy o saunie, o tym, co u mojego brata Boya. Miły człowiek, choć znowu głównie on mówił i mówił.

Czemu powiedziałam o sobie „córka”?

No właśnie nie wiem.

Warszawa, lipiec 2016 – styczeń 2017.

Imiona tytułowego bohatera, całej jego surinamskiej rodziny oraz niektórych Połówek zostały zmienione.

ZAMIAST POSŁOWIA

Louis mnie zainspirował – nie chcę, żeby ta historia się skończyła. W chwili kiedy piszę te słowa (marzec 2017), wiem już kilka nowych rzeczy o bohaterach książki i dalej śledzę ich losy. Jeśli więc, Drogi Czytelniku, jesteś ciekaw, co dalej z Połówkami, Louisem i doktorem Karbaatem, wejdź na www.kamilbaluk.pl/ciagdalszy.

PODZIĘKOWANIA

Udało się, książka naprawdę istnieje.

A zaczęło się tak: pewnego wiosennego dnia we Wrzeniu Świata powiedziałem mojemu tutorowi z Polskiej Szkoły Reportażu, że mam dziesięć fajnych tematów z Holandii, ten o Louisie był chyba szósty. Nie wiem, czemu nie był pierwszy, ale ważne, że Mariusz Szczygieł ma ucho do szóstych, a nawet sześćdziesiątych szóstych pomysłów. Powiedział, żebym szedł do Wojtka Tochmana, który dodał: „Napisz książkę”.

Dziękuję Mariuszowi i Wojtkowi za te pierwsze sygnały. Gdyby nie oni, pewnie nawet bym się nie odważył się do pisania. Mariuszowi dziękuję dodatkowo za celne uwagi przez cały czas pracy i wieczorną naradę na samym końcu, a Julii Jonek, która od początku mówiła, że to się uda – za słowa otuchy.

Redaktorze Magdalenie Petryńskiej dziękuję za wszystkie trafne zdania, elastyczność i zimną krew.

Jestem wdzięczny za konsultacje na różne tematy ze świata nauki: Joannie Grochowskiej z Fundacji Synapsis, Wiktorii Jedwabny, Annie Krawczak, prof. Ewie Pisuli z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Maćkowi Śmiałkowi i Janowi Niemcowi.

Za olbrzymie wsparcie językowe dziękuję tłumaczce Oldze Niziołek. Niechaj zgłaszają się do niej wszyscy żądni świetnych tłumaczeń NL-PL (www.olganiziolek.nl).

Oprócz Olgi przez pułapki i wyboje gulgającego języka przeprowadzali mnie podczas pracy nad książką niderlandzkojęzyczni przyjaciele: Anne Jansen, Anke Derks, Mattijn Lahuis, Thijs Lambooi, Arjen Noordhuis, Tim Rommen i Jef Willems. *Hartelijk bedankt!*

Oldze i Mattijnowi dodatkowe dzięki za las, materac i bezpieczne schronienie dla książek. Elizie Kowal za niezłe *spermooszustwo*.

Ponieważ w procesie pisania książki dziewięćdziesiąt procent czasu zajęło mi nie samo pisanie, lecz gędzenie o tym, że piszę, dziękuję Magdzie Burzyńskiej, Marcie Grocheckiej, Ninie Kożuch, Natalii Łukaszuk, Agacie Pikulskiej, Mikołajowi Glińskiemu, Maćkowi Lewkowiczowi, Szymonowi Poznańskiemu, Oli Sajewicz, Pawłowi Sajewiczowi, Kubie Wojtukiewiczowi, Bartkowi Zalewskiemu i tym, których na pewno pominąłem, za wszystkie rozmowy po drodze (nawet jeśli wiele z nich nie dotyczyło książki).

Dziękuję koleżankom i kolegom reporterom, z którymi miałem i mam przyjemność rozmawiać: Katarzynie Boni, Magdalenie Kicińskiej, Izie Klementowskiej, Karolinie Oponowicz, Berenice Steinberg, Annie Sulińskiej, Natalii Szostak, Annie Śmigulec, Piotrowi Nesterowiczowi, Konradowi Oprędkowi, Marcinowi Kąckiemu, Filipowi Springerowi, Mirosławowi

Wklepemu, za krótsze i dłuższe rozważania o tym, że da się napisać książkę i że od tego się nie umiera. Dodatkowe podziękowania kieruję w stronę studentów i absolwentów Polskiej Szkoły Reportażu. Rozmowy z Wami bywają bardziej inspirujące niż czytanie książek.

Fotografce Magdalenie Franczuk wielkie dzięki za okładkę. Śledźcie poczynania tej pani, bo ma talent.

Większość książki powstała w Faktycznym Domu Kultury, gdzie miałem warunki takie, jakbym był na stypendium twórczym. Dziękuję za to załodze Instytutu Reportażu: Gosi Borowskiej, Martynie Fabisiak, Agnieszce Hryniewickiej, Oli Migacz, Monice Mikołajczyk, Jankowi Królowi, Pawłowi Sobulskiemu, Rafałowi Szczechurze, Pawłowi Szopowskiemu.

Piąteczka należy się też baristom księgarni Wrzenie Świata: Agnieszce Bednarek, Małgo Cicheckiej, Magdzie Gajewskiej, Ani Kryshtafovych, Kindze Kruczek, Monice Miklaszewskiej, Natalii Sieniewicz, Wiktorii Wardzie, Patrykowi Adamczykowi, Michałowi Baranowskiemu, Maćkowi Koniecznemu, Bartkowi Olszewskiemu, Dominikowi Różewiczowi i Jarkowi Szymańskiemu. Kawa i tiramisu napędzały pisanie. A rachunek rozliczę już jutro, obiecuję.

Jako że to pierwsza książka, dziękuję Rodzicom, Dziadkom i Natalii za wszelkie inspiracje życiowe, było ich sporo. A Michałowi za to, że kiedy byłem w wieku przedszkolnym, podjął skuteczną próbę nauczania mnie czytania. Używał do tego celu „Gazety Wyborczej”, więc skończyło się tak, jak się skończyło.

Magdzie dziękuję za każdą linijkę książki, lat naście, pewien mały jogurt w pewnej małej bibliotece, a także za języki deszczu, słupy dymu, sen jak mury, wiatr w usta.

O to właśnie chodziło.

ŹRÓDŁA

Źródła prasowe i internetowe dotyczĄce historii dawstwa nasienia w Holandii

Noël van Bommel, *Tekort aan spermadonoren stijgt snel*, „Volkskrant”, 16.03.2002.

J.-M. van Bemmelen, *Naam van Donor moet voor Kind geheim blijven*, „De Telegraaf”, 11.12.1965.

J.-M. van Bemmelen, *Strafbaar maken zou meer kwaad dan goed doen*, „De Telegraaf”, 14.12.1965.

E.J. Boer, *De weg van het zaad*, „NRC Handelsblad”, 26.03.1980.

M. ter Braak, *K.i.-kinderen*, „NRC Handelsblad”, 30.04.1992.

Ward op den Brouw, *Zaaddonoren schrikken van kabinetsplan*, „NRC Handelsblad”, 3.07.1992.

Sante Brun, *Vaders voor Vaders*, „Limburgsch Dagblad”, 15.06.1974.

Frits Gongrijp, *Kunstmatige inseminatie: een koud kunstje*, „De Telegraaf”, 20.05.1988.

Miep de Graaff, *Geen BOM-moeder zonder BOV-vader?*, „Leidsch Dagblad”, 7.03.1981.

Ben Herbergs, *Een kindje uit de ijskast*, „Het Vrije Volk”, 13.07.1974.

Ben Herbergs, *Te weinig spermadonors. „Dit gaat toch veel gemakkelijker dan bloed afgeven”*, „Het Vrije Volk”, 23.01.1978.

Ben Herbergs, *Twintig jaar terug was ‘t ondenkbaar dat hier een man kwam*, „Het Vrije Volk”, 24.09.1977.

René Hoksbergen, *Spermadonoren hoeven zich niet te laten afschrikken*, „NRC Handelsblad”, 11.08.1992.

René Hoksbergen, *Kinderen hebben het recht te weten wie hun vader is*, „NRC Handelsblad”, 16.05.1997.

J.W. van Houdt, *De wondere wereld van de zaaddonors*, „Nederlands Dagblad”, 11.05.1991.

Piet Kaashoek, *Moraaltheoloog Eijk Rolduc: De mens staat niet boven God*, „Limburgsch Dagblad”, 6.03.1993.

Marcel S.F. Kemp, *Vragen over onbekende vader komen als je zelf kinderen krijgt*, „Trouw”, 15.02.2000.

Jan Kremer, *Anonieme spermadonor*, „Trouw”, 16.11.1999.

Jan Kremer, *Geen discriminatie bij spermabank*, „Nieuwsblad van het Noorden”, 15.10.1981.

Jan Kremer, *Opheffen donor-anonimiteit zal spermadonors afschrikken*, „NRC Handelsblad”, 15.09.1992.

Jan Kremer, *Ouderschap is meer dan biologie*, „NRC Handelsblad”, 25.10.1988.

Jan Kremer, *Spermadonor kan veel beter helemaal anoniem blijven*, „Trouw”, 3.07.1992.

Jan Kremer, *Spermadonoren*, „Trouw”, 9.02.2000.

Jet Kunkeler, Henk Maurits, *Kunstmatige inseminatie: zinvol alternatief voor adoptie*, „De Tijd”, 7.07.1973.

Joke Mat, *Spermadonoren vrezen opheffen van anonimiteit*, „NRC Handelsblad”, 5.02.2000.

Rik Nijland, *Vrouwen naar België voor sperma. Nederlandse donoren niet langer anoniem*, „Volkskrant”, 1.06.2004.

Dick van der Peijl, *Kind verwekken met zaad, pot en spuit*, „NRC Handelsblad”, 23.06.1986.

Hanneloes Pen, *Zaaddonoren „zijn vaak sociale types” en hechten lang niet allemaal aan anomiteit*, „Het Parool”, 11.02.2006.

Stella Ruisch, *Spermadonor moet bekend zijn*, „De Telegraaf”, 3.10.1983.

Aldert Schipper, *Zwanger zonder grenzen*, „Trouw”, 7.06.1997.

Marjolein Schipper, *Vrouwen op wachtlijst voor donor-mannen*, „De Telegraaf”, 2.02.1988.

Mirjam Schöttelndreier, *BOM-schap ingeburgerd*, „NRC Handelsblad”, 6.02.1988.

René Steenhorst, *Anonieme vader straks „pappa”?*, „De Telegraaf”, 4.06.1992.

René Steenhorst, *Vrees voor vlucht in zwart donorcircuit*, „De Telegraaf”, 6.06.1992.

René Steenhorst, *Straks staat er een kind voor mijn deur*, „De Telegraaf”, 7.04.1990.

Henk Thomas, *Spermadonor?*, „Volkskrant”, 12.01.2001.

H.J. Versteeg, *In Nederland weigert 97% van de vrouwenartsen de kunstmatige inseminatie donor te verrichten*, „De Telegraaf”, 20.06.1969.

Ton van der Werf, *Niet-biologische ouders worden gediscrimineerd*, „Nieuwsblad van het Noorden”, 3.03.1973.

Ton van der Werf, *Ook een donor-kind is om van te houden*, „Nieuwsblad van het Noorden”, 9.02.1973.

Edith Verhoef, *Zoeken tegen beter weten in*, „De Telegraaf”, 9.07.1992.

„Vreemde grond” over het grote taboe bij allochtone donoren, „Trouw”, 31.01.1995.

Anonimiteit donor gewaarborgd? Kabinet gaat voorbij aan wens deel kinderen van spermagevers, „Trouw”, 13.11.1999

Donoren spermabanken in aantal gehalveerd, „NRC Handelsblad”, 11.09.1998.

Donorkind maakt ouders gelukkig, „Het Vrije Volk”, 16.10.1972.

Geen uitspraak inzake K.I.D., praatpapier in voorbereiding, „Nederlands Dagblad”, 3.04.1976.

Groot tekort aan spermadonors, „Leidsch Dagblad”, 2.02.1988.

Initiatief over donor-inseminatie moeite waard, „Algemeen Dagblad”, 17.04.1992.

Instrumentele mens-visie leidt tot reductie van het mens-zijn, „Trouw”, 7.07.1992.

Jaarlijks honderd donor-kinderen, „Amigoe di Curaçao Weekblad”, 8.09.1973.

Kunstmatige inseminatie kwestie van persoonlijk geweten, „Nederlands Dagblad”, 24.03.1976.

Opheffen anonimiteit doet voorraden slinken, „Trouw”, 20.10.1998.

Raad Jeugdbeleid wil dat kind kan achterhalen wie de zaaddonor was, „Trouw”, 7.10.1992.

Spermabank Dijkzigt zoekt nog veel mannelijke donors, „Het Vrije Volk”, 6.03.1984.

Spermabank niet langer gesloten voor KID-kinderen, „Trouw”, 27.01.1993.

Spermadonoren verliezen anonimiteit, „Algemeen Dagblad”, 25.01.2001.

Tachtig procent kinderloze echtparen is niet steriel, „Nederlands Dagblad”, 20.12.1972.

Veel echtparen vragen vergeefs donor-inseminatie, „Het Vrije Volk”, 19.12.1972.

Vijftig „vaderloze” kinderen per jaar door kunstmatige inseminatie, „NRC Handelsblad”, 15.09.1988.

Wet haalt zaaddonor uit anonimiteit, „Algemeen Dagblad”, 8.12.1993.

Zaaddonoren laten het steeds vaker afweten, „Algemeen Dagblad”, 4.06.1994.

<http://www.isgeschiedenis.nl/nieuws/een-geschiedenis-van-het-verbod-op-overspel/>

<https://www.recht.nl/nieuws/strafrecht/archief/18878/een-korte-geschiedenis-van-het-delict-overspel>

Źródła książkowe, prasowe i internetowe dotyczące Jana Karbaata i kliniki w Barendrechcie

Jan Karbaat, *Sociaal-geneeskundige beschouwingen over de personeelsleden van de troepenmacht in Suriname en hun gezinnen*, praca doktorska obroniona na Uniwersytecie w Lejdzie, 1964.

Jan Antonissen, *Dossier donorkinderen (1): de spermamaffia*, „HUMO”, 11.02.2014.

Bert van Dommelen, *Wie is er nu eigenlijk de baas van Zuiderziekenhuis*, „Het Vrije Volk”, 3.03.1981.

Bert van Dommelen, *Saneer de vele koninkrijkes in Zuiderziekenhuis*, „Het Vrije Volk”, 19.08.1981.

Jan Hein de Groot, *De fascistten kunnen er wel achter zitten*, „Het Vrije Volk”, 16.12.1980.

Ben Herbergs, *Steeds meer vrouwen laten zich steriliseren*, „Het Vrije Volk”, 17.01.1978.

Jan Karbaat, *Family Planning. Bevolkingsvraagstukken zorgen voor morgen*, Intermediair, 27.10.1972.

Jan Karbaat, *Vijf dagen wachttijd in praktijk onuitvoerbaar*, „Nieuwsblad van het Noorden”, 6.09.1980.

Jan Karbaat, *Vampiers in Suriname*, Medisch Contact, 23.03.1962.

Jan Karbaat, *De bijdrage van de MGD aan de opbouw van Suriname*, „Militaire Spectator”, 132/1963, s. 235.

Jan Karbaat, *De Militaire Geneeskundige Dienst vroeger en nu*, „Militaire Spectator”, 129/1960, s. 402.

Jan Karbaat, *De militaire geschiedenis*, „Militaire Spectator”, 129/1960, s. 377.

Jan Karbaat, *Het is altijd feestje op de dijk*, „Contactblad, Historische Vereniging Barendrecht”, nr 112, 2008.

Agnes Koerts, *Acties van Stimezo schudden dokters in Rotterdam wakker*, „Het Vrije Volk”, 21.11.1970.

Agnes Koerts, *De hele dag draven*, „Het Vrije Volk”, 4.12.1970.

Agnes Koerts, *In Dr. W. F. Stormkliniek Dolle Mina kreeg de meeste eer*, „Het Vrije Volk”, 4.11.1971.

Sam de Voogt, *Minister Schippers stelt onderzoek in naar dossiers spermabanken*, „NRC Handelsblad”, 25.06.2015.

„*Vreemde grond*” over het grote taboe bij allochtone donoren, „Trouw”, 31.01.1995.

„*Lunchpil*” tegen zwangerschap, „Leeuwarder Courant”, 4.03.1972.

Abortuskliniek komt met sexuele therapie, „Het Vrije Volk” 13.12.1974.

Dr J. Karbaat benoemd te Rotterdam, „Utrechts Nieuwsblad”, 01.07.1965.

Karbaat verlaat Zuiderziekenhuis, „Het Vrije Volk”, 16.11.1979.

Naar de wintersport, „Het Vrije Volk”, 14.10.1975.

Nieuw paviljoen voor Zuider-ziekenhuis, „Reformatorisch Dagblad”, 05.02.1976.

Patiënten komen nu het eerst aan bod, „Het Vrije Volk”, 22.09.1978.

Snel aan de slag voor meer hartspecialisten, „Het Vrije Volk”, 13.10.1977.

Spermabank laat zaad verpieteren, „De Telegraaf”, 2.03.2002.

Urenlang wachten in ziekenhuizen, „Het Vrije Volk”, 16.12.1977.

Wat anderen ervan denken, „De Telegraaf”, 6.06.1992.

Zo kan het niet langer in mijn ziekenhuis, „Het Vrije Volk”, 20.09.1978.

Zuiderziekenhuis bestaat 40 jaar, „Reformatorisch Dagblad”, 30.06.1979.

Zuiderziekenhuis krijgt nieuw behandelgebouw, „Het Vrije Volk”, 7.07.1966.

<http://www.ad.nl/nieuws/elke-kliniek-mengde-donorsperma~ad4e22b1/>

<https://www.rijksoverheid.nl/documenten/kamerstukken/2015/06/25/kamerbrief-over-onderzoek-archieff-mc-bijdorpe>

Źródła książkowe i internetowe dotyczące zespołu Aspergera

Aaron Likens, *Odnaleźć Kansas. Zespół Aspergera rozszyfrowany*, przeł. Maciej Piątek, Wydawnictwo eSPe, Kraków 2012.

John Elder Robison, *Patrz mi w oczy. Moje życie z zespołem Aspergera*, przeł. Jarek Szubrycht, Wydawnictwo Linia, Warszawa 2013.

John Elder Robison, *Wychowujemy Misiaka. Ojca i syna przygody z aspergerem, pociągami, traktorami i materiałami wybuchowymi*, przeł. Jarek Szubrycht, Wydawnictwo Linia, Ożarów Mazowiecki 2014.

Christine Preissmann, *Zespół Aspergera. Jak z nim żyć. Jak pomagać. Jak prowadzić terapię*, przeł. Joanna Arentewicz, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Sopot 2012.

[http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,7223077,_Jestem_na_spo
tkaniu_zarządu__Ronie____wpis_na_Twitterze.html](http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,7223077,_Jestem_na_spo
tkaniu_zarządu__Ronie____wpis_na_Twitterze.html)

[http://wyborcza.pl/1,87648,16731257,100_proc__logiki__zero_empatii__Cz
y_dziecko_z_zespołem.html](http://wyborcza.pl/1,87648,16731257,100_proc__logiki__zero_empatii__Cz
y_dziecko_z_zespołem.html)

Źródła prasowe i internetowe dotyczące mediów

Uitstel voor DNA-programma RTL4, „Algemeen Dagblad”, 18.03.2011.

Wie is de donor?, „De Telegraaf”, 28.04.2011.

[http://baltimore.cbslocal.com/2012/04/24/police-make-3rd-arrest-in-videotap
ed-st-patricks-day-beating/](http://baltimore.cbslocal.com/2012/04/24/police-make-3rd-arrest-in-videotap
ed-st-patricks-day-beating/)

[http://ntracademie.nl/clips/clip/show/703-nederlandse-televisie-ideen-wereld
wijd-populair.html](http://ntracademie.nl/clips/clip/show/703-nederlandse-televisie-ideen-wereld
wijd-populair.html)

http://www.divorcehotel.com/media/file/MTL1112_P056.pdf

[http://www.telegraaf.nl/vrouw/relatie/20367519/___Wie_is_mijn_echte_vader
____.html](http://www.telegraaf.nl/vrouw/relatie/20367519/___Wie_is_mijn_echte_vader
____.html)

[http://www.volkskrant.nl/media/-tv-formats-uit-nederland-doen-het-nu-histor
isch-goed~a3259932/](http://www.volkskrant.nl/media/-tv-formats-uit-nederland-doen-het-nu-histor
isch-goed~a3259932/)

[https://www.ing.nl/nieuws/nieuws_en_persberichten/2013/09/in_het_nieuws
-nederlandse_tv-formats_veroveren_de_wereld.html](https://www.ing.nl/nieuws/nieuws_en_persberichten/2013/09/in_het_nieuws
-nederlandse_tv-formats_veroveren_de_wereld.html)

<https://www.youtube.com/watch?v=-4qfEcSkfYI>

<https://www.youtube.com/watch?v=FbGYwWwujOg>

Źródła prasowe i internetowe dotyczące Surinamu

Artykuły prasowe z lat 1899–1939 pochodzące z:

„De Sumatra post”; „De Surinamer: nieuws- en advertentieblad”, „De West: nieuwsblad uit en voor Suriname”, „Het nieuws van den dag: kleine courant”,

„Nieuwsblad van het Noorden”, „Rotterdamsch nieuwsblad”, „Suriname: Koloniaal Nieuws- en Advertentieblad”.

http://www.beleven.org/verhaal/de_dochter_van_koning_leugenaar

<http://www.bevrijdingintercultureel.nl/bi/antillen.html>

<http://www.internationalsteam.co.uk/trains/surinam02.htm>

<http://www.slavernijenjij.nl/de-erfenis-nu/surinaamse-familienamen>

<http://www.suriname.nu/0933/0304/nvold2n.html>

<https://www.vernoeming.nl/vreemde-surinaamse-achternamen-1>

https://www.youtube.com/watch?time_continue=1&v=iIlxr63g978

Materiały telewizyjne wykorzystane w książce

Materiał nr 1, paszport dawcy wystawiony przez Centrum Medyczne Bijdorp.

Materiał nr 2 i 3, *Mirakel*, prod. Evangelische Omroep, odc. *Ik ben een donorkind*, 2003.

Materiał nr 4, 5 i 6, *Wie is mijn vader?*, prod. RTL, odc. 1, 2010.

Materiał nr 7, Gerie de Jong, Floor Ligtoet, *Een Vandaag*, prod. AVROTROS, odc. *Misstanden bij spermabanken* z 4.08.2014.

Materiał nr 8, *Een tip van de sluier*, reż. Frans Bromet, 1980.

Materiał nr 9, *Familie Gezocht*, odc. z 9.11.2014.

Materiał nr 10, *Vreemd land; Zwart zaad*, reż. Ditteke Mensink, prod. Nederlandse Programma Stichting, 1995.

Materiał nr 11, fragment programu *Spoorloos*, prod. KRO-NCRV, odc. *Bjorn zoekt 200 broers en zussen* z 13.04.2015.

Pozostałe:

Adres Onbekend, prod. KRO, odc. z 4.10.2013.

DNA Onbekend, prod. AVRO, odc. z 23.11.2016.

Gerie de Jong, Floor Ligtoet, *Een Vandaag*, prod. AVROTROS, odc. *Spermakliniek MC Bijdorp overtrad de wet* z 31.10.2014.

Spoorloos, prod. KRO-NCRV, odc. *Heeft Bjorn inderdaad 200 broers en zussen?* z 11.01.2016 oraz odc. *Veel respons op oproep Bjorn, Fien en Maaike* z 21.09.2015.

W rozdziale *Nawet nie wiem, ile mam dzieci* cytowałem wypowiedzi z artykułów i programów telewizyjnych w następującej kolejności:

Peter de Greef, Marc Kruyswijk, *Spermadonor?*, „Volkskrant”, 16.11.1999.

Wie is mijn vader?, dz. cyt.

Wie is mijn vader?, dz. cyt.

De opkomst van de BAM, „Volkskrant”, 1.06.2004.

Marie Thérèse Roosendaal, *Vruchteloze zoektocht*, „De Telegraaf”, 7.09.2013.

Joke Mat, *Het vaderinstinct van een donor*, „NRC Handelsblad”, 29.07.2000.

Wie is mijn vader?, dz. cyt.

Wie is mijn vader?, dz. cyt.

Greta Riemersma, *Een paar cc sperma is iets anders dan een kind*, „Volkskrant”, 20.05.2000.

Fragment piosenki *Zmienileś mój los* z filmu *Aladyn* przełożył Filip Łobodziński, fragment poematu Alfreda Tennysona *Pani na Shalott* Piotr Cholewa, a wierszyk o Humptym Dumptym Maciej Słomczyński.

¹ Źródła wszystkich materiałów i przytoczeń czytelnik znajdzie na końcu książki.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2017

Copyright © Instytut Reportażu 2017
Copyright © Kamil Bałuk 2017

REDAKCJA

Magdalena Petryńska

KOREKTA I POPRAWNOŚĆ JĘZYKOWA

Danuta Sabała

KONSULTACJA MERYTORYCZNA

prof. Ewa Pisula
Olga Niziołek

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY SERII I OKŁADKI

Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

ADAPTACJA PROJEKTU OKŁADKI

Dominika Jagiełło /OneOnes Creative Studio/

www.behance.net/OneOnes

SKŁAD I ŁAMANIE

Michał Wysocki

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Magdalena Franczuk

ZDJĘCIE AUTORA

Filip Skrońc

ISBN 978-83-947254-2-6

REDAKTOR NACZELNA WYDAWNICTWA

Julianna Jonek

KOORDYNATORKA WYDAWNICTWA

Małgorzata Borowska



Wydawnictwo Dowody na Istnienie

Imprint Fundacji Instytut Reportażu

Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa

www.dowody.com

dowody@instytutR.pl, promocja@instytutR.pl

